

ZIELONY ŁĄD
Polityka
nie trzyma się Ziemi

ZŁOTY TANIO
Jak NBP popsuł
nasz pieniądz

STANY GNIEWU
Uniewinniony
za zbrodnię

RYSZARD KRYNICKI
Dokąd prowadzą
słowa poetów

LEŚNE PRZEDSZKOLA
Zawsze jest pogoda
na lekcje przyrody

Kraków 5 grudnia 2021 nr 49 (3778)

cena 10 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

MICHAŁ BILEWICZ, PSYCHOLOG

Polska bez maski

Jak żyć
z niezaszczepionymi

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



X X V K O N K U R S



Grand Press 2021

Grand Press

W KATEGORIACH TEMATYCZNYCH

NEWS • DZIENNIKARSTWO ŚLEDTCZE

PUBLICYSTYKA • REPORTAŻ • WYWIAD

DZIENNIKARSTWO SPECJALISTYCZNE I NOWE FORMY DZIENNIKARSKIE

Dziennikarz Roku

Nominacje będą przyjmowane do 1 grudnia.

NAGRODY SPECJALNE:

Grand Press Digital • Grand Press Economy
Nagroda im. B. Tomaszewskiego

O R A Z

Książka Reporterska Roku

TRANSMISJA JUBILEUSZOWEJ GALI NA ŻYWO
 7.12.2021 godz. 20.20 w TVN24

ORGANIZATOR



MECENAS KONKURSU



PARTNERZY KONKURSU



PARTNER NAGRODY GRAND PRESS ECONOMY



PARTNER NAGRODY GRAND PRESS DIGITAL



PARTNER NAGRODY IM B. TOMASZEWSKIEGO



PARTNER NAGRODY KSIĄŻKA REPORTERSKA ROKU



PARTNER NAGRODY CZYTELNIKÓW



PARTNERZY GALI



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

„Tygodnik Powszechny”

– artykuły pierwszej potrzeby z dostawą do domu!

Czytelniczko, Czytelniku!

Kupujesz pismo w kiosku? Na stacji? W saloniku prasowym?

A może rozważysz zakup **TYGODNIKA** z dostawą do domu?

To wygodne, pewne, szybkie i bezpieczne, a dodatkowo pod koniec stycznia dostaniesz W PREZENCIE nasz autorski notes kulinarny „Smaki” – dostępny WYŁĄCZNIE dla Prenumeratorów! **Wybierz najlepszą dla siebie opcję dostawy** – o wszystkich przeczytasz na sąsiedniej stronie, a w styczniu dostaniesz „Smaki” bez dodatkowych kosztów.



ZAMÓW NA

TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
już od 155 zł

**CIESZ SIĘ WYSMAKOWANYM
PREZENTEM!**

*Dziękujemy za to,
że wybieracie „Tygodnik”,
że jesteście z nami.*



ks. Adam Boniecki
redaktor senior
obywatel



Piotr Mucharski
redaktor naczelny
działkowiec



Agnieszka Grzywa
koordynatorka
Działu Prenumeraty
cyklistka

sprawdź cennik →

Cennik i zasady zakupu „Tygodnika Powszechnego” z dostawą do domu

CENNIK WAŻNY OD 1 GRUDNIA 2021

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny**		
+ 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Prenumeratę (krajową i zagraniczną)
można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES||manago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



Dużo stron!

Ochędowska,
Kuźmiński,
Bravo, Ukleja

Do **KAŻDEGO** zamówienia
autorski, wyjątkowy
notes kulinarny
W PREZENCIE!

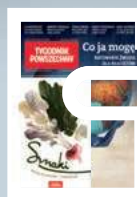
Przepisy,
rozmowy, eseje

12 sezonów



Autorskie ilustracje

Notes kulinarny
„Smaki”
otrzymasz już
w styczniu
na nasz koszt!



KS. ADAM

Boniecki: Jeśli nie są wrogami

WSKAZANIE WSPÓLNEGO WROGA MOBILIZUJE do wspólnego wysiłku i łączy ludzi nawet ponad podziałami. Kiedy granice narusza wróg chcący zagarnąć nasze ziemie, jesteśmy gotowi wspólnie walczyć w ich obronie. Byliśmy solidarni tworząc Solidarność (zanim się podzieliśmy). Mimo podziałów, byliśmy solidarni w czasie niemieckiej okupacji. Nadal jesteśmy solidarni w przypadkach klęsk żywiołowych. Jakże bardzo władcy o skłonnościach dyktatorskich lubią budzący trwogę okrzyk: „Hannibal ante portas!”. Zwykle działa i mobilizuje do solidarności, nawet jeśli potem się okazuje, że żadnych wojsk kartagińskich nie było. Gorzej, kiedy Hannibalem jest niedostępny dla oczu wirus i kiedy jest nie u bram, ale w samym środku naszego Rzymu. Niestety, COVID-19 nie zjednoczył nas, ale podzielił, jakbyśmy jeszcze nie byli dostatecznie podzieleni.

Myślę o reakcjach osób zaszczepionych na antyszczepionkowców. Rozmowa o tym Michała Kuźmińskiego z profesorem Michałem Bilewiczem to rozmowa o nas. Któż nie doświadczył odruchów irytacji, jeśli nie wściekłości wobec antyszczepionkowców i nienoszących masek, którzy uniemożliwiają skuteczną walkę z pandemią? O tym, do czego mogą prowadzić te reakcje i co z nimi robić, pisze Marcin Napiórkowski – jak to tylko on potrafi, wychodzi poza zestaw narzucających się nam banałów. Chciałbym zwrócić uwagę na dwa kluczowe w tym tekście stwierdzenia.

Pierwsze: „Osoby dotychczas niezaszczepione nie są wrogami, lecz partnerami do dyskusji. Wrogiem jest wirus. Wrogami są oszuści, cynicznie zarabiający na szerzeniu kłamstw. Wspólnie wypracować musimy rozwiązanie, które uratuje wszystkich”. Napiórkowski je proponuje. Trzeba zasypywać podziały, opowiadać o szczepionkach wieloma kanałami, szukać porozumienia z liderami środowisk politycznych niechętnych szczepionkom. Nad strategią muszą współpracować naukowcy i specjaliści z różnych obszarów. Trzeba przeciwdziałać dezinformacji, wykorzystując wszelkie do-



stępne środki prawne, legislacyjne oraz naciski rynkowe. I zachęcać do działania podmioty komercyjne – reklamodawcy powinni się wycofać z mediów promujących kłamstwa na temat szczepień, a wielkie platformy internetowe stracić motywację do przymykania oczu na niebezpieczne bzdury. „Kłamstwo musi się przestać opłacać”.

I drugie kluczowe stwierdzenie Napiórkowskiego: nawet gdyby w Polsce udało się skłonić do przyjęcia szczepionki 95 procent mieszkańców, to i tak walki z pandemią byśmy nie wygrali. Bo „nie tylko »dwie Polski« są naszym problemem, lecz »dwa światy«”. Jedynie globalna solidarność pozwoli pokonać globalną epidemię. Nasze współczucie, nasze zaufanie, nasza współodpowiedzialność muszą mieć równie wielki zasięg i rozprzestrzeniać się równie szybko jak wirus”.

Ale co z tego, że powstał szereg publikacji, których naukowa argumentacja jest dla antyszczepionkowca miazdząca. Skądinąd dowiaduję się, że pandemia to „intryga o globalnym zasięgu”, że chodzi o „jeden z wielu wirusów i to wcale nie tych najgroźniejszych”, że cała historia z pandemią to po prostu „okazja do zbiccia fortuny” przez „dobrze poinformowanych”, że dla reżimów to „okazja do zaostrzenia metod”, a dla demokracji – „niebywała szansa na samoograniczenie”. Autorzy takich treści, wśród nich lekarze, powołując się na informacje medialne, ale także publikacje medyczne, podważają stanowiska nie tylko WHO, ale i – jeśli o katolików chodzi – papieża Franciszka i Kościoła. W tym ostatnim przypadku oskarżycielem jest jeden z dyżurnych „sprawiedliwych” – biskup Athanasius Schneider, wywodzący się z Niemiec, pracujący w Kazachstanie biskup pomocniczy Astany, krytyk papieża Franciszka, kwestionujący potrzebę szczepień i porównujący obostrzenia antycovidowe do praktyk Związku Radzieckiego. I szukaj tu, człowieku, porozumienia z antyszczepionkowcami.

Cóż, szukam. Tak, to jest kwestia życia i śmierci.

©

TYGODNIK
POWSZECHNY

Nagroda dla naszego Autora!

Krzysztof Story otrzymał nagrodę w konkursie dla dziennikarzy „Uzależnienia XXI” Fundacji Inspiratornia za reportaż opublikowany na naszych łamach pt. „Zapłać i wygraj”.

Nagrodzony tekst można przeczytać na powszech.net/zaplaciwygraj

Serdecznie gratulujemy!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. GRAZYNA MAKARA

24 Zielony Ład nie dotrze nad Wisłę

KAROLINA LEWICKA

Przeciętny wyborca gotów jest poświęcić dla powstrzymania katastrofy klimatycznej do 100 zł miesięcznie. Politycy to widzą, dlatego tematyka klimatyczna powoli znika z ich agendy.

**40 Ostatnie sześć tygodni**

MARTA ZDZIEBORSKA rozmawia z DALE'EM RECINELLĄ, świeckim kapłanem skazanych na śmierć w USA.

60 Sto lat, insulino

ANNA BARTOSIK

W styczniu 1922 r. 14-latek umierający na cukrzycę w szpitalu w Toronto otrzymał jako pierwszy zastrzyk insuliny. W ciągu doby zabójczo wysoki poziom glukozy we krwi chłopca spadł do niemal normalnego.

**44 Stan kryzysowy**

ŁUKASZ GRAJEWSKI

Czwarta fala pandemii destabilizuje życie w Niemczech. Szpitale są pełne, politycy bezradni, społeczeństwo – podzielone.

**78 Dzieci mają wychodne**

KRZYSZTOF STORY

54 proc. dzieci w wieku przedszkolnym nie potrafi rozpoznać dębu. Aż 80 proc. umie za to zidentyfikować Justina Biebera.

**64 Mowa milczenia**

Poezja musi odpowiadać na pytania, które stawia sobie religia – RYSZARD KRYNICKI w rozmowie z WOJCIECHEM BONOWICZEM.

8 Omikron w ślad za Delta
WOJCIECH PIĘCIAK

9-13 Obraz tygodnia

22-23 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ KRAJ

24 Zielony Ład nie dotrze nad Wisłę
KAROLINA LEWICKA

28 Złoty na równi pochyłej
PIOTR WÓJCIK o przyczynach słabości polskiej waluty

30 Opowiadam Polskę na nowo
ALEX DANZIG, organizator wycieczek młodzieży izraelskiej do Polski: *Trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Żydzi są tylko inni czy może już obcy*

■ WIARA

34 Kiedy matkę się krytykuje
ARTUR SPORNIK:
Kościół katolicki przypomina dysfunkcyjną rodzinę, która nie umie sama siebie uleczyć

38 Koniec katolicyzmu masowego
PIOTR SIKORA o odpywie młodych z Kościoła

40 Ostatnie sześć tygodni
ROZMOWA
Z DALE'EM RECINELLĄ

■ ŚWIAT

44 Stan kryzysowy
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

47 Tragedia na Kanale
PATRYCJA BUKALSKA:
Co najmniej 27 migrantów utonęło podczas próby przeprawy z Francji do Wielkiej Brytanii

TEMAT TYGODNIKA

BEATA ZAWRZEŁ / REPORTER



14 Szczepieni ze sobą

MICHAŁ BILEWICZ, PSYCHOLOG:

Mamy klasyczną sytuację dylematu społecznego, gdy my zainwestowaliśmy, a inni jadą na gapę.

18 Wszyscy albo nikt

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Najwyższe ryzyko powstania wariantu odpornego na szczepionki pojawia się nie wtedy, kiedy poziom wyszczepienia jest niski, lecz gdy duży odsetek populacji jest zaszczepiony – i jednocześnie zostają poluzowane obostrzenia.

■ FELIETONY ■

33 DOROTA MASŁOWSKA **43** ZUZANNA RADZIK
58 TOMASZ STAWISZYŃSKI **76** JAN KLATA
77 PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: MICHAŁ BILEWICZ

Warszawa, listopad 2021 r.

FOTO: MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

48 Wszystko, co możemy

Reportaż MARCINA ŻYŁY ze wschodniej Słowacji sparaliżowanej przez pandemię

51 Buntownicza dusza

PIOTR BERNARDYN

52 Słodki chłopak z karabinem

MARTA ZDZIEBORSKA:
Uniewinnienie Kyle'a Rittenhouse'a, który zastrzelił dwóch uczestników antypolicyjnych zamieszek, wstrząsnęło USA

■ HISTORIA

54 Termopile na Brynowie

ZBIGNIEW ROKITA, tegoroczny laureat Nagrody Nike, o 40. rocznicy masakry w kopalni Wujek

■ NAUKA

60 Sto lat, insulino

ANNA BARTOSIK

■ KULTURA

64 Mowa milczenia

Rozmowa z RYSZARDEM KRYNICKIM

68 Przypadek Lewisa Carrolla

URSULA PIECEK I MACIEJ TOPOLSKI *zastanawiają się, jak czytać sztukę, która w czasie powstania nie budziła kontrowersji*

72 Kto zabił Monicę Lewinsky

JAKUB MAJMUREK o nowej serii „American Crime Story” traktującej o wydarzeniach, które zapowiadały nadejście epoki fake newsów

74 Jajko z niespodzianką

ANITA PIOTROWSKA zaprasza na najnowszy film Wesa Andersona

76 Przekraczanie granic

LEKTOR o książce „My, czytelnicy” Małgorzaty Łukasiewicz

■ ZMYŚŁY

78 Dzieci mają wychodne

KRZYSZTOF STORY

➡ Rosyjska ruletka

Kreml poszerza front walki z opozycją, dysydentami, nieprawowiernymi i z pamięcią historyczną

– o tym, czym naraził się Memoriał, pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA**
tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

➡ Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]

Moje doświadczenie było takie, że wszystko idzie w dobrą stronę: jak miałem 9 lat, skończył się komunizm, potem Polska weszła do NATO i UE. A za świadomego życia moich dzieci jest odwrotnie – opowiada **MIKOŁAJ ŁOZIŃSKI** powszech.net/podkast

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

OMIKRON W ŚLAD ZA DELTĄ

Świat czeka na wyniki badań nowego wariantu koronawirusa. Europa jest dziś największym światowym ogniskiem pandemii.

WOJCIECH PIĘCIAK

OMIKRON: TAKĄ NAZWĘ ŚWIATOWA Organizacja Zdrowia nadała nowemu wariantowi koronawirusa (w klasyfikacji naukowców: B.1.1.529), którego obecność po raz pierwszy stwierdzono w połowie listopada na południu Afryki. WHO uznała nowy wariant za bardzo niepokojący: z doniesień wynikało, iż jest bardziej zaraźliwy niż Delta, która sama w sobie jest bardziej zaraźliwa od pierwotnej wersji wirusa, i za sprawą której większość Europy doświadcza dziś czwartej fali pandemii.

Tym razem reakcje na pojawienie się Omikrona były błyskawiczne: kraje mające połączenia lotnicze z południem Afryki z dnia na dzień zawieszały je lub przynajmniej poddawały podróżnych ostrym procedurom (testy, kwarantanna). Mimo to pojedyncze jego przypadki wykryto już w wielu państwach Europy.

Ustalenie właściwości Omikrona powinno zająć naukowcom kilka-kilkanaście dni. Najważniejsze pytania brzmią: czy jest bardziej zaraźliwy od Deltę, czy powoduje cięższy przebieg covidu i czy szczepionki są wobec niego skuteczne? Pierwsze doniesienia pozwalają na ostrożny optymizm: wprawdzie Omikron może być bardziej zaraźliwy od Deltę, ale z relacji lekarzy z RPA wynika, że przebieg choroby jest łagodniejszy. Obserwowani pacjenci (choć młodszy wiekiem; RPA to młode społeczeństwo) skarżyli się na bóle mięśniowe i dojmujące znużenie, za to choroba oszczędzała płuca; nie tracili też węchu i smaku. Ostrożny optymizm wykazują też producenci szczepionek i deklarują, że w razie czego mogą w ciągu trzech miesięcy wprowadzić do dystrybucji zmodyfikowane preparaty. Badania Omikrona prowadzone są tak intensywnie, że być może z chwilą, gdy ten numer „TP”

Pierwszy dzień częściowego lockdownu w Holandii – po godz. 17. zamykane są sklepy, kawiarnie, instytucje kultury i rozrywki. Amsterdam, 28 listopada 2021 r.

trafi do czytelników, wyniki będą już znane.

Tymczasem większość Europy wciąż musi stawiać czoło Delcie. W minionych dniach niemal wszędzie notowano rekordowe liczby zakażeń. Bez wątpienia byłyby jeszcze wyższe, gdyby nie masowe szczepienia. I bez wątpienia byłoby też więcej ofiar: analiza sytuacji pokazuje zależność między odsetkiem zaszczepionych w danym społeczeństwie a skalą ciężkich przebiegów covidu i zgonów. Im mniejszy odsetek zaszczepionych, tym więcej ofiar. Fatalnie jest pod tym względem na Ukrainie i w Bułgarii, a ostatnio też w Polsce, gdzie umiera proporcjonalnie o wiele więcej ludzi niż w Wielkiej Brytanii czy Niemczech, nie mówiąc już o Hiszpanii i Portugalii, które są w Europie „zieloną wyspą”: w 47-milionowej Hiszpanii, gdzie w pełni zaszczepionych jest 80 proc., i gdzie mimo to wciąż obowiązują poważniejsze restrykcje niż w Polsce, notowano ostatnio dziennie po ok. 7 tys. nowych zakażeń i zaledwie po ok. 20 zgonów [o sytuacji na Słowacji i w Niemczech piszemy w korespondencjach w dziale Świat – red.].

Polska, gdzie aż do poniedziałku 29 listopada rząd nie decydował się na nowe restrykcje, była pod tym względem wyjątkiem: poza Wielką Brytanią (gdzie jednak wyszczepienie jest wyższe) wszystkie kraje podejmowały w ostatnich dniach energiczne działania związane jeszcze z Deltą. Ich charakter był różny: od przyspieszenia szczepień przez lockdown (w Austrii i Słowacji, częściowo w Holandii) po ograniczenia dla niezaszczepionych. Na to ostatnie zdecydowała się także Szwecja, która w pierwszej fazie pandemii unikała restrykcji (i zapłaciła za to wysoką śmiertelnością). Rozważa się też obowiązek szczepień: wprowadzi go Austria, a w wielu krajach (np. Włochy, Francja, Ukraina) dotyczy on pewnych grup zawodowych. Na tym tle ograniczenia, które w poniedziałek ogłosił minister Adam Niedzielski, są wciąż niewielkie. © P

Rząd nie zasypie dołu, który wykopał

NA DNIACH GUS POWINIEN PODAĆ dane o inflacji w listopadzie i wszystko wskazuje na to, że odczyt zdecydowanie przebieje próg 7 proc. (w październiku mieliśmy 6,8 proc.), a być może zbliży się do 8 proc. Tarcza antyinflacyjna, której szczegóły rząd upublicznił kilka dni temu, powinna dać złotemu chwilę ulgi, ale na pewno nie zatrzyma galopu cen. Przeciwnie – większość ekonomistów uważa, że apogeum drożyzny dopiero przed nami.

Oczywiście są w Europie kraje, w których inflacja rozszalała się jeszcze bardziej. Na Litwie jej wskaźnik HICP, liczony metodą nieco inną od stosowanej przez GUS, wyniósł w październiku 8,2 proc., w Estonii 6,8 proc., a na Węgrzech 6,6 proc. (dane z Polski przeliczone w identyczny sposób dają 6,4 proc.). Średnia dla całej Unii to jednak 4,4 proc. Wprowadzając tarczę antyinflacyjną, rząd zachowuje się więc jak szklarz z „Brzdąca” Chaplina. Próbuje usunąć zniszczenia, które sam wywołał.

Rzecz jasna, nie wszystko jest tutaj winą ekipy Mateusza Morawieckiego. Uderzenie inflacji wynika przede wszystkim z polityki luzowania ilościowego, czyli pompowania do gospodarki miliardów złotych dla uniknięcia jeszcze gorszego scenariusza, jakim byłaby wywołana przez lockdown recesja. To należało zrobić, ale nie w wybrany przez rząd sposób. Błędem było m.in. doinwestowanie 3 mld zł tzw. bonu polskiej branży turystycznej, która latem 2020 r. i tak nie mogła się opędzić od klientów, gdy wakacje zagraniczne stały się trudniej osiągalne za sprawą ograniczeń epidemicznych. NBP [zob.

tekst w dziale Kraj – red.] sam zaś dolewał oliwy do inflacyjnego ognia, opowiadając mieszkańcom bajki o ryzyku deflacji i osłabiając polską walutę, aby doraźnie poprawić kondycję finansów publicznych i ułatwić Polsce zadłużanie się pod kolejne tarcze. Skumulowane efekty tych błędów uderzają właśnie dzisiaj.

Co dostajemy jako środek przeciwbólowy? W przypadku benzyny 95 zmiany podatkowe zawarte w tarczy antyinflacyjnej poskutkują obniżką o ok. 10 groszy na litrze, co pozwoli wrócić średnim cenom na stacjach poniżej psychologicznego progu 6 zł. Tymczasowe zmiany w opodatkowaniu gazu i energii elektrycznej dadzą przeciętnemu gospodarstwu domowemu oszczędności rzędu 30 zł na kwartał, ale mowa o wyliczeniach, których bazę stanowią bieżące ceny. Od nowego roku większość dostawców wprowadzi podwyżki, które zapewne skonsumują tę obniżkę w całości. Na domiar złego nie należy oczekiwać, by tarcza zniwelowała efekt inflacyjny. Ekonomiści są zgodni, że zaproponowane w niej rozwiązania zmniejszą dynamikę inflacji w najlepszym razie o jeden punkt procentowy – a na dłuższą metę mogą zadziałać wręcz proinflacyjnie.

Koszty tarczy wyniosą ok. 10 mld zł. Trzy czwarte tych wydatków niejako pokryje się samo, bo tyle wyniesie nadwyżka wpływów z VAT, które winduje teraz inflacja. Na resztę rząd będzie jednak musiał się zadłużyć, a to nie pozostanie bez wpływu na siłę złotego, ceny paliw i kolejne elementy układające się w tzw. pętlę inflacyjną. NBP zmuszony będzie dalej podnosić stopy procentowe. To już zadziała, choć dla niemal 45 proc. Polaków, niemających w bankach niczego poza kredytami konsumpcyjnymi, oznaczać będzie dalszy spadek standardu życiowego. © P MAREK RABIJ

Siedziba Narodowego Banku Polskiego, Warszawa, 25 listopada 2021 r.



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Dlaczego rejestr miałby pomóc?

MAŁGORZATA NOCUN



NIC DZIWNEGO, ŻE „REJESTR CIĄŻ” budzi w kobietach lęk. Obecna władza straciła u wielu z nich zaufanie. Co prawda „rejestr” mógłby odegrać rolę pozytywną, ale nie w rzeczywistości, w której się znaleźliśmy.

Nikt precyzyjnie nie wyłożył, jakie dokładnie informacje będą zbierane (czy nie okażą się np. sprzeczne z RODO) i czemu posłużą, zwłaszcza że w Sejmie leży projekt całkowitego zakazu aborcji. Minister Adam Niedzielski uspokaja: „rejestr” to nic innego jak przeniesienie danych z dokumentacji papierowej do systemu cyfrowego. W wielu sytuacjach informacje w nim odnotowane (grupa krwi pacjentki, przebyte choroby, przyjmowane leki) mogą być cenne. Na przykład: do szpitala trafia nieprzytomna pacjentka w ciąży. Kobiętom spodziewającym się dziecka nie wolno podawać niektórych leków i wykonywać u nich niektórych procedur. Na podstawie rejestru lekarze mogliby się dowiedzieć o liczbie ciężarnych cierpiących na raka, posiadających rzadką grupę krwi, będących w ciąży mnogiej i zagrożonych porodem przedwczesnym. Te pacjentki należą otoczyć dodatkową opieką. Hospitalizować w specjalistycznych ośrodkach.

Trudno sobie jednak wyobrazić, że w obecnej sytuacji ochrony zdrowia „rejestr” spełni swoje zadania. Dlaczego miałby funkcjonować i być wsparciem dla lekarzy i kobiet, jeśli żaden inny program w NFZ nie działa? Jakże często fikcją okazuje się „szybka terapia onkologiczna”, nie działa też ustawa „Za życiem”, gwarantująca dzieciom z niepełnosprawnościami dostęp do specjalistów. Problemy ciężarnych są w środowisku medycznym dobrze rozpoznane i to je należy rozwiązać w pierwszej kolejności. Mowa o: zwiększeniu miejsc w szpitalach o trzecim stopniu referencyjności, stworzeniu specjalistycznych ośrodków neonatologicznych (co władza PiS obiecywała), wyposażeniu gabinetów i kształceniu lekarzy, także za granicą, gdzie zdobywa się certyfikaty niezbędne do niektórych badań. ©

KRAJ W SKRÓCIE

SKRZYNKA

Wicepremier Jacek Sasin w rozmowie z RMF potwierdził autentyczność jednego z upublicznianych przez hakerów maili ze skrzynki Michała Dworczyka. Michał Dworczyk pozostaje członkiem rządu.

SĘDZINA

Trybunał Konstytucyjny uznał, że przepis Konwencji o ochronie praw człowieka, pozwalający europejskiemu trybunałowi na dokonywanie ocen legalności wyboru sędziów TK, jest niezgodny z polską konstytucją. Media w zasadzie nie zajęły się tematem, co wypadło uznać za ocenę wiarygodności ciała zarządzanego przez Julię Przyłębską.



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

SPORT

Rządzący z kolei w zasadzie nie zajmują się informacjami na temat interesów wiceministra sportu Łukasza Mejszy, od którego zależy większość sejmowa. WP opisała procedurę, w którym założona przez Mejszę firma oferowała ciężko chorym ludziom kosztowne leczenie niesprawdzonymi metodami – interes nie wypalił, ale wiele rodzin pacjentów czuje się oszukanych.

STRAJK

Marta Lempart rozlała czerwoną farbę przed wejściem do siedziby PiS. Deklarując obronę praw kobiet (chciała zwrócić uwagę na projekt ustawy o całkowitym zakazie aborcji), naruszyła prawa kobiety sprzątającej budynek: kamery zarejestrowały sprzeczkę, w której ta druga daremnie domaga się, by liderka Strajku Kobiet po sobie posprzątała.

Czy presja Zachodu ostudzi zapędy Kremla

NAPIĘCIE NA GRANICY UNIJNO-BIAŁORUSKIEJ nieco spadło, ale za wcześniej, by mówić, że kryzys bliski jest rozwiązania. Pozytywny sygnał to ewakuacja przez Irak 1,9 tys. swych obywateli, spadła też liczba prób nielegalnego przekroczenia granicy. Jednak po drugiej stronie pozostaje kilka tysięcy migrantów, z których tylko część ma dach nad głową w magazynie przy granicy. Wielu innych koczuje w lasach przykrytych pierwszym śniegiem. Na rozwiązanie kryzysu nie wskazuje wojownicza retoryka Łukaszenki, który wciąż oskarża Unię o wywołanie tego kryzysu i grozi napływem uchodźców z Afganistanu.

Jednocześnie rośnie temperatura sporu na linii Rosja–Zachód ze względu na koncentrację armii rosyjskiej przy granicy z Ukrainą i obawy, że może to być przygotowanie do nowej agresji. Ze stolic zachodnich płyną wyrazy wsparcia dla Kijowa i ostrzeżenia wobec Moskwy, która jednak kontynuuje pogroźki. Jej celem jest zastraszenie Zachodu, by przystał na korzystne dla niej rozwiązanie konfliktu w Donbasie, czego efektem byłoby zyskanie przez Rosję wpływu na całą Ukrainę.

Na powagę sytuacji wskazuje polska ofensywa dyplomatyczna: wizyty premiera Morawieckiego od państw bałtyckich po Londyn, Paryż i Berlin oraz prezydenta Dudy w kwaterze głównej NATO. Z komunikatów można sądzić, że nasi unijni partnerzy zdają sobie sprawę, iż na Wschodzie może dojść do poważnej eskalacji. Kluczowe pytanie, wciąż bez odpowiedzi, brzmi: czy Zachód jest w stanie wyrzucić skuteczną presję na Rosję, by ostudzić jej rewizjonizm.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Pegasus już nie dla Polski

PROKURATOR EWA WRZOSEK, która prowadziła śledztwo w sprawie „wyborów kopertowych”, otrzymała z firmy Apple ostrzeżenie o cyberataku na jej telefon. Z komunikatu wynika, że próby włamania miały dokonać służby państwowe z uwagi na jej działalność zawodową. Atak nastąpił najprawdopodobniej za pośrednictwem izraelskiego systemu inwigilacyjnego Pegasus, pozwalającego na dostęp do zawartości telefonu i podsłuchiwanie rozmów. Sprawę mają zbadać sejmowa komisja cyfryzacji i prokuratura.

Pegasus trafił właśnie na czarną listę w USA za to, że był używany przez niektóre kraje do represji politycznych. Polskie służby nigdy nie potwierdziły jego zakupu, ale raporty informatyków i analizy inspektorów NIK wskazują, że system nabyto za ponad 30 mln zł. Co ciekawe, pod naciskiem USA Izrael znacznie ograniczył liczbę państw (ze 102 do 37), które mogą korzystać z Pegasus. Z listy wypadły m.in. Polska i Węgry, jako kraje niedające gwarancji przestrzegania praw człowieka. © P KĘS



GEOFFREY SWANE / AVALON / PAP

BLIŹNIACZKI – dwupółmetrowa rzeźba autorstwa Johna Buckleya stała w Braziers Park koło Wallingfordu w Anglii. To nawiązanie do niedawnej konferencji COP26, podczas której nie doszło do żadnych ustaleń mogących zatrzymać katastrofę klimatyczną. Rzeźba wykonana była już w 2000 r. – od tego czasu leżała w magazynie. Tworząca je glina samoistnie spękała, co jeszcze bardziej zbliżyło dzieło do pierwotnej koncepcji. Inspiracją do powstania monumentu była chęć zwrócenia uwagi na problem suszy i głodu w krajach Afryki. © P JT

Niemcy skracają w lewo

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA



SOJALDEMOKRATYCZNA PARTIA NIEMIEC (SPD), Zieloni i liberałowie z FDP zaprezentowali umowę koalicyjną i podział ministerstw. Do zaprzysiężenia rządu dojdzie w pierwszej połowie grudnia.

SPD, która wygrała wybory, wzięła resorty codziennego zarządzania państwem: MSW oraz ministerstwa pracy, zdrowia, budowy, ale i obrony. 63-letni Olaf Scholz, przyszedł kanclerz, to pragmatyczny macher z ogromnym politycznym doświadczeniem. On i jego partia będą niejako kontynuować linię Angeli Merkel, która zamiast fajerwerków i wielkich obietnic wolała mozolne popychanie spraw do przodu. Główne obietnice SPD to podniesienie płacy minimalnej do 12 euro brutto za godzinę i budowa 400 tys. nowych mieszkań rocznie.

Ryzykowne tematy socjaldemokracji odda partnerom. Przejmując resorty środowiska i rolnictwa, a przede wszystkim gospodarki, Zieloni biorą na swoje barki transformację energetyczną. Powiększony resort gospodarczy, który teraz będzie odpowiadać także za ochronę klimatu, ma być narzędziem odchodzenia do 2030 r. od spalania węgla. Do końca tej dekady 80 proc. energii ma pochodzić z odnawialnych źródeł.

Natomiast liberałowie wzięli m.in. finanse, transport i cyfryzację oraz edukację. To zestaw nieprzypadkowy. W kampanii FDP najgłośniej podkreślała potrzebę unowocześnienia państwa i odejścia od przysłowiowego faksu, w Niemczech nadal powszechnie używanego.

Rząd Scholza będzie prowadził politykę lewicowo-liberalną. Trzy partie zgodziły się na zalegalizowanie marihuany, łatwiej będzie zmienić płć, ułatwiony zostanie dostęp do aborcji, związki nieformalne otrzymają ulgi dotąd dostępne tylko dla małżeństw. Ruszy narodowy plan działania na rzecz akceptacji mniejszości seksualnych, z budżetem 70 mln euro. Szykują się też duże zmiany w polityce migracyjnej. Osoby spoza Unii mają uzyskać łatwiejszy dostęp do niemieckiego rynku pracy i prosty dostęp do obywatelstwa, nawet po tylko trzech latach pobytu.

MSZ trafi w ręce Zielonych. To partia krytyczna wobec Kremla i Nord Stream 2, więc pojawia się szansa na bardziej asertywną politykę Berlina wobec Moskwy. Natomiast wszyscy koalicjanci chcą pogłębionej integracji Unii – w umowie mowa jest o rozwoju Unii w kierunku federalnego państwa europejskiego. ©

Jedność droższa niż grzywny

OKOŁO STU Tatarów Krymskich, w tym wiele kobiet, ze świecami w rękach przybyło pod areszt śledczy w okupowanym przez Rosję Symferopolu, by powitać wychodzącego na wolność Edema Semedlajewa. Ten tatarski prawnik, specjalizujący się w sprawach więźniów politycznych, został zatrzymany przez rosyjskie służby dwa tygodnie wcześniej. Oficjalnym powodem aresztowania było to, że odmówił wyłączenia dyktafonu, gdy rosyjscy śledczy naciskali na jego klienta na przesłuchaniu. Semedlajewa skazano na 12 dni aresztu.

– Edema zna każda rodzina więźniów politycznych. Teraz i on jest ofiarą represji. Chcemy go ciepło powitać. Wiemy, że cierpiał ze względu na nas – mówi „Tygodnikowi” żona jednego z krymskotatarskich więźniów.

Powitanie nie trwało długo, po kilku minutach rosyjscy funkcjonariusze ruszyli na tłum. Pod zarzutem naruszenia porządku i nielegalnego zgromadzenia zatrzymano 31 osób, w tym 7 kobiet i osoby nieletnie, a także czterech dziennikarzy obywatelskich, którzy robili wideorelację. Wszystkich skazano łącznie na 251 dni aresztu i ponad 100 tys. rubli grzywny. W odpowiedzi na Krymie rozpoczęto akcję „Jedność jest droższa niż grzywny”. Tatarzy publikują w sieciach społecznościowych zdjęcia darowizn, często w formie wiader z dziesięciuroblowymi monetami (w ten sposób rosyjscy urzędnicy zmuszani są do żmudnego przeliczania dostarczonych grzywien).

– To wyroki nie dla poszczególnych osób, ale całego narodu, dlatego spłacimy te kary wspólnie. Rosja chce pokazać, że nie mamy prawa protestować, że nawet prawników nie chroni immunitet. Teraz okazuje się, że nie mamy prawa cieszyć się z czyjegoś wyjścia na wolność. Ale dopóki jesteśmy razem, mamy siłę. Wszystkich nas nie zamkną – mówi nam uczestniczka akcji.

Represje wobec Tatarów na anektowanym Krymie trwają nieustannie od 2014 r.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA z Kijowa

Biskupów nikt już nie słucha

EDWARD AUGUSTYN



DAWNO NIE BYŁO SŁYCHAĆ W EPISKOPACIE tytułu krytycznych słów wobec rządu – który na każdym kroku podkreśla przywiązanie do chrześcijańskich wartości i katolickiej tradycji Polski – jak podczas ubiegłotygodniowej debaty „Kościół w Polsce wobec migrantów i uchodźców”. Mówiono nie tylko o odmiennym od rządowego stanowisku biskupów wobec kryzysu na granicy i odmowie rozmów na temat pomocy potrzebującym, ale też oskarżono władzę o działania niehumanitarne, sprzeczne z prawem i ewangelią, o brak jakiegokolwiek polityki migracyjnej po 2015 r. i zamykanie oczu na problem, z którym Polska, tak jak i inne kraje europejskie, prędzej czy później musiała się zmierzyć.

Ale chyba nie tylko rząd nic w tej kwestii nie zrobił. Biskupi powinni uderzyć się także we własne piersi. Przez ostatnie 6 lat Kościół w Polsce

w żaden sposób nie pomógł ludziom, by pokonali w sobie lęk – zrozumieli, choć też celowo rozbudzeni. Lęk przed obcym człowiekiem, ale też przed nieuchronną zmianą, której imigranci u polskich granic – bez względu na to, czy widzimy w nich głównie młodych, zdrowych mężczyzn, czy kobiety z dziećmi – są symbolem. Zmianą, której Polacy nie chcą i wciąż nie są na nią gotowi.

„Nikt nie słucha naszych apeli: ani rząd, ani społeczeństwo” – mówili biskupi. Dodajmy: ani nawet księża, którzy w dużej mierze zbankotowali ogłoszoną przez episkopat zbiórkę pieniędzy na pomoc imigrantom. Trudno o bardziej gorzkie podsumowanie roli Kościoła we współczesnej Polsce. ©P

Więcej na: powszech.net/biskupigranica

SALVATORE CERNUZIO,
AUTOR KSIĄŻKI „IL VELO DEL SILENZIO”

Zastona milczenia



EDWARD AUGUSTYN: W swojej najnowszej książce opisujesz historie 11 siostr zakonnych, które doznały przemocy w Kościele. O jakiej przemocy mówimy?

SALVATORE CERNUZIO: O nadużyciach władzy i sumienia: wykorzystaniu seksualnym, molestowaniu, szantażu, publicznym upokarzaniu. Czasem to przemoc subtelna i trudna do rozpoznania.

Czy jest coś, co łączy te historie z różnych krajów, w tym z Polski?

Wszystkie pokazują podobny schemat: zamknięty, sztywny i nierównoważony system, powiązany z przed-soborowymi strukturami, gdzie wszystko jest w rękach przełożonej, która decyduje o życiu „swoich” zakonnic.

Przedmowę do książki napisała s. Nathalie Becquart, podsekretarz Synodu Biskupów. Ty jesteś współpracownikiem watykańskich mediów. Czy to znaczy, że Watykan stać na szczerą rozmowę o kolejnym trudnym problemie?

Na pewno książka jest odzwierciedleniem chęci Franciszka, aby w przypadku wszelkich nadużyć kierować się transparentnością i szukaniem prawdy, nawet najtrudniejszej.

SALVATORE CERNUZIO jest dziennikarzem watykańskiego portalu Vatican News.

Ukryta droga synodalna

„**JAK NAJMNIEJ** odgórnego instruktażu, a jak najwięcej oddolnej kreatywności” – tak do zaangażowania się w prace synodu o synodalności zachęca bp Adrian Galbas. Przewodniczący Rady Apostolstwa Świeckich Episkopatu poinformował o kalendarzu prac synodalnych ustalonym przez polskich biskupów. Do połowy maja 2022 r. mogą trwać konsultacje na poziomie parafialnym oraz w ruchach apostoelskich. Do końca czerwca do Sekretariatu Episkopatu Polski winny trafić syntezy diecezjalne. Sekretariat z kolei syntezę krajową musi przekazać do Watykanu do połowy sierpnia. Bp Galbas zachęca do zapoznania się z informacjami i materiałami synodalnymi na stronach diecezjalnych. Czy można je łatwo znaleźć?

Na 14 archidiecezji 10 ma zakładkę synodalną na głównej stronie, w tym dwie – krakowska i szczecińsko-kamieńska – w oknie z ruchomymi zawawkami. Na stronach archidiecezji częstochowskiej, katowickiej, lubelskiej i przemyskiej trzeba jednak użyć wyszukiwarki.

©P ARTUR SPORNIAC

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PAPIESKI APEL

Franciszek upominał się o los migrantów: „Odczuwam smutek na wieść o sytuacji, w której wielu z nich się znajduje, o tych, którzy zginęli w kanale La Manche, o tych na granicach Białorusi, z których wielu to dzieci, o tych, którzy utopili się w Morzu Śródziemnym” – powiedział po niedzielnej modlitwie „Anioł Pański”, apelując, by dialog wziął górę nad polityczną instrumentalizacją problemu migracji.

POŚMIERTNA NIESŁAWA

Archidiecezja Los Angeles zakazała korzystania z muzyki skomponowanej przez hiszpańskiego księdza Cesáreo Gabaráina – autora słynnej „Barki”. Powodem są wiarygodne informacje o wykorzystaniu seksualnym przez zmarłego w 1991 r. duchownego co najmniej kilkunastu małoletnich. Archidiecezja czyni to z szacunku dla jego ofiar.

TAIZÉ INACZEJ

Europejskie Spotkanie Młodych, zaplanowane od 28 grudnia 2021 r. do 1 stycznia 2022 r. w Turynie, odbędzie się online – zdecydowali bracia z ekumenicznej wspólnoty z Taizé, którzy jednocześnie wszystkich chętnych zaprosili do Turynu w dniach od 7 do 10 lipca 2022 r. Już drugi raz pandemia zakłóca spotkanie, które pierwotnie miało się odbyć na przełomie 2020/2021 r.



ŁUKASZ GRAJEWSKI

opowie Agnieszka Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM o kryzysie w Niemczech wywołanym czwartą falą pandemii (tekst na s. 44). Słuchaj rozmowy w środę 1 grudnia o godz. 15.20. 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl



BARTEK BARCZYK / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU IM. SŁOWACKIEGO

„DZIADY” W SŁOWACKIM. W krakowskim Teatrze im. Słowackiego Maja Kleczewska wraz z dramaturgiem Łukaszem Chotkowskim wystawili „Dziady” Adama Mickiewicza. W najbliższych numerach „TP” opublikujemy recenzję spektaklu i rozmowę z grającą rolę Konrada Dominiką Bednarczyk.

Efekt mrozący



PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

PO TYM, JAK MAŁOPOLSKA KURATOR „ZDECYDOWANIE ODRADZIŁA” szkołom wizytę w Teatrze im. Słowackiego, w sieci oraz w części mediów zakipiła od słusznego oburzenia, a później od triumfalizmu. Oto do teatru walą tłumy, przedstawienie ma zapewnioną widownię na miesiące, pedagogzy zaś wiedzeni genem wolności i buntu ze zdwojoną werwą szykują się do omawiania spektaklu.

Wszystko to prawda, ale myląca. Bo równoległe działania kuratorki i władz centralnych – krakowskiej nadzorczyńi oświaty zdążył już pogratulować minister Czarnek – prowadzą do podręcznikowej wersji czegoś, co prawnicy zwą „efektem mrozącym”. Prawdziwy obraz polskiej szkoły to nie tylko elitarna placówka z Krakowa czy Warszawy – to też armia kiepsko opłacanych i zde-motywowanych nauczycieli i dyrektorów, którzy na bunt nie mają sił. Nie robią niczego, co byłoby podejrzane. A że podejrzane jest już prawie wszystko (edukacja seksualna, warsztaty antyprzemocowe czy event konstytucyjny, za udział w którym stanowisko straciła dyrektorka szkoły w Dobczycach), to nauczanie w wielu miejscach sprowadza się do ślepej realizacji podstawy programowej. Na motto tej opowieści nadają się wypowiedziane do kamer TVN słowa dyrektorki wielkiego liceum, tłumaczącej odwołanie wyjścia do teatru: „Jako dyrektor i profesjonalista nie mam zdania, realizuję zalecenia nadzoru”.

Kuratorka recenzująca spektakl (i wywodząca swój sprzeciw wobec niego z zadekretowanej w preambule prawa oświatowego miłości do Ojczyzny) może się zdać postacią tak przerysowaną, że aż nierzeczywistą. Ale wspomniany efekt mrozący jest jak najbardziej realny.

© TP

KULTURA W SKRÓCIE

LUSZAWICE

Dwór w Łusławicach (woj. małopolskie), w którym przez 40 lat mieszkali Elżbieta i Krzysztof Pendereccy, stał się własnością Skarbu Państwa. Przejdzie on pod opiekę znajdującego się po sąsiedzku Europejskiego Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego. Już wiosną będzie można zwiedzać zarówno mieszkanie kompozytora, jak łusławicki park. Planowane są również koncerty.

MICHNIOŹ

Mauzoleum Martyrologii Wsi Polskich zwyciężyło w międzynarodowym konkursie architektonicznym Yuanye Awards, do którego zgłoszono 1300 projektów z całego świata.

Placówka w Michniowie (woj. świętokrzyskie), zaprojektowana przez pracownię Nizio Design, upamiętnia wsie spacyfikowane w czasie II wojny światowej.



MATERIAŁY PRASOWE DESA UNICUM

WARSZAWA

„Dziewczyny do więzienia” – wczesny obraz (na zdjęciu) pochodzący z Gdańska Ewy Juszkiewicz wylicytowano na aukcji organizowanej przez Desa Unicum za ponad milion zł. Dzieła artystki od kilku miesięcy biją rekordy najważniejszych domów aukcyjnych świata.

Dwa tygodnie temu nowojorski Phillips sprzedał portret Juszkiewicz „Girl in blue” za równowartość ponad 3 mln zł. W październiku na aukcji Christie’s z kolei „Grove” wylicytowano za prawie 2,4 mln zł.

Niewierność albatrosów

WŚRÓD TYCH PTAKÓW MORSKICH, żyjących z zasady w monogamicznych parach, może dojść do fali rozwodów. Badania wskazują, że decyzja o zmianie partnera jest powiązana ze zmianami klimatycznymi. Zespół Francesco Ventury przeanalizował dane dotyczące ponad 15 tys. par albatrosów czarnobrewych, gromadzone przez 15 lat. Największy wpływ na decyzję o przyszłości związku ma sukces reprodukcyjny – kiedy parze udało się spłodzić i zachować przy życiu pisklę, to prawdopodobieństwo rozwodu było niewielkie. Nawet pięciokrotnie wzrastało natomiast podczas porażki i bardziej opłacało się samicom – ich szansa na spłodzenie potomstwa nieznacznie rosła.

Chociaż średnio tylko niecałe 4 proc. samic dopuszczało się niewierności, to z roku na rok ten odsetek znacząco się wahał – od 0,8 do 7 proc. Zmiany miały związek z anomaliami w temperaturze powierzchni morza – im wyższe były anomalie, tym większa była liczba obserwowanych rozwodów, także wśród samic odnoszących sukces reprodukcyjny w poprzedniej parze. Zmienne warunki środowiska mogą prowadzić do pogorszenia wydajności ptaków – a samice zachowują się tak, jakby obwiniały o to partnerów. Albo ich wymagania wzrosły.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

RDC ANNA BARTOSIK
POLSKIE RADIO opowie

Grzegorzowi Chłacie o stuleciu insuliny (tekst na s. 60). Słuchaj w środę 1 grudnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.dcp.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM |
Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

TEMAT
TYGODNIKA



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Pomnik Adama Mickiewicza, Kraków

SZCZEPIENI ZE SOBĄ

MICHAŁ BILEWICZ, PSYCHOLOG SPOŁECZNY:

Emocje są rozchwiane, bo konflikt o szczepienia i obostrzenia
toczymy na gruncie moralnym.
W takim sporze trudno o subtelności.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Przyznam się: jestem sfrustrowany i zły. Jeździłem kilkadziesiąt kilometrów, żeby się jak najszybciej zaszczepić, zrezygnowałem z wielu relacji, spraw i przyjemności, żeby zostawać w domu, przestrzegałem obostrzeń. A teraz w tramwaju czy pociągu widzę zadowolonych z siebie ludzi bez maseczek, w statystykach zaś rzesze niezaszczepionych. Nikt od nich niczego nie wymaga.

DR HAB. MICHAŁ BILEWICZ: Jeszcze bardziej sfrustrowany i zły będzie pan, gdy się pan dowie, że mimo naszych szczepień, dystansowania i noszenia masek następuje kolejny lockdown – a my czujemy, że odpowiadają za to ci, którzy nie chcieli się szczepić. To klasyczna sytuacja dylematu społecznego, w którym my za inwestowaliśmy, a inni jadą na gapę. Nasze prospołeczne zachowanie jest wykorzystywane przez tych, którzy działają w sposób antyspołeczny, nie postępują zgodnie z normą kooperacji.

Nie jest to nic nowego – dzieje się tak w wielu domenach życia. Ale w przypadku pandemii regulatorem tej sytuacji powinno być państwo, więc trzeba zapytać o jego działania.

**Państwo – ustami wiceministra zdrowia Waldemara Kraski – powie-
działo nam, że nie może nic, gdyż
Polacy i tak nie posłuchają, bo mają
„gen sprzeciwu”.**

Mogłoby tymczasem skorzystać z badań naukowych, choćby z naszych. Np. po to, by zrozumieć, kim są ludzie, którzy nie chcą się szczepić.

Obiegowa opinia głosi, że to elektorat prawicy, dlatego rząd boi się działać.

Przebadaliśmy dwa wyróżniane przez psychologię polityczną światopoglądy należące do repozytorium prawicowości czy konserwatyzmu.

Jeden to tzw. światopogląd autorytarny. Przejawiają go ludzie postępujący zawsze zgodnie z nakazami władzy i autorytetu, ślepo przywiązani do prawa i porządku. Drugi to światopogląd hierarchiczny, czy też orientacja na dominację społeczną. Według niego państwo i prawo zawsze są podejrzane, a najważniejsza jest wolność jednostki nieskrępowana podatkami, restrykcjami czy zasadami. To wiara w świat-dżunglę, w któ-

rym wygrywa silniejszy, bo takie jest prawo natury.

Brzmi jak Konfederacja.

Zgadza się – pierwszy światopogląd zaś koresponduje raczej z ideologią PiS. Jego przedstawiciele, konserwatyści autorytarni, gorliwie stosują się do obostrzeń i gotowi są poddać się szczepieniom. Jak zobaczyliśmy w wynikach badań, antyszczepionkowcy to głównie ludzie ze światopoglądem hierarchicznym.

Jak on się łączy ze sprzeciwem wobec szczepień i restrykcji?

Dla jego reprezentantów nie do zaakceptowania jest powszechny charakter szczepień, bo jest z ducha egalitarny – zaspokaja potrzeby zdrowotne wszystkich, stosując zarazem przymus państwa. Tymczasem oni nie tolerują wyrównywania szans przez państwo, bo zdrowi mają być ci, których na to stać. Można wręcz powiedzieć, że nie są oni antyszczepionkowcami, lecz procovidowcami – ta choroba, jako że uderza nierówno, bo szczególnie w osoby starsze i chore, pasuje do ich darwinistycznego sposobu myślenia. Dodajmy, jak najodleglejszego od chrześcijaństwa, a jednocześnie obecnego na prawicy.

Co z tej wiedzy wynika dla rządu?

Choćby to, że jego komunikacja powinna być dostosowana również do ludzi o światopoglądzie hierarchicznym. Wiadomo, że często wierzą oni w teorie spiskowe, więc nie da się ich przekonać poprzez odwoływanie się do prawomocnych źródeł wiedzy. Nie przekonają ich też apele rządu, bo nie wierzą w autorytet państwa i władzy. Można ich natomiast przekonać, pokazując im, że ich pozycja w hierarchii społecznej może się w wyniku niezaszczepienia pogorszyć – czyli że przestaną być tymi silniejszymi. Np. gdy nie będą mieli dostępu do wielu usług, nie będą mogli pójść do kina, posłać dzieci do przedszkola. Oni muszą poczuć, że warto się zaszczepić.

Czyli przeciwników restrykcji dla niezaszczepionych przekonałby restrykcje dla niezaszczepionych?

Tymczasem tego argumentu w ogóle się w Polsce nie wykorzystuje. A jak pokazują nasze badania, w Polsce ludzi o światopoglądzie hierarchicznym jest znacznie więcej niż w Niemczech

czy Wielkiej Brytanii. Większa jest też liczba niechętnych szczepieniom. Szacujemy, że to 26 proc. Polaków. W Anglii to ok. 8 proc., w Niemczech ok. 18 proc.

**Rząd zapewne boi się tego, co by nastąpiło, zanim daliby się przekonać – skoro na Zachodzie wybuchały żywiołowe protesty przeciw restrykcjom, to co by się działo u nas...
Zwłaszcza że protesty trzęsą już jego zapleczem parlamentarnym.**

Pytanie, czy protesty rzeczywiście byłyby takie duże. Ekstremiści, zdeklarowani ideolodzy ruchu antyszczepionkowego rozpowszechniający teorie spiskowe, to, jak szacuje Michał Wróblewski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, kilka procent Polaków. Ta grupa mogłaby wyjść na ulice, pytanie, czy zdołałaby na nie ściągnąć rzesze szczepionkowych sceptyków. Moim zdaniem ryzyko protestów to koszt, który rząd powinien ponieść.

Skoro na prawicy znajdziemy gorliwych zwolenników obostrzeń i szczepień, to czy przeciwników znajdziemy po drugiej stronie sceny politycznej?

Oczywiście. Tradycyjna oś różnicowania między prawicowością a lewicowością, bądź konserwatyzmem a liberalizmem, przestaje się sprawdzać, gdy idzie o postawy wobec szczepień. Badania Matthew Hornseya w Hiszpanii pokazują, że tam antyszczepionkowcy to głównie radykalna, kontrkulturowa lewica o wysokim poziomie wykształcenia. W innych krajach wśród ideologów antyszczepionkowych widzimy skrajną prawicę – w Polsce posłów Konfederacji, w Niemczech neofaszystów – ale z drugiej strony liberalnych czy lewicowych celebrytów. Ikoniczną postacią tego ruchu był Attila Hildmann – Niemiec pochodzenia tureckiego, słynny autor wegańskich książek kucharskich, który w pewnym momencie zaczął głosić różne teorie spiskowe, w tym antysemitki. Na demonstracjach antyszczepionkowych w Niemczech skrajna prawica spotyka się ze środowiskami ezoterycznymi i instruktorami jogi, a kolejne ogniska koronawirusa wybuchają w szkołach waldorfskich, postreganych u nas jako postępowe i liberalne. W Polsce również sceptycyzm wobec odkryć naukowych i medycyny jest dość powszechny w tych środowiskach. ➔

→ Twarzą ruchu antyszczepionkowego, jak najdalszą od prawicy, jest adwokat Piotr Schramm, który jeszcze niedawno dostał podziękowania od Rzecznika Praw Obywatelskich za obronę praworządności.

W moim tramwaju pasażer bez maseczki manifestuje, że nie da sobie narzucić żadnych ograniczeń?

Być może, a to trafia w Polsce na podatny grunt. Bo zaufanie do instytucji państwa jest u nas stosunkowo małe. Ma to źródła kulturowe w szlacheckiej dezygnacji, a przede wszystkim w długim doświadczeniu zaborów i okupacji, gdzie prawo było czymś narzuconym i obcym.

Poważnie, to znów wina zaborów i okupacji? A może, skoro znaczna część naszego społeczeństwa wierzy w prawo silniejszego, to coś zostało zaprzepaszczone po transformacji, gdy zamiast budowania postaw obywatelskich i świadomości dobra wspólnego rej wodził kapitalistyczny mit self-made mana i dziki indywidualizm?

Zgoda, figura self-made mana, mocno promowana w latach 90., w jakiś sposób na to wpłynęła. Edukacja przesiąkała rywalizacyjnym podejściem – w polskiej szkole do dziś uczniowie nie są nagradzani za pracę w zespołach, tylko za osiągnięcia lepsze niż u innych. Obowiązują reguły gry o sumie zerowej: ja się dostanę do dobrego liceum, a ty nie. Ta postawa dominowała od edukacji po wzorce zachowań bohaterów seriali. Trudno się dziwić, że ukształtowało to podobne postawy. Pytanie tylko, czy był to efekt transformacji czy raczej odziedziczonego po dawnych czasach braku zaufania do instytucji i wspólnoty. Z wyłączeniem krótkiego okresu Solidarności, Polska nie doświadczyła zbyt wielu momentów, w których kategorie wspólnotowe miałyby szczególne znaczenie. Nawet komunizm wspierał myślenie indywidualistyczne: małuch dla każdego, a nie sprawnie działająca komunikacja miejska dla wszystkich.

Tak czy inaczej, głęboką nieufność Polaków wobec państwa zobaczyliśmy także w badaniach porównawczych, które prowadziliśmy wraz z Niemcami, żeby sprawdzić, czy w tych dwóch państwach postawy autorytarne wzrosły pod wpływem lęku przed epidemią. Tak się stało, ale w każdym kraju ina-

LICZBY PANDEMII

Znaczny odsetek Polaków popiera obostrzenia dla niezaszczepionych:

39,7%

wg United Surveys

43%

wg CBOS

55%

wg Kantar

CBOS, KANTAR DLA „GW”, UNITED SURVEYS
DLA „DGP”, LISTOPAD 2021

24%

OGÓŁU POLAKÓW

nie ma zamiaru się zaszczepić

CBOS, LISTOPAD 2021

52%

WYBORCÓW PIS

jest za obostrzeniami
dla niezaszczepionych

KANTAR DLA „GW”, LISTOPAD 2021

czej. W Niemczech wzrósł komponent zwany autorytarnym posłuszeństwem, czyli przywiązanie do przywództwa, państwa. W Polsce wzrosła za to tzw. autorytarna agresja, czyli niechęć wobec odziedziczonych wskazanych przez władze jako wrogowie, lecz autorytarne posłuszeństwo nie wzrosło. Różnica ta ma związek właśnie z brakiem zaufania do instytucji. Świadczą o tym też badania amerykańskiego instytutu Pew, który w ubiegłym roku kilkakrotnie poprosił obywateli wielu krajów o ocenę, jak ich państwo radzi sobie z koronawirusem. W Polsce mniejszość badanych odpowiadała, że „dobrze”. W Niemczech – zdecydowana większość, ponad 70 proc. Jeżeli w punkcie wyjścia nie ufamy państwu, to w kryzysie nasze zaufanie nie wzrasta.

Skoro tak bardzo nie ufamy państwu, to może nieszczęsna diagnoza o genie sprzeciwu – przy czym „gen”

weźmy oczywiście w cudzysłów – jest jednak trafna?

Opór wobec narzuconych zasad jest uniwersalny, nie dotyczy tylko Polaków. Tyle że kiedy państwo pokazuje swoją bezsilność, taka postawa się replikuje – jeszcze bardziej nie chcemy mu ufać, widząc niespójność jego decyzji, wycofywanie się, brak działania. To jak z rodzicem, który raz jest bardzo permissywny, a innym razem bardzo restrykcyjny. Nasze państwo raz wprowadza pełen zakaz aborcji, a innym razem boi się potencjalnych protestów, które byłyby dużo słabsze niż strajki kobiet.

A poza wszystkim rządzący nie mają prawa zakładać nieposłuszeństwa obywateli i włączać go do swoich kalkulacji, gdy stawką jest życie. Jak policzyłem, liczba śmiertelnych przypadków w ciągu tygodnia coraz bardziej przypomina liczbę polskich ofiar okupacji niemieckiej w Polsce. Jeżeli wyłączymy okres kampanii wrześniowej i akcji „Burza”, to w typowym tygodniu na terenie Generalnego Gubernatorstwa ginęło mniej więcej tylu etnicznych Polaków, ilu dziś umiera z powodu koronawirusa.

Czy istnieje próg śmierci wokół nas, powyżej którego wszyscy zdadzą sobie sprawę – jak za okupacji, choć to wciąż nieporównywalne rzeczywistości – że zagrożenie życia jest realne?

Niestety, problemem jest tu zjawisko zwane nierealistycznym optymizmem. Zwykle jest ono dość zdrowe, pozwala bowiem zachować równowagę psychiczną i motywację do działania. Sprowadza się do tego, że ludzie poprawnie szacują ryzyko zagrożeń, kiedy nie dotyczą one ich samych. Ale gdy zagrożenie ich dotyczy, nie doszacowują ryzyka. Ostatnio Wojciech Kulesza i Dariusz Doliński wykazali, że Polacy gremialnie uważają, iż koronawirus stanowi duże zagrożenie... ale nie dla nich samych. A to sprawia, że nie idą się szczepić i gotowi są zdjąć maskę, bo się wygodniej oddycha. Dopiero choroba własna albo kogoś bliskiego może przełamać tę iluzję.

W moim tramwaju są zatem nie tylko osobowości hierarchiczne, lecz również nierealistyczni optymiści. Ale przyjrzyjmy się też pasażerom w maseczkach. Na oko, przynajmniej w Krakowie,

jest ich większość, a jak pokazują ostatnie badania, duży odsetek Polaków to zwolennicy restrykcji dla niezaszczepionych. Dlaczego więc milczą na widok współpasażerów? Chyba jeszcze nigdy tzw. efekt widza – który sprawia, że im więcej ludzi wokół, tym większe rozproszenie odpowiedzialności – nie dawał się tak powszechnie odczuć: jeśli zwrócę uwagę takiej osobie, jest niemal pewne, że nikt mnie nie poprze.

Efektu widza dopatrywałbym się raczej w tym, że ludzie nie chcą reagować. Podejrzewam, że gdyby ktoś już zareagował, może to wzbudzić gotowość do reakcji ze strony innych.

Gdy się wdałem w dyskusję w kolejce do kasy, zostałem zbluzgany, a pozostali klienci spokojnie zajęli moje miejsce w kolejce.

Moje doświadczenia były inne: gdy zareagowałem, poczułem, jak pryska bańka obojętności. Natomiast ta bańka ma grube ściany. Każdy zadaje sobie pytanie: czy to ja powinienem zareagować, skoro facet obok nic nie mówi? Więc może poczekam? I tak sobie czekamy, aż dojeżdżamy do swojego przystanku. Rozproszenie odpowiedzialności sprawia, że ludzie bez masek są tak bezkarni.

I to też ma przyczyny kulturowe. W krajach o silniejszym przywiązaniu do norm społecznych, jak wspomniane Niemcy, reakcja na pewno by nastąpiła. To, z czego zawsze się naśmiewaliśmy jako z patologii kultury niemieckiej, dziś powoduje, że można się tam czuć bezpiecznie, a epidemia jest nieco bardziej pod kontrolą. Bo współodpowiedzialność spoczywa na jednostkach.

A gdybyśmy się tak w tych naszych bańkach społecznościowych namówili, że reagujemy, a jeśli ktoś zareaguje – wspieramy go?

To niezły pomysł, choć trzeba pamiętać, że reagowanie pociąga koszty: nie wiemy, czy nie zostaniemy zbluzgani albo wręcz pobici.

Sprzedawcy czy konduktorzy mówią nieoficjalnie, że zaleca się im nie reagować, bo mogą się spotkać z agresją.

Najważniejszy model psychologiczny wyjaśniający zachowania pomocowe ludzi mówi, że decyzja o udzieleniu po-



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „JP”

MICHAŁ BILEWICZ jest psychologiem społecznym, profesorem UW, gdzie kieruje Centrum Badań nad Uprzedzeniami. Laureat tegorocznej Nagrody im. Sanforda za badania z zakresu psychologii politycznej.

mocy jest zawsze kalkulacją korzyści i kosztów, w tym tych dla własnego wizerunku i samooceny. Jeśli zareaguję, wypadnę dobrze przed samym sobą. Ale jeśli zostanę upokorzony... A może wdam się w dyskusję i przegapię przystanek...

...a miażdżąca riposta przyjdzie mi do głowy dopiero kwadrans później?

Gdy zamierzamy się przebić przez bańkę obojętności, dokonujemy mnóstwa drobnych kalkulacji.

Miedzy pasażerami w maseczce i bez niej jest sporo pasażerów z maseczką pod nosem. Co ona komunikuje?

Właśnie to można najmocniej powiązać z doświadczeniami PRL-u bądź okupacji – z narzuconym systemem władzy, którą trzeba jakoś omijać. Próbuje się nie narażać się zbyt mocno na prawodawcom, ale jednocześnie nie identyfikujemy się z ich prawem, czujemy, że jest obce.

Przyznam się do czegoś jeszcze: przytapałem się, że mam silny stereotyp ludzi odmawiających szczepień czy noszenia maseczek. Postrzegam go we własnych

pytaniach, gdy mówię o „nas” i „onych”. Pewnie nie jestem odosobniony: w mediach społecznościowych przypisuje się ich do przeciwnego obozu politycznego, uważa za nieuków. Jak na to patrzy kierownik Centrum Badań nad Uprzedzeniami?

Oczywiście, wpisuje się to w polaryzację społeczną i sprzyja jej. Mam nadzieję, że nasze badania pozwalają to przełamać, pokazując, że nie ma tu prostych podziałów. Z adwokatem Schrammem możemy razem walczyć o wolne sądy. Możemy z sympatią wspominać występy Edyty Górniak w musicalu „Metro”.

Czy wciąż słuchać Erica Claptona.

Antyszczepionkowców cechuje pewien typ myślenia, ale wiele innych ich cech czyni ich bardzo podobnymi do nas. Tym bardziej powinniśmy się angażować w przekonywanie tych ludzi, by przestali narażać nie tylko nasze zdrowie, ale też swoje.

Ale czy zwykli pasażerowie tramwaju dysponują jakimiś skutecznymi sposobami przekonywania?

Na pewno możemy namawiać do tych zachowań, które – jak polityka szczepień – nie są obecnie w gestii działań państwa. Np. sami możemy zadbać o zachowywanie dystansu. Nie fraternizujmy się zbyt blisko w pracy, gdy trwa szczyt fali. Możemy też utrzymywać dystans fizyczny, a nie społeczny: mówić sobie ciepłe, miłe rzeczy, częściej dzwonić do bliskich, zachowując jednocześnie fizyczną odległość.

Nie ulegajmy też zbyt łatwo presji większości. Często mamy do czynienia z tzw. społecznym dowodem słuszności – to, co robią ludzie wokół, wydaje się nam słuszne. Zwłaszcza gdy chodzi o osoby nam bliskie. Uczestniczyłem ostatnio w panelu dyskusyjnym, gdzie prowadząca zaproponowała, żebyśmy zdjęli maski, bo będzie się wygodniej rozmawiało. Jako jedyny tego nie zrobiłem. Czułem się jak grubianin. A następnego dnia zadzwoniła do mnie inna uczestniczka panelu z wiadomością, że właśnie dostała pozytywny wynik i ciężko przechodzi chorobę.

Ale jak rozmawiać z ludźmi bez maseczek w tramwaju? Albo z antyszczepionkowcem w rodzinie? ➔

→ Wskazywałbym na koszty covidu. Nie odwoływałbym się do altruizmu, że od ich postawy zależy zdrowie innych. Raczej do tego, że życie niezaszczepionej osoby będzie dużo mniej wygodne. Ale do tego potrzeba ram stworzonych przez państwo. Nam, zwykłym ludziom, trudno będzie kogokolwiek przekonać, dopóki szczepienie nie stanie się zwyczajnie opłacalne.

A gdy się nam uleje i to my zaczniemy bluzgać – od „szurów”, „foliarzy”?

Frustracja zawsze prowadzi do agresji. Ale póki sam sobie krzyczę przed telewizorem, póty nikt od tej agresji nie ucierpi i nie będzie ona niczym złym ani niezdrowym. Przeciwnie, tłumienie tego uczucia w sobie byłoby groźniejsze. Problem pojawiłby się wtedy, gdyby miało się to przekładać na agresję fizyczną. Gdyby ktoś, kto czuje się zagrożony, wziął sprawy we własne ręce. Tak się zaczyna radykalizacja konfliktu.

Emocje obu stron są rozchwiane, bo jedna i druga uważa, że stawką jest życie i zdrowie najbliższych. Według antyszczepionkowców szczepienia powodują w najlepszym przypadku autyzm u dzieci, a w najgorszym – zabijają. Z kolei my wiemy, że niezaszczepieni narażają życie i zdrowie osób starszych i z chorobami współistniejącymi. Mamy tu do czynienia z moralizacją konfliktu – a gdy konflikt toczy się na gruncie moralnym, trudno się spodziewać subtelności wobec przeciwników.

Słyszę w Pana odpowiedziach, że zwykły, praworządny pasażer tramwaju nie musi przejmować za państwo odpowiedzialności, zbawiać świata i wchodzić w rolę maseczkowego szeryfa. Może się z tego odbarczyć, a nawet pokrzyknąć sobie przed telewizorem. I zadbać w pierwszym rzędzie o siebie.

W żadnej sytuacji nie powinniśmy od nikogo oczekiwać heroizmu.

Odpowiedzialność spoczywa na naszych demokratycznie wybranych przedstawicielach. To jak ze smogiem, z którym nie da się walczyć wyłącznie oddolnie, obywatelsko. Musi wkroczyć państwo. Ale jeśli ktoś byłby gotów zachowywać się odwrotnie i zwracać uwagę, gdy widzi łamanie zasad, to zbliży nas do społeczeństw, w których źródłem właściwych zachowań nie jest system kar, lecz drugi człowiek.

© Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Wszyscy albo nikt

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Debata wokół szczepionek w Polsce zorganizowana jest dziś wokół dylematu „bezpieczeństwo” (szczepić się) czy „wolność” (sprzeciw wobec przymusu szczepień). To fałszywy podział.

SIMON RELLA WYGLĄDA TROCHĘ JAK HARRY POTTER. Okrągłe okulary, ciemne oczy, mocno zarysowane brwi. Też jest czarodziejem. Modele komputerowe, które tworzy z koleżankami i kolegami z austriackiego Institute of Science and Technology, pozwalają zajrzeć w przyszłość, zestawić różne scenariusze i przewidzieć konsekwencje naszych działań. Lub ich braku.

W lipcu na łamach prestiżowego „Scientific Reports” ukazał się jego artykuł poświęcony modelowaniu epidemii. Tekst wywołał burzę w środowisku naukowym, przebił się też do mediów głównego nurtu. Miesiąc temu Rella gościł z kolei w Centrum Badania Ryzyka Systemowego UW, które mam zaszczyt współtworzyć. Jego prezentacja wyrzuciła do góry nogami moje spojrzenie na podział na „Polskę zaszczepioną” i „Polskę niezaszczepioną”, wskazując na kluczowy problem związany ze szczepionkami.

Stoimy i czekamy, aż wirus zmutuje

To jasne, że epidemia rozprzestrzeni się błyskawicznie, jeżeli wirus będzie swobodnie krążyć, a ludzie się nie zaszczepią. Jednak model stworzony przez badaczy z austriackiego IST pokazuje także nowe niebezpieczeństwo, którego nie byliśmy wcześniej świadomi. Wbrew intuicji najwyższe ryzyko powstania wariantu wirusa odpornego na szczepionki pojawia się nie wtedy, gdy poziom wyszczepienia populacji jest niski, lecz wówczas, gdy stosunkowo duża część populacji jest już zaszczepiona, a jednocześnie – to warunek niezbędny – obostrzenia zostają poluzowane. Innymi słowy, gdy zyskujemy fałszywe poczucie bezpieczeństwa, zaczynamy lekceważyć noszenie maseczek i protestować przeciw lockdownom. Postępując w ten sposób, stwarzamy sztucznie sytuację presji ewolucyjnej, w której wariant wirusa odporny na szczepionkę zyskuje istotną przewagę nad wariantem nieodpornym. Oba są poddawane nieustannym testom, gdy zderzają się ze ścianą zaszczepionej populacji. Przy miliardach interakcji między niezaszczepionymi i szczepionymi wyłoni się w końcu losowa mutacja, która skutecznie przebijie barierę.

Dlatego – jak czytamy we wspomnianym artykule ze „Scientific Reports” – „politycy i jednostki powinni rozważyć utrzymanie nefarmaceutycznych interwencji i zachowań redukujących rozprzestrzenianie się wirusa przez cały okres szczepień”. Szczepienia nie zadziałają, jeżeli nie będzie im towarzyszyć solidarność i współdziałanie całej wspólnoty. Nie

jest prawdą, że zaszczepieni są po prostu bezpieczni. Możemy porzucić fantazję o szczepionkowym murze wokół wybrańców. Z drugiej zaś strony decyzja o odmówieniu przyjęcia zastrzyku dotyczy nie tylko nieszczepionej jednostki, ale wpływa na losy całej wspólnoty. Podobnie jak nienoszenie maseczek, ignorowanie symptomów, fałszowanie certyfikatów czy unikanie kwarantanny. Wygramy wszyscy albo wszyscy przegramy.

Wykresy, które pokazywał Rella, nie pozostawiały wątpliwości. Gdzieś około 60 proc. zaszczepionych i przy „dużej awersji do lockdownów” pojawia się na nich czerwona strefa zagrożenia. Punkt, w którym jako społeczeństwo tworzymy bombę biologiczną. Polska zatrzymała się dokładnie w tym miejscu. Stoimy i czekamy, aż wirus zmutuje.

Spytałem o to Rellę wprost. Zaznaczył, że przy tworzeniu takich modeli bierze się pod uwagę wiele założeń i dokładne wskazanie punktu maksymalnego ryzyka nie jest wcale proste. Ale potwierdził, że według jego wyliczeń mamy przerąbane.

Najważniejsze dzieje się między nami

Dwie Polski – to klasyczny topos naszej poezji, publicystyki i literatury. Niegdyś kosmopolityczna przeciw sarmackiej, postępową kontra tradycyjną, Polska solidarna albo Polska liberalna. Dziś, coraz częściej, Polska zaszczepiona naprzeciw tej niezaszczepionej. Jedna w maseczce lub w domu, z niepokojem obserwująca złowrogie wykresy, druga wzywająca do opamiętania, celebrująca wolność i sprzeciwiająca się rządowi strachu.

Modele stworzone przez Simona Rellę pokazują, że tylko zasypanie podziału między tymi światami pozwoli pokonać pandemię, odzyskać wolność i wrócić do normalności. To nie wyłącznie kwestia wirusa. Wirus uświadomił nam po prostu nagle i boleśnie istotną zmianę, która w ciągu ostatnich dekad zaszła w świecie. Jesteśmy ze sobą związani w nowy sposób. Razem na dobre i na złe. Nie da się już podzielić ludzkości murami. Żeby to dostrzec, musimy inaczej niż zwykle spojrzeć na historię i społeczeństwo.

Grupę ludzi albo nawet i całą ludzkość przedstawić można w postaci grafu. Kropki to, w zależności od skali, jednostki, społeczności czy narody. Łączące je kreski to powiązania – więzi rodzinne, społeczne, ekonomiczne, wymiana myśli, towarów albo ciosów. Na lekcjach historii uczymy się zwykle o kropkach. Cezar, Antoniusz, Kleopatra; Polska, ZSRR, Niemcy; Europa, Azja, Ameryka. Historia to dzieje wielkich postaci, państw, ewentualnie kontynentów.

Badacze tacy jak Niall Ferguson (jego książkę „Rynek i ratusz” opisywałem niedawno na tych łamach) czy Peter Frankopan (autor genialnych „Jedwabnych szlaków”) przekonują, że myśląc w ten sposób, przegapiamy to, co w historii najistotniejsze – zmienne dzieje łączących nas powiązań. O rozwoju lub stagnacji, zwycięstwie albo porażce decydują nie jednostki czy grupy ludzi, lecz relacje między nimi. Przepływ idei lub tajemnica, otwarty handel albo wrogość, budowanie hierarchii i nierówności albo solidarność. To, co najważniejsze w historii i społeczeństwie, nie przydarza się nam, lecz wydarza między nami. Żeby zrozumieć świat, musimy nauczyć się inaczej patrzeć na opisujące go grafy. Skupiać uwagę nie na większych i mniejszych kropkach, ale na łączących je liniach.

Kluczowe zmiany społeczne, polityczne czy technologiczne nie dotyczą kropek (jednostek, grup, narodów), lecz łączących je kreski. Rewolucja przemysłowa, globalizacja, a ostatnio eksplo-

zywny rozwój nowych technologii sprawiły, że oplatające nas sieci powiązań stały się gęstsze, rozleglejsze i bardziej skomplikowane niż kiedykolwiek wcześniej. Każdy z 38 milionów Polaków jest ściśle związany z resztą. Jego dobrobyt jest naszym dobrobytem, jego przetrwanie – naszym przetrwaniem. Tymczasem debata publiczna wokół szczepionek w Polsce zorganizowana jest dziś wokół dylematu „bezpieczeństwo” (szczepić się) czy „wolność” (sprzeciw wobec przymusu szczepień). To fałszywa dycho-
tomia. Dotyczy bowiem kropek, a nie łączących je kreski.

Nie pokonamy wirusa ustawiając jedną grupę przeciw drugiej. W tej walce nie można zwyciężyć pokonując „przeciwnika”, bo nie są nim członkowie drugiego plemienia. Możemy zwyciężyć jedynie skupiając się na relacji. Musimy wypracować nową solidarność przeciw atomizacji i egoizmowi. Od Polski podzielonej szczepieniami musimy w jakiś sposób przejść do Polski zjednoczonej w walce o zdrowie, wolność i normalność.

Złudzenie dwóch plemion

„Liczba 2 jest bardzo niebezpieczną liczbą” – przestrzegał C.P. Snow w „Dwóch kulturach”, jednej z najsłynniejszych książek o „podziale na plemiona”. Dwa buduje złudną iluzję opanowania rzeczywistości. Tworzy też pułapkę dodatkiego sprzężenia zwrotnego, w ramach którego jedna grupa może się definiować w opozycji do drugiej. Polaryzacji – politycznej, społecznej, sportowej – sprzyja też struktura mediów społecznościowych. W internecie i mediach przebijają się te kwestie, o które można się spierać. To właśnie wydarzyło się ze szczepionkami.

Tymczasem podział na „zaszczepionych” i „nieszczepionych” nie oddaje złożoności zjawiska. Niektórzy nieszczepieni mają głębokie przekonanie o szkodliwości szczepień, nierzadko uwikłane w spiskową wizję świata. Nadają ton dyskusji, jednak reprezentują wąski margines. Znacznie liczniejsza jest grupa mająca wobec bezpieczeństwa szczepień różne wątpliwości, lecz nieodrzucająca szczepionek całkowicie. Wśród niezaszczepionych są też tacy, którzy w ogóle nie mają sprecyzowanego zdania w tej kwestii – nie mieli czasu zapisać się na szczepienie, nie chciało im się, mieli inne priorytety.

Po drugiej stronie są „szczepionkowcy walczący”, przejawiający postawę otwarcie wrogą wobec nieszczepionych. Przyjęli zastrzyk i teraz wymagają tego samego od innych, żądając „przywrócenia normalności” albo zapewnienia im „bezpiecznego świata” bez konieczności spotykania się z nieszczepionymi. Są też osoby, które zaszczepiły się, bo tak robili inni, bez jasnej opinii w tej sprawie. Gdyby nie zbieg okoliczności, mogłyby znaleźć się po drugiej stronie tej wyobrażonej barykady.

W gruncie rzeczy rozkład postaw wobec szczepień w społeczeństwie zapewne przypomina bardziej krzywą Gaussa (taki łagodny pagórek) niż charakterystyczną dla polaryzacji krzywą w kształcie „U”. Oznacza to, że wbrew nowej mitologii mówiącej o „dwóch Polskach” większość z nas mieści się gdzieś pośrodku. Ulegamy złudzeniu, że ekstrema dominują, ponieważ osoby o silnie sprecyzowanych poglądach mają tendencję do bardziej stanowczego ich manifestowania. Radykalni zwolennicy i przeciwnicy szczepień są po prostu głośniejsi niż rzesza umiarkowanych.

Potrzeba sprawczości

Podział na dwa plemiona jest niezwykle atrakcyjny dlatego, że pozwala odzyskać poczucie sprawczości. Przez tysiąclecia →

→ sytuacja epidemii była typowym momentem utraty kontroli. Bogowie zdecydowali, zstąpił na nas pomór, można jedynie błagać ich o przebaczenie. Dziś nie godzimy się na tego rodzaju fatalizm. Obie plemienne postawy pozwalają nam tę niezgodę wyrazić.

Zaszczepieni, noszący maseczki i sumiennie przestrzegający obostrzeń mają poczucie, że dawno uporaliśmy się z wirusem, gdyby nie „antyszczepionkowcy”. W ten sposób wrogiem przestaje być niewidzialny wirus, a stają się nim konkretni ludzie, których możemy ukarać, marginalizować albo przy najmniej skarcić. Tak rodzą się „maseczkowi szeryfowie”, z pasją tropiący nosy na wierzchu. Trzeba w tym miejscu wyraźnie powiedzieć, że skuteczność maseczek, lockdownów oraz szczepień jest naukowo potwierdzona. Natomiast żaden z tych środków nie jest panaceum, które samo w sobie pozwoliłoby od ręki zakończyć pandemię. Potwierdzają to m.in. modele Relli.

Osoby niezszyte się i nieprzestrzegające obostrzeń przyjmują alternatywną wizję świata i odmienny system wartości. Choroby były, są i będą. Musimy natomiast strzec się, żeby przy okazji walki z nimi nie oddać państwu wolności, ta bowiem zagrożona jest w nowy sposób. Pod pretekstem zapewniania bezpieczeństwa państwo chce decydować o naszym ciele (szczepienia i maseczki), naszej pracy (zamykanie poszczególnych branż), a nawet o prywatności (aplikacje śledzące kontakty). Przekonanie tych osób do szczepień wymaga wsłuchania się w ich głos, zrozumienia ich systemu wartości i zbudowania takiego modelu walki z pandemią, który w jak największym stopniu by te wartości i potrzeby uwzględnił. Polaryzacja i agresja nie są naszymi sojusznikami, lecz pułapką, która może poważnie osłabić nasze siły w walce z wirusem.

Uwikłani w politykę

Dokładnie o tym pisał niedawno na łamach „Lancetu” Joshua M. Sharfstein – ekspert ds. zdrowia publicznego i zaangażowania społecznego w Bloomberg School for Public Health na Johns Hopkins University. Artykuł pod tytułem „Wypłatać szczepionki z polityki: wezwanie do działania” to dramatyczny apel o to, by polityczną polaryzację uznać za wroga równie groźnego jak sam wirus. W USA program szczepień stał się jej zakładnikiem. Obszary o wysokim poparciu dla Republikanów są wyraźnie gorzej zaszczepione. Jeżeli te pandemiczne podziały się utrzymują, mogą trwale wpłynąć także na gotowość szczepień na inne choroby.

To nowe zjawisko, podkreśla Sharfstein. Niedawno liderzy obydwu głównych partii politycznych byli w tej kwestii jednomyślni. Niestety, obecnie media i postaci związane z prawicą co-

raz wyraźniej sprzyjają ruchowi antyszczepionkowemu, widząc w tym szansę na zdobycie głosów elektoratu wolnościowego.

Podobnie wygląda sytuacja w Polsce, choć u nas polityczna mapa jest nieco bardziej skomplikowana. Najnowsze badania United Surveys dla „Dziennika Gazety Prawnej” i RMF FM pokazują, że szczepienia popiera 81 proc. wyborczyń i wyborców Koalicji Obywatelskiej, 77 proc. głosujących na Lewicę i, co ważne, aż 64 proc. zwolenniczek i zwolenników PiS. Na

tej mapie wyróżnia się wyraźnie Konfederacja – proszczepionkowe poglądy deklaruje tylko 20 proc. jej elektoratu.

Pandemia COVID-19 przyniosła olbrzymie zainteresowanie kwestią szczepień. Na fali tej popularności istniejący wcześniej zinstytucjonalizowany ruch antyszczepionkowy zyskał szeroką platformę komunikacji. Niewielka grupa polityków – głównie z Konfederacji, ale także kilkoro posłanek i posłów związanych z koalicją rządzącą – stara się dziś podpiąć pod ten ruch, żeby zbudować sobie mocne poparcie w aktywnej medialnej grupie wyborców. Podważanie sensu szczepień wbrew konsensusowi naukowemu i politycznemu stało się okazją do wyróżnienia się z politycznego tłumu i zbudowania image'u odważnych buntowników.

Zaufanie do szczepień jest także funkcją zaufania do państwa i jego instytucji. W tym do polityków oraz pracowników ochrony zdrowia. Jeżeli to zaufanie było systematycznie podważane, trudno teraz oczekiwać, że społeczeństwo nagle solidarnie popędzi do punktów szczepień.

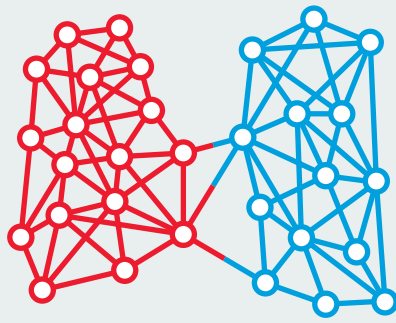
Te dwa czynniki – polityczna atrakcyjność podziału i niskie zaufanie do instytucji państwa – dobrze wpisują się też w kulturowe normy obowiązujące w Polsce. W kraju, który przez ostatnie dwieście lat praktycznie nieustannie znajdował się pod zaborami, okupacją lub rządami sterowanej z zewnątrz dyktatury, opór wobec instytucji państwa jest naturalnym zachowaniem. Dlatego osoby buntujące się przeciw szczepieniom, lockdownom i maseczkom widzą się w atrakcyjnej roli dziedziców tradycji niepodległościowej.

W ten sposób, nieco inną drogą niż w amerykańskim systemie dwupartyjnym, doszliśmy w podobne miejsce, w którym znajdują się dziś opisywane przez Sharfsteina Stany Zjednoczone. Może więc moglibyśmy skorzystać z udzielonych przez niego rad?

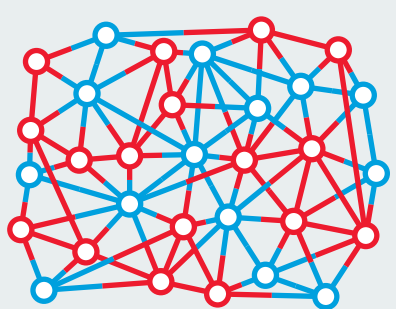
Artykuł w „Lancecie” kończy się pięcioma propozycjami. Po pierwsze, zasypywać podziały. Opowiadać o szczepionkach wieloma kanałami, w tym, w szczególności, szukać porozumienia z liderami środowisk politycznych niechętnych szczepionkom. Ich głos jest dla wątpiącej publiczności znacznie bardziej wiarygodny. Po drugie, nad strategią współpracować muszą naukowcy i specjaliści z różnych obszarów. Po trzecie, inwestować

MODELE INTERAKCJI MIĘDZYLUDZKICH

Czasy przednowoczesne
większość interakcji przebiega wewnątrz grup



Dzisiaj
nieustanne interakcje między grupami (np. szczepionkami i nieszczepionkami)



LECH MAZURZYK

w badania społeczeństwa, by lepiej zrozumieć źródła postaw sceptycznych. Po czwarte, odważnie przeciwdziałać dezinformacji, wykorzystując wszelkie dostępne środki prawne, legislacyjne oraz naciski rynkowe. Po piąte, zachęcać do działania podmioty komercyjne – reklamodawcy powinni się wycofać z mediów promujących kłamstwa na temat szczepień, a wielkie platformy internetowe stracić motywację do przyspieszania oczy na niebezpieczne bzdury. Kłamstwo musi się przestać opłacać.

Te strategie podsumować można krótko. Wrogiem jest wirus. Wrogami są oszuści, cynicznie zarabiający na szerzeniu kłamstw. Osoby dotychczas niezaszczepione nie są wrogami, lecz partnerami do dyskusji. Wspólnie musimy wypracować rozwiązanie, które uratuje wszystkich.

Globalna solidarność

Żałujemy na chwilę różowe okulary i przyjmijmy, że nam się udało. Jest listopad 2022 r. i zdołaliśmy solidarnie pokonać wirusa. W porę wprowadziliśmy wymóg szczepień w kawiarniach czy kinach (jak Francuzi czy Czesi). Kiedy było trzeba, zrobiliśmy duży lockdown (jak ten wprowadzony właśnie przez Austriaków, którzy najwyraźniej posłuchali Relli). Ścieżki transmisji wirusa zostały przecięte. Dzięki rzetelnym kampaniom informacyjnym i dobrej polityce zdrowotnej 95 proc. Polaków przyjęło szczepionkę.

Wygraliśmy? Z naszej polskiej i zachodniej perspektywy – tak. Niestety, światowy wskaźnik zatrzymał się gdzieś między 50 a 60 proc., przy wysokiej awersji do obostrzeń. Znow jesteśmy w czerwonym punkcie wskazanym przez model Relli. Tyle że tym razem – globalnie. Jako „dwie Polski” na pewno przegramy z epidemią, ale nie pokonamy jej także zjednoczeni, jeżeli granice państwa będą wyznaczać również granice naszej solidarności.

Od Polski podzielonej
szczepieniami musimy
w jakiś sposób przejść
do Polski zjednoczonej
w walce o zdrowie, wolność
i normalność.

Trwająca pandemia zmusza nas do radykalnego przemyslenia tych granic. Może się np. okazać, że zamiast przyjmować swoją trzecią (przypominającą) dawkę szczepionki, powinienem był, gdyby to tylko było możliwe, zapakować ją i wysłać do Nigerii. Do takiej postawy przekonuje rządy zamożnych krajów WHO, na której oficjalnej stronie czytamy (komunikat z 5 października):

„Szeroka dystrybucja dawek przypominających stwarza ryzyko zaostreżenia nierówności w dostępie do szczepień przez podniesienie zapotrzebowania i przekierowywania zaopatrzenia [do krajów zamożnych – MN], podczas gdy priorytetowe populacje w niektórych krajach lub rejonach nie otrzymały jeszcze pierwszej i drugiej dawki szczepionki. Powinniśmy nadal skupiać się na szybkim zwiększeniu globalnego zasięgu szczepienia pierwszymi dawkami.”

Nie tylko „dwie Polski” czy „dwie Ameryki” są naszym problemem, lecz „dwa światy”. Jedynie globalna solidarność pozwoli pokonać globalną epidemię. Nasze współczucie, nasze zaufanie, nasza współodpowiedzialność muszą mieć równie wielki zasięg i rozprzestrzeniać się równie szybko jak wirus. Łączące nas linie na globalnym grafie dziś oznaczają ścieżki transmisji zarazy. Przegramy, jeżeli nie zaczną oznaczać także linii solidarności i wsparcia.

Epidemia nie jest jednorazową katastrofą. Ona tylko boleśnie uświadamia nam nowe reguły rządzące światem. Te same mechanizmy zdecydują o tym, czy stawimy czoło katastrofie klimatycznej, rozwojowi technologii cyfrowych i związanymi z nimi przemianami pracy oraz dziesiątkom zagrożeń, których nawet nie jesteśmy jeszcze świadomi. W globalnej rzeczywistości jesteśmy powiązani na dobre i na złe. Wspólnie się uratujemy albo razem zginiemy.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński,
Marek Rąbi, Mariusz Sepiolo, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dzierżdzikowska,
Maja Kuczmarska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata,
Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Maślowska,
Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszynski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka,
Magdalena Łanuszka, Stanisław Lubiński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski,
Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocui,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmarska (wiceprezesa)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOŻA

S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Debora



SŁUDZY GINĄ W POMROCE DZIEJÓW, ROZWIEWAJĄ SIĘ „jak sen jaki złoty”. W Eliezerze Damasceńskim bezdzietny jeszcze wówczas Abraham widzi swego dziedzica (zob. Rdz 15, 2-3) i z nim – według midraszu – samowtór pokonuje czterech kró-

łów, odbijając z ich rąk swojego bratanka Lota (zob. 14, 14; wartość numeryczna imienia „Eliezer” to 318). Ten sam sługa – w Biblii nienazwany – wyrusza do Charanu, by wśród rodziny swego pana znaleźć żonę dla Izaaka i dzięki jego udanej misji tak wartościowa kobieta jak Rebeka [hebr. Riwwa] zostaje naszą Pramatką. Gdyby nie midrasz, według którego Abraham schodzi się z Hagar po śmierci Sary, dzielną Egipcjanke pożegnaliśmy na puszczy, tułającą się wraz z konającym z pragnienia Izmaelem. Nie wiemy też nic o dalszych losach Bilhy i Zilpy, służących Racheli i Lei, po tym jak razem wydają na świat jedną trzecią protoplastów dwunastu szczepów Izraela. Na tym tle zadziwia nas Debora – nie sławna prorokini, która pełni funkcję sędzi, lecz mamka Rebeki i piastunka jej dzieci: „I umarła Debora, karmicielka Ribki; i pochowaną została poniżej Beth-el, pod dębem, i nazwano imię jego: Dąb płaczu [hebr. alon bachut]” (35, 8; Cyłkow).

Interesująca jest próba połączenia imienniczek poprzez drzewo. „Miała zaś siedzibę swą pod palmą Deborah między Ramah a Bethel na górze Efraim, i przychodzili do niej synowie Izraela na sąd” (Sdz 4, 5). Biuro pod daktylowcem w pobliżu grobu pod dębem, oba znajdujące się niedaleko Betel (hebr. dom Boga) – brzmi prawdopodobnie. Komentatorzy rozpisują się też na temat nazwy drzewa, pod którym spoczywa pierwsza Debora. Padają sugestie, że *bachut* to liczba mnoga – Jakub ma tam podwójny powód do łez – oraz *alon* znaczy po grecku „inny”. Wszystko po to, by znaleźć w tekście potwierdzenie tradycji, że wkrótce po śmierci piastunki umiera także jej pani. Rzeczywiście, Biblia nie wspomina o śmierci Rebeki. Jakub wraca od Lawana do ojca do Hebronu (Rdz 35, 27) – a gdzie jest jego mama? Midrasz tłumaczy przemilczenie jej pochówku zażenowaniem, że na marach niosą ją nocą okoliczni Hetyci: Abrahama nie ma wśród żywych, niewidomy Izaak już nie rusza się z domu, Jakub dopiero idzie z Padan-Aram. Wstyd ściągnąć Ezawa od teścia z Seiru, by – wiedząc o jego prowadzeniu się – nie zaczęto rzucać kalumnii na jego zmarłą matkę.

Skąd Debora u Jakuba? Mama, kierując młodszego syna do Labana, obiecuje, że gdy Ezaw przestanie pałać żądzą mordu, „wtedy poszlę i zabiorę cię ztamtąd” (27, 45). Wysyła w tym celu swoją zaufaną, acz wiekową piastunkę Deborah. Kobieta ta służy rodzinie przez bez mała 80 lat, nic więc dziwnego, że Jakub czuje się z nią związany i po jej odejściu płacze. Niezależnie od tego, jak rabini próbują zmarginalizować jej śmierć. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Szkoda czasu



„W PIĘTNASTYM ROKU PANOWANIA CESARZA Tyberiusza, kiedy Poncjusz Piłat był namiestnikiem Judei, Herod tetrarchą Galilei, jego brat Filip tetrarchą Iturei i ziemi Trachonu, Lizaniasz tetrarchą Abileny; za najwyższych kapłanów Annasza i Kajfa-

sza, przemówił Bóg na pustyni do Jana, syna Zachariasza” – napisał Łukasz Ewangelista. Ktoś kiedyś, jeśli jeszcze nie napisał, to napisze, że za rządów prezydentów Bidena i Putina, a w Polsce Dudy, i za pontyfikatu Franciszka, gdy Kościołowi polskiemu przewodził abp Gądecki, „przemówił Bóg” – do kogo? Oto jest pytanie! Łukasz pisał o minionych wydarzeniach, które, mówiąc za Norwidem, czas już uwydatnił, odsłaniając ich sens. My ów sens usiłujemy pochwycić jakby w biegu.

Jesienią 1939 r. komendantem obozu jenieckiego w Ostrzeszowie zostaje porucznik i pastor Hans Mulzer. Poznaje tam o. Maksymiliana Kolbego. Wspiera jeńców, pozwala np. jednemu z zakonników robić zakupy. Tego zakonnika, gdy tylko „zjawił się na mieście, ofiarni ostrzeszowianie zapraszali do swoich domów i sklepów, przekazując dla internowanych różne dary. Na szczególnie wdzięczną pamięć zasługują: Franciszek Koziółczyk, Władysław Kokot, Czesław Lebnier i jego siostra Anna, Florentyna Szulc, Walentyna Trzeciak, Katarzyna Pilarczyk, Zofia Moś, ks. proboszcz Tomasz Sworowski, ks. wikary Józef Paszkę i wielu innych. Wszyscy wymienieni zbierali żywność, lekarstwa oraz bieliznę i przekazywali je p. Szustakowi, dentyście, którego pacjentami byli bracia zakonni i inni internowani. Nasi dobrodziejce zjednali sobie wartownika niemieckiego, który wpuszczał ich na teren obozu. W doręczaniu paczek wyręczał się często Idzim Gabrysiem, który pracował w obozie jako cieśla i stolarz” (Władysław Graf „Ostrzeszów, ślady obecności św. Maksymiliana Kolbego”).

Zastanawiając się nad motywami ich działań (ks. Mulzer wojnę przeżył) trzeba powiedzieć, że najwidoczniej usłyszeli oni ten sam Głos, który w innym miejscu i czasie usłyszał Jan Chrzciciel, skoro z narażeniem życia swego i bliskich, obchodząc i łamiąc prawo, nieśli pomoc wyjętym spod prawa do życia.

Mówimy, że adwent jest radosnym czasem oczekiwania na przyjsie Pana, na narodziny Dziecięcia w stajence, w żłóbeczku na sianeczku, a przecież Pan już przyszedł i jest. „Na świecie było Słowo, świat dzięki Niemu zaistniał, lecz świat Go nie rozpoznał – przypomina Jan Ewangelista. – Przyszło do swojej własności, lecz swoi Go nie przyjęli. Tych zaś, którzy Je przyjęli, obdarzyło mocą, aby się stali dziećmi Bożymi. To są ci, którzy wierzą w Jego imię”. Pan przyszedł i jest, ale wygląda na to, że wciąż musi przeżywać dramat nierozpoznania. Wciąż Bóg jest nie taki, jakiego byśmy sobie życzyli... ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Co się stanie z naszym światem

Niektórzy powiadają:
„Nigdy mi się w życiu
nie powiedzie, jeśli się
nie znajdę tu lub tam,
jeśli nie zrobię tego
lub tamtego”. (...) *Otóż we wszystkim tym
tkwi wyłącznie twoje
„ja”, nic poza tym.*

MISTRZ ECKHART



*To z umysłu
bierze się
każda trwoga.*

ŚANTIDEWA



CAŁY OSTATNI tydzień roku liturgicznego czytaliśmy w naszych kościołach kolejne fragmenty Jezusowej Mowy Eschatologicznej w zapisie św. Łukasza (Łk 21, 5-36). Przed naszymi oczami przesuwają się dramatyczne obrazy: świątynia obrócona w ruiny, wojny, nienawiść i prześladowania, trzęsienia ziemi, klęski żywiołowe i głód milionów ludzi.

Znamy dobrze te obrazy. Nie tylko z Biblii. Znamy je z naszej codzienności. Wypełniają nasze gazety, nasze telewizje i radia. Pełno ich jest na każdym portalu i platformie internetowej. Patrząc na nie – pełni narastającego w nas przerażenia – zadajemy niejednokrotnie sobie i innym pytanie: Dokąd to wszystko zmierza?! Wobec wzmagającego się i coraz bardziej rozpaczającego zła – pytamy z niepokoju: co z nami będzie? Co będzie z naszym światem? Jaki jest jego kres?

Jezusowa odpowiedź na te dramatyczne pytania jest następująca: nasze życie i świat zmierzają do... królowania Boga. I to w nieodległej perspektywie.

„Spójrzcie na figowiec i na wszystkie inne drzewa. Gdy widzicie, że wypuszczają pąki, sami poznajecie, że blisko jest lato. Tak i wy, gdy ujrzycie te wszystkie wydarzenia, wiedzcie, iż blisko jest Królestwo Boże” (w. 29-31).

Dlaczego figowiec?

Zapewne dlatego, iż w przypadku figowca czas dojrzewania od pąków do owoców jest radykalnie krótki – figa „nie traci czasu” na kwiaty, ale od razu owocuje. Z przyjściem Królestwa Bożego jest jak z figowcem: Boża odpowiedź na zło – wydawać by się mogło: dominujące i beczelne – będzie natychmiastowa. Nasz Pan i Sędzia stoi w drzwiach i nie będzie „zwlekał w naszej obronie”.

Zapyta ktoś: jaka jest tego gwarancja? Skąd taka pewność?

Odpowiedź Jezusowa brzmi: „Moje słowo!” – „Daję Wam Moje słowo”: „Niebo i ziemia przemina, ale słowa moje nie przemina” (w. 33).

Gwarancją jest słowo Jezusa, które jest zawsze Słowem miłości. I – będąc takim – jest nieodwołalne i pewne. Opierając się na nim możemy wypowiedzieć naszą adwentową i eschatologiczną nadzieję: *Marana tha!* Panie, nie stój w drzwiach! Wejdź! ©

CYTANIA LITURGICZNE (5 – 12 XII)

2. niedziela adwentu: Ba 5, 1-9; Ps 126;

Flp 1, 4-6. 8-11; Łk 3, 1-6;

Poniedziałek: Iz 35, 1-10; Ps 85;

Ef 1, 3-6. 11-12; Łk 5, 17-26;

Wtorek: Iz 40, 1-11; Ps 96; Mt 18, 12-14;

Środa, uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP:

Rdz 3, 9-15; Ps 98; Ef 1, 3-6. 11-12; Łk 1, 26-38;

Czwartek: Iz 41, 13-20;

Ps 145; Mt 11, 11-15;

Piątek: Iz 48, 17-19; Ps 1; Mt 11, 16-19;

Sobota: Syr 48, 1-4. 9-11;

Ps 80; Mt 17, 10-13;

3. niedziela adwentu: So 3, 14-17;

Ps: Iz 12, 2-6; Flp 4, 4-7; Łk 3, 10-18.

Wybrał PIOTR SIKORA

ZIELONY ŁAD NIE DOTRZE NAD WISŁĘ

Większość Polaków zdaje sobie sprawę z konsekwencji zmian klimatycznych, ale nie poświęci niczego dla ich powstrzymania. Politycy to wiedzą, dlatego coraz rzadziej mówią publicznie o klimacie.

KAROLINA LEWICKA

KRZYSZTOF KANIEWSKI / REPORTER

Elektrownia Turów. Bogatynia, 24 maja 2021 r.

LATEM TEGO ROKU ZNOWU BYŁO EKSTREMALNIE. Na Syberii zanotowano rekordowe temperatury powietrza. W Wielką Brytanię oraz Irlandię uderzyły huragany. Niemcy i Belgowie zmagali się z powodzią, a Grecję, Sycylię i Sycylię pustoszyły pożary. Skutki zmian klimatu stały się codziennością w Europie. – Odczujemy je wszyscy – mówił w połowie lipca wiceszef KE Frans Timmermans, prezentując pakiet rozwiązań mający doprowadzić jeszcze w tej dekadzie do znaczącej redukcji emisji CO₂. – Nic, co przedstawiliśmy, nie będzie łatwe, to będzie cholernie trudne – podsumował szczerze.

Weźmy dla przykładu jedną branżę – motoryzacyjną. Wszystkie nowe samochody mają być już w 2035 r. zeroemisyjne. Silnik spalinowy, symbol rewolucji przemysłowej, wyląduje na śmietniku historii. – To nowy porządek, zmiana na miarę zburzenia Bastylli – mówi Marcin Korolec, były minister środowiska w rządzie PO. Po skojarzenia z rewolucją francuską sięga dziś również PiS.

Mocni w deklaracjach

Teoretycznie jesteśmy gotowi na tę rewolucję, bo zdajemy sobie sprawę, co się wokół nas dzieje. Aż czterech na pięciu Polaków – jak wynika z badania firmy Deloitte – obawia się skutków zmian klimatu: niebezpiecznych zjawisk pogodowych czy wzrastających temperatur. 77 proc. z nas – to już sondaż CBOS z czerwca tego roku – uważa zmiany klimatu za zagrożenie dla współczesnej cywilizacji. Klimatyczni denialści są już w mniejszości i w defensywie. Problem bagatelizuje najwyżej kilkanaście procent z nas. Kiedy Polska 2050 zleciła badania dotyczące m.in. opinii na temat zanieczyszczenia powietrza, tylko 5 proc. ankietowanych stwier-



dziło, że to temat „rozbuchany” przez media i ekologów. Los Ziemi i następnych pokoleń leży nam zatem na sercu – tyle że wyłącznie na deklaratywnym poziomie. W rzeczywistości nie jesteśmy skorzy do indywidualnych poświęceń lub ponoszenia dodatkowych kosztów, o czym wprost mówią niepublikowane jeszcze dane IBRiS-u: 73 proc. z nas nie zrezygnuje z samochodu, a 70 proc. nie chce przestać jeść mięsa, choć wielkie farmy są jednym z głównych źródeł emisji gazów cieplarnianych. 55 proc. Polaków jest gotowa zapłacić najwyżej do 100 zł miesięcznie więcej za towary i usługi, jeśli dzięki temu byłoby one neutralne dla klimatu. Politycy mogą zatem ratować sobie klimat, byle tylko nie naszym kosztem.

– To nie jest wyłącznie polski problem – mówi mi Michał Kamiński, wicemarszałek Senatu. – Także politycy w Niemczech obawiają się klimatycznej kontrrewolucji, gdy już dotrze do ludzi fakt, że za ratowanie środowiska muszą płacić z własnej kieszeni. A przecież tamtejsze społeczeństwo jest bardzo świadome ekologicznie.

Co może się wówczas wydarzyć, widzieliśmy jesienią 2018 r. we Francji, kiedy to w odpowiedzi na podwyżkę podatku od paliwa tłumy kierowców w żółtych kamizelkach wyległy na ulice miast,

by przez wiele tygodni je niszczyć – w Paryżu symbolem ich niezadowolenia stał się zdewastowany Łuk Triumfalny. Były włoski premier Enrico Letta, nawiązując do słynnej frazy Alexisa de Tocqueville’a, że rewolucji nie robią biedni, tylko klasa średnia, gdy odczuje spadek poziomu swego życia – przestrzegał wtedy przed społecznym buntem na masową skalę. Może się zdarzyć i taki paradoks, że ludzie, którzy najpierw protestowali przeciwko bezczynności polityków wobec globalnego ocieplenia, za chwilę, dokładając się już na wymiaranie gatunków i podnoszenie poziomu oceanów, będą bronić swojego dotychczasowego poziomu i stylu życia. Zauważył to już zresztą węgierski premier, oskarżając komisarza Timmermansa, że swoimi działaniami „zabija klasę średnią w Unii Europejskiej”.

Widać wyraźnie, że walka Europy o zastąpienie węgla i ropy czystymi źródłami energii stanie się paradoksalnie „wysokokooktanowym paliwem” dla ugrupowań populistycznych. Także nad Wisłą. – Miałdząca większość Polaków nie zdaje sobie sprawy, jak poważne wyzwanie stoi przed nami – uważa prof. Antoni Dudek, historyk i politolog z UKSW. – Klimat i transformacja energetyczna staną się nową, główną osią podziału politycznego.

Nie ma komu zbierać szparagów

Według Łukasza Pawłowskiego z Ogólnopolskiej Grupy Badawczej obecną sytuację można porównać do tej sprzed

trzech dekad, kiedy robiliśmy skok od socjalizmu do kapitalizmu – peerelowska Polska była wówczas bankrutem, tak jak bankrutem energetycznym jest teraz III RP (według Carbon Tracker dziś nierentowna jest połowa naszych elektrowni węglowych). – Tak jak tamta transformacja zostawiła po sobie beneficjentów i przegranych, tak i ta znów nas podzieli: jedni zyskają, a drudzy popadną w energetyczne ubóstwo. Napięcia są nieuchronne i będą rozgrywane w kampaniach wyborczych – przekonuje Pawłowski. Widać wyraźnie, że do tej batalii szykuje się już PiS.

Strategia rządzących jest czytelna. Z jednej strony PiS godzi się na warunki, jakie stawia nam Unia Europejska, choćby przevorsowane w grudniu 2020 r. zobowiązanie do większej redukcji emisji CO₂ do końca dekady – nie o 40 proc., ale o 55 proc. w porównaniu do roku 1990. Ma to dać gwarancję dojścia w połowie stulecia do całkowitej neutralności klimatycznej UE, co zakłada Europejski Zielony Ład, ogłoszony przez KE w 2019 r. W tym samym czasie na rynku wewnętrznym trwa intensywna kampania kwestionowania unijnej polityki. Jarosław Kaczyński, pytany o walkę Brukseli z paliwami kopalnymi, odpowiada, że to „rodzaj szaleństwa”, a Marek Suski sugeruje, że chce się w ten sposób „przykręcić polską gospodarkę i spowolnić nasz rozwój, bo na Zachodzie nie ma komu zbierać szparagów”.

– Źródłem tego nastawienia PiS-u jest choćby NSZZ „Solidarność” – przekonuje Michał Kamiński. – Związek utrzymuje



→ swoje istnienie w dużym stopniu w oparciu o browary i kopalnie. Szef związku, Piotr Duda jest zależny od głosu górników, a PiS-owi jest z kolei potrzebna Solidarność. Interes gospodarczy kraju i los środowiska nie mają tu znaczenia.

Symptomatyczna była jedna z październikowych okładek „Tygodnika Solidarność”: przerażeni ludzie wpatrują się w żarówkę, pod spodem widać napis: „Jak UE sprowadziła na nas kryzys energetyczny”. Piotr Duda wielokrotnie podkreślał, że kopalnie mają funkcjonować aż do wyczerpania złoża, a podczas protestu w Luksemburgu, gdzie związkowcy udali się w obronie Turowa, grzmiał, że jeśli KE będzie chciała pozbawić Polaków miejsc pracy i energii elektrycznej, to „podpalą Europę”. Potem dorzucił, że podpalą ją „w swoich sercach”.

PiS jest też zakładnikiem Zbigniewa Ziobry, bez którego nie przetrwa Zjednoczona Prawica. A Solidarna Polska jest wręcz wrogo nastawiona do planów UE. Rok temu byli przeciwni, by Mateusz Morawiecki zaakceptował na unijsym szczycie podniesienie celu redukcji CO₂. W lutym tego roku jedynie ministrowie Zbigniew Ziobro i Michał Wójcik nie poparli rządowej uchwały w sprawie polityki energetycznej Polski do 2040 r., częściowo uwzględniającej założenia Zielonego Ładu. Z kolei w sierpniu Ziobro pytał w liście ministra ds. europejskich Konrada Szymańskiego, czy rząd przeanalizował skutki gospodarcze proponowanych przez Brukselę rozwiązań, które minister sprawiedliwości określa nie inaczej, jak tylko mianem „szantażu energetycznego”. To będzie więc jeden z kluczowych tematów, na których Ziobro planuje się sondażowo budować. I ma na to szanse, bo mocno reklamowany w mediach euroentuzjizm Polaków jest dość płytki.

Papier wszystko zniesie

Pięć lat temu Fundacja Batorego opublikowała raport „Polacy wobec UE: koniec konsensusu”, który rzucił zupełnie nowe światło na dyskusję o naszym członkostwie we Wspólnocie. Gdy zapytano nie o ogólne nastawienie, ale o szczegółowe rozwiązania – np. mechanizm relokacji uchodźców czy właśnie pakiet klimatyczny – to okazało się, że bliżej nam do poglądów wyborców skrajnej niemieckiej AfD lub francuskiego Zjednoczenia Narodowego. Jesteśmy też niechętni dalszemu pogłębianiu integracji, zaś aż

Przyszłość dzieci leży nam na sercu, ale tylko w deklaracjach.

Miesięcznie jesteśmy za to gotowi zapłacić tylko sto złotych.

37 proc. z nas uważa, że Polska poradziłaby sobie lepiej z wyzwaniem przyszłości, gdyby jednak była poza Unią! W efekcie eurosceptyczna polityka Solidarnej Polski może się cieszyć coraz większym społecznym poparciem, zwłaszcza że obecność w Unii będzie nas słono kosztować, jeśli zaczniemy realizować swe zobowiązania. Zielony Ład to gigantyczny koszt: sam rząd założył, że do 2040 r. transformacja polskiej energetyki pochłonie około 1,6 bln zł, czyli czterokrotność przyszluszczanego budżetu Polski. Tylko 3,8 mld euro wydatków pokryje Bruksela, z czego 2 mld mają trafić na Śląsk. Pieniądze na energetykę będziemy też mieli z nowej unijnej perspektywy finansowej, ale i tak nie sfinansujemy z tego wielu naszych potrzeb.

Abstrahując od niechętnych transformacji partnerów PiS-u, także partia Kaczyńskiego, zważywszy na jej stosunek do Unii, nie będzie umierać za Zielony Ład lub OZE. Tygodnik „Sieci”, wiernie odzwierciedlający w swych tekstach aktualną linię Nowogrodzkiej, przekonywał, że nieprzypadkowo pakiet klimatyczny FF55 (do 2030 r. UE planuje redukcję emisję gazów o 55 proc.) został zaprezentowany 14 lipca. Czyli w rocznicę zdobycia przez lud paryski więziennej twierdzy oraz wybuchu rewolucji francuskiej: „skutek ma być ten sam, zmienić Europę nie do poznania”. Wyliczono, co nas czeka: „podwyżki, przerwy w dostawach prądu, zubożenie, regres ekonomiczny, wzrost bezrobocia”. Tym samym straszył Mateusz Morawiecki w Strasburgu, gdzie udał się, by bronić „reform” w sądownictwie, ale swoją mowę zaczął od kryzysu energetycznego i niepokojów społecznych. „Czy potrafimy zagwarantować lepsze życie przyszłym pokoleniom?” – pytał europosłów.

– Premier podpisał się pod unijną polityką klimatyczną, bo wie, że i tak nie

będzie jej realizował – twierdzi prof. Antoni Dudek. – Przede wszystkim dlatego, że nie jesteśmy w stanie jako kraj spełnić stawianych nam warunków. I to bez względu na to, czy władzę będzie miał PiS, czy opozycja. Po prostu pakiet FF55 jest dla nas niewykonalny. Marnowaliśmy czas, a teraz jest już za późno, by dokonać transformacji bez potężnych kosztów społecznych.

Rząd nie myśli zatem, jak zwiększyć udział zielonej energii w miksie energetycznym (Polski Ład poświęca klimatowi i energii raptem dwie strony samych ogólników), tylko jak tę sytuację wyzskać politycznie.

Po pierwsze, widać coraz wyraźniej, że w przyszłości PiS stanie nie po stronie Zielonego Ładu, lecz po stronie zagrożonych ubóstwem energetycznym – choć ma pokazywać udział w bilansie koszmarnych zaniedbań, jakich w polskiej energetyce dopuściły się niemal wszystkie rządy po 1989 r. To partia Kaczyńskiego trwoniła pieniądze na blok węglowy w Ostrołęce, choć było wiadomo, że inwestycja przyniesie straty; ostatecznie poszedł na to ponad miliard złotych plus koszt wyburzenia tego, co zdołano wybudować. W poprzednią kadencję parlamentu PiS wszedł niemal jak Don Kichot, zaczynając od walki z wiatrakami: minister energii Krzysztof Tchórzewski radośnie zapowiadał, że do 2035 r. nie będzie na lądowym terytorium Polski już ani jednego, bo wszystkie turbiny trafią na złom. Niemal się to rządzącym udało. PiS liczy jednak, że wyborca jest niczym Tuwimowski straszny mieszczanin, co to wszystko widzi oddzielnie, więc nie powiąże błędów i zaniechań dwóch kadencji PiS-u z wysokością swojego rachunku za prąd. I z powodzeniem będzie mógł przekonywać, że winna jest Bruksela i jej środowiskowe fanaberie. – Osób, które nie będą chciały zaakceptować kosztów zielonej polityki, będzie wystarczająco dużo, by się na nich oprzeć w wyborach – uważa Marcin Duma, prezes IBRIS-u.

Po drugie, polityka klimatyczna będzie dla PiS-u kartą przetargową w relacjach z UE. Właściwie już jest. Kiedy Komisja Europejska wstrzymała polski Krajowy Plan Odbudowy, PiS odgrażał się, że może zablokować Zielony Ład. Ostatnio Jarosław Kaczyński stwierdził też, że rząd rozważa zawetowanie planu FF55. Mniejsza z tym, że takie weto nie jest akurat tutaj możliwe, bardziej chodzi

o to, że PiS może utrudniać KE realizację jej priorytetowego zadania. FF55, po konsultacjach w PE i Radzie Europejskiej, ma zostać uzgodniony do 2023 r. W tym samym czasie w Polsce będzie trwała kampania przed wyborami parlamentarnymi. Jeśli ma to być jeden z głównych tematów kampanijnych, warto zadać pytanie, jak odnajdzie się w tym rozrysowanym przez PiS podziale proekologiczna opozycja.

Tusk na rozdrożu

Donald Tusk jest ostrożny. W swojej najnowszej, czekającej na premierę książce „Wybór”, napisanej razem z Anne Applebaum, przekonuje, że kolejna kampania wyborcza to będzie „bój o zdeorientowane i trochę wycofane dość wąskie centrum, które chce emocjonalnej stabilizacji”. A zatem Platforma będzie raczej unikać skrajności i jednoznacznego opowiadania się po stronie ekologii, jeśli na szali znajdzie się drugie ważne dobro, czyli dobrostan obywateli. Były premier już zresztą nazwał pakiet FF55 „trochę ryzykownym projektem”, a rząd wezwał do ochrony „ludzi żyjących z węgla”. Widać, że największa partia opozycyjna chce uniknąć pułapki, którą szykuje PiS: przedstawiania opozycji jako sił mających na sztandarach ekologizm, czyli nową lewacką ideologię, która drenuje portfele „zwykłych Polaków”. Ale konkretnego, chytrego planu, jak wybrnąć z tej kwadratury koła, nie ma.

– Trzeba twardo pokazywać, że możemy zbudować gospodarkę nieemisyjną, i że to będzie korzystne dla państwa i społeczeństwa. Trzeba z ludźmi jak najwięcej na ten temat rozmawiać – mówi mi Borys Budka, przewodniczący klubu parlamentarnego PO. Na długotrwały dialog z Polakami stawia też Polska 2050.

– Statystycznych obywateli mniej obchodzi wielka sprawa, a bardziej własny interes. Żeby ich przekonać do transformacji, trzeba im przedstawić konkretną ścieżkę dojścia do neutralności klimatycznej – przekonuje Michał Kobosko, szef partii Polska 2050 Szymona Hołowni. – I robić to na przykładach, np. jaką mamy ofertę dla powiatu zgorzeleckiego, kiedy przestanie już działać kopalnia i elektrownia w Turowie. Przekonywać, że to nie tylko wyzwanie i koszt, ale i szansa na nowe miejsca pracy.

W potencjalnie najtrudniejszej sytuacji jest Lewica, dla której troska o klimat jest kluczowym elementem programu.

Osób, które nie zaakceptują kosztów zielonej polityki, będzie wystarczająco wiele, by się na nich oprzeć w wyborach.

Jednocześnie chciałaby też oderwać od PiS-u wyborcę socjalnego, któremu bliższa będzie cena tony węgla niż topniejące lodowce. Poseł Maciej Konieczny przekonuje jednak, że nie ma sprzeczności w tym, by być za zieloną transformacją, a jednocześnie protestować z górnikami likwidowanej kopalni: – Albo transformacja będzie sprawiedliwa, albo jej nie będzie wcale. Nie zgodzimy się na terapię szokową. Jeśli koszty zostaną przerzucone na ludzi, oczywiste jest, że ci się zbuntują, a my jako lewica stanimy po ich stronie. Chcemy też przedstawiać pozytywną wizję transformacji. Nie tylko, że coś zostanie nam zabrane, np. samochód, ale co dostaniemy w zamian, np. wygodną komunikację publiczną.

Lewica pociesza się tym, że większość jej elektoratu to ludzie młodzi, dla których stan środowiska ma znaczenie egzystencjalne. – Za trzydzieści lat dzisiejsza młodzież wciąż będzie żywa i to ona będzie się mierzyć z ewentualną katastrofą, jeśli dziś nie zdołamy jej zapobiec – ostrzega Włodzimierz Cimoszewicz. Zdaniem byłego premiera i obecnego europosła z dużą częścią polskiego społeczeństwa da się poważnie rozmawiać: – Nie wszyscy są głuptasami, łatwo nabierającymi się na polityczne manipulacje – mówi.

Tyle że wizja ciemnego i zimnego mieszkania, jaką roztoczą populiści, może silniej trafiać do masowej wyobraźni. To zresztą bardzo realny problem. Polski Instytut Ekonomiczny oszacował, że w ubiegłym roku na tzw. ubóstwo energetyczne cierpiało aż 21 proc. Polaków, którzy mają problem z rachunkami za energię. Z kolei w opublikowanym przez Szlachetną Pączkę „Raportie o biedzie” czytamy, że gdyby cała Polska była blokiem o stu mieszkaniach, to w czterech lokalach byłoby zupełnie zimno, bo lokatorów nie stać na ogrzewa-

nie. Obóz Zjednoczonej Prawicy tradycyjnie chce temu zaradzić nie systemowo, a doraźnie, za pomocą bonów energetycznych dla około 2 milionów polskich gospodarstw.

Świat konkretów ogólnych

Oprócz warstwy komunikacyjnej i marketingowej ważne są też plany działania, a te po opozycyjnej stronie z reguły sprowadzają się do – jak mawiał śp. Andrzej Lepper – „konkretów ogólnych”. Np. Nowa Lewica pisze w swoim najnowszym „Raportie o stanie państwa”, że „należy działać szybko i nadrobić stracone lata (...) potrzebujemy ambitnych inwestycji (...) należy opracować nową strategię dla OZE”. Jeszcze w programie wyborczym w 2019 r. KO deklarowała, że nie będzie zamykać kopalń, dopóki będzie w nich węgiel, stąd udział węgla w polskiej gospodarce będzie spadać w sposób naturalny, wraz z wyczerpywaniem się złóż. Teraz Donald Tusk mówi, że kwestie klimatyczne muszą być uznane za agendę narodową, ale znów bez żadnych szczegółów.

Najbardziej kompleksowy, zaprezentowany w marcu program klimatyczny „Polska na zielonym szlaku” ma formacja Szymona Hołowni. Jednak zdaniem ekologów jest on zbyt mało ambitny, bo nasz kraj nie może zwlekać z dekarbonizacją aż do 2040 r. Tymczasem rząd planuje wygaszać kopalnie jeszcze dłużej, do 2049 r. Obecnie zaś będzie pracował nad aktualizacją przyjętej raptem dziesięć miesięcy temu Polityki Energetycznej Polski do 2040 r., która kompletnie nie jest skorelowana z celem neutralności klimatycznej UE. A już na pewno nie jest adekwatną odpowiedzią na stojące przed Polską wyzwania. Jeśli faktycznie miałyby być realizowane, to – jak oszacowała Fundacja InStrat – koszty wytwarzania energii elektrycznej do 2030 r. wzrosłyby o 61 proc., a to oznacza drastyczny wzrost cen energii i osłabienie konkurencyjności naszej gospodarki. Sytuacja zatem wygląda tak, że działania związane z Zielonym Ładem, mimo pojawiających się protestów społecznych, znów nabierają w Europie tempa. Polska zaś nadal działa w ślimaczym tempie, a prezes PiS-u w Polskim Radiu zaprzecza antropogenicznym przyczynom zmian klimatu, twierdząc, że „tak do końca nie wiemy, czy te zmiany są winą człowieka”.

© KAROLINA LEWICKA

Złoty na równi pochylej

PIOTR WÓJCIK

Słaba waluta służyła polskiej gospodarce w trakcie lockdownu i w pierwszych miesiącach po zdjęciu obostrzeń. Dziś już się to nie opłaca, ale brakuje pomysłu, jak zatrzymać ten zjazd.

POLSKI ZŁOTY PRZECHODZI BARDZO CIĘŻKIE chwile. Osłabia się do głównych walut świata, a co gorsza, jego kurs niemal nie reaguje na coraz bardziej desperackie kroki Narodowego Banku Polskiego i Rady Polityki Pieniężnej. Gdy podnosiła ona na początku listopada stopy procentowe, euro kosztowało 4,58 zł. Dwa tygodnie później kurs euro/złoty wzrósł aż do 4,71. Ostatnio złoty względem europejskiej waluty był tak słaby w 2009 r. – czyli właściwie w innej epoce. Frank podróżował do najwyższego poziomu w historii – 4,50 zł kosztował tylko przez kilkadziesiąt minut w styczniu 2015 r., kiedy szwajcarski bank centralny nagle zrezygnował z obrony jego kursu.

Dopiero reakcja premiera Morawieckiego ustabilizowała nieco sytuację. „Będziemy robili wszystko w komunikacji i w naszych działaniach realnych, aby złotówka była nieco silniejsza” – stwierdził Morawiecki na konferencji w Gdańsku, co rynki odebrały poważniej niż wcześniejsze działania RPP i NBP. Dzięki temu złoty umocnił się o kilka groszy do franka i euro. Nie zmienia to faktu, że wciąż jego kondycja jest wyjątkowo mizerna, a konsekwencje tego – coraz poważniejsze.

Wielki kupujący

Dlaczego w ogóle złoty jest tak słaby? Polska gospodarka ma się dobrze. Recesja była płytka, a obecnie bardzo szybko wychodzimy z kryzysu. Waluta dynamicz-



Kolejka pod Narodowym Bankiem Polskim w Gdańsku po banknot z wizerunkiem Lecha Kaczyńskiego. Gdańsk, 9 września 2021 r.

nie rozwijającej się gospodarki powinna się więc stopniowo umacniać. Tyle teoria, bo polityka NBP od początku ubiegłego roku dążyła do osłabienia złotego. Bank centralny raz nawet bezpośrednio interweniował na rynku, by zbić jego kurs. W grudniu 2020 r. prowadził skup walut obcych, co automatycznie przełożyło się na wzrost ich kursu względem złotego – w ciągu ledwie dwóch ostatnich tygodni grudnia złoty stracił do euro ponad 10 groszy. Oficjalnym celem było pobudzenie gospodarki, jednak prawdziwy powód podjęcia takich działań akurat pod koniec roku był zupełnie inny – chodziło

o księgowe podwyższenie zysku, aby NBP mógł zarobioną kwotą wesprzeć budżet państwa. Działło to w następujący sposób: bank centralny trzyma rezerwy w walutach obcych, więc osłabienie złotego podwyższa wartość jego aktywów zagranicznych. Dzięki temu można wykazać wyższy zysk. No i faktycznie – NBP na koniec zeszłego roku „zarobił” aż 9,3 mld zł, z czego 95 proc. w czerwcu 2021 r. przekazano do budżetu.

Intervencja NBP z grudnia była jedynie elementem szerszej zakrojonej polityki tzw. luzowania ilościowego, stosowanego od lat przez największe banki

centralne. NBP rozpoczął ją na początku pandemii w celu ograniczenia kryzysu gospodarczego. Rada Polityki Pieniężnej obniżyła więc główną stopę procentową do 0,1 proc., co radykalnie obniżyło koszty kredytów. Bank centralny rozpoczął też akcję skupowania polskich obligacji – łącznie nabył ich za ok. 150 mld zł. W ten sposób wpompowano w gospodarkę potężne ilości gotówki. Skutkiem ubocznym takiej akcji ratunkowej musiała być inflacja, a w ślad za nią być może również osłabienie złotego. NBP mógł oczywiście temu przeciwdziałać, ale wolął mówić o ryzyku deflacji – czyli spadku cen w gospodarce. Jak widać, srodze się pomylił.

Dziś w grę wchodzi także czynniki polityczne. Przede wszystkim wstrzymanie środków z Krajowego Planu Odbudowy i przedłużający się spór rządu z Brukselą, co podważa zaufanie do naszej gospodarki, jak i do Polski w ogóle. Na kurs złotego może mieć też wpływ ostry kryzys na granicy z Białorusią. Konflikty międzynarodowe zwykle fatalnie wpływają na kondycję waluty, czego przykładem był drastyczny spadek kursu hrywny po aneksji Krymu i rozpoczęciu agresji Rosji na Donbas w 2014 r. Wysokie ryzyko eskalacji konfliktu między Ukrainą a Rosją osłabia zresztą również naszą walutę, jako kraju sąsiadującego z areną możliwej wojny. Te wszystkie dodatkowe czynniki pojawiły się jednak dopiero w tym roku, tymczasem złoty wyraźnie tracił moc od marca 2020 r., gdy euro kosztowało jedynie 4,30 zł. Bez wątpliwości główną przyczyną spadku wartości naszej waluty jest więc ekspansywna polityka NBP rozpoczęta wraz z pierwszym lockdownem, uzupełniona grudniową interwencją, celowo osłabiającą złotego.

Ceny i długi w górę

Słaba waluta może przynosić bolesne skutki, szczególnie w okresie podwyższonej na całym świecie inflacji. Kiepski kurs złotego przede wszystkim odbija się na cenach paliw. Surowce do ich produkcji sprowadzamy z zagranicy, a transakcje przeprowadzane są głównie w dolarach. Według GUS w 2019 r. w sekcji „paliwa i smary” nasz import wyniósł aż 77 mld zł, czyli stanowił równowartość niemal 90 proc. ówczesnych wydatków budżetowych na NFZ. Zanotowaliśmy tu również największy ze wszystkich kategorii towarów deficyt handlowy – tj. prze-

wagę importu nad eksportem – wynoszący ponad 55 mld zł. Jesteśmy więc uzależnieni od sprowadzania surowców energetycznych z zagranicy, co oznacza, że każde osłabienie złotego odbija się na cenach w Polsce. Według GUS najważniejszym czynnikiem wpływającym na inflację we wrześniu był wzrost kosztów transportu – czyli paliw właśnie – który wyniósł aż 18,5 proc. rok do roku. Obecnie płacimy rekordowe 6 zł za litr benzyny, chociaż sama ropa nie jest wyjątkowo droga. Cena baryłki to ok. 80 dolarów, tymczasem w 2008 r. sięgała nawet 150 dolarów. Tylko że dolar kosztował wtedy niecałe 2,50 zł, a nie – jak obecnie – ponad 4 zł.

Słaby złoty utrudnia też spłatę zadłużenia zagranicznego, które według danych Ministerstwa Finansów stanowi aż jedną czwartą polskiego długu publicznego. Na koniec II kwartału 2021 r. w sektorze finansów publicznych wynosiło ono 297 mld zł. Natomiast całe zadłużenie zagraniczne Polski to obecnie 308 mld euro. Wzrost kursu euro z 4,58 do 4,71, który zanotowaliśmy w listopadzie, podwyższył więc nasze zagraniczne zobowiązania o 40 mld zł. Oczywiście nie oznacza to, że musimy szybko gdzieś znaleźć te 40 miliardów, gdyż ten dług spłacimy stopniowo. Nie można jednak zapomnieć, iż osłabianie się złotego automatycznie podwyższa również koszt obsługi długu, jaki ponoszą małe i duże przedsiębiorstwa, państwo i samorządy, a także frankowicze.

Na szczęście problem z kredytami frankowymi sukcesywnie się zmniejsza. Według danych NBP na koniec II kwartału 2021 r. kredyty walutowe stanowiły już tylko jedną czwartą portfela kredytów hipotecznych, a suma zadłużenia była mniejsza niż 100 mld zł. Tymczasem w 2009 r. kredyty walutowe odpowiadały aż za 70 proc. wartości portfela hipotecznego polskich banków. Nie zmienia to faktu, że rekordowo drogi frank nadal jest sporym obciążeniem dla około 400 tys. gospodarstw domowych w Polsce, które spłacają kredyt hipoteczny indeksowany kursem szwajcarskiej waluty.

Mocne strony słabości

Polityka osłabiania waluty w czasie kryzysu nie musi być oczywiście nierozsądna. Kurs na osłabienie złotego prowadził w NBP Marek Belka w czasie kryzysu strefy euro, dzięki czemu staliśmy

się wówczas „zieloną wyspą”, bo w ten sposób bank centralny zwiększał konkurencyjność polskiej gospodarki za granicą. Podobnie stało się w 2020 r. Polska nie wpadła w głęboką recesję, bo słaby złoty poprawiał atrakcyjność eksportu. Do końca roku przyniósł on aż 1,052 biliona złotych i choć gospodarka wyhamowała, rok do roku odnotowaliśmy wzrost jego wartości o 39 mld zł. A dzięki temu, że równocześnie osłabił import, dodatkowo zanotowaliśmy rekordową nadwyżkę handlową w wysokości 54 mld zł. Nigdy wcześniej w historii polski bilans handlowy nie był na tak potężnym plusie. I to m.in. dzięki temu recesja nad Wisłą była jedną z najpłytszych w UE (PKB wylądowało tylko 2,5 proc. pod kreską), a stopa bezrobocia jedną z najniższych. Krytykując politykę NBP i RPP trzeba o tym bezwzględnie pamiętać.

Obecnie jednak słaby złoty zaczyna przynosić więcej szkód niż pożytku. NBP regularnie bada próg opłacalności eksportu, czyli kurs euro, poniżej którego eksport przestaje być opłacalny. Obecnie wynosi on 4,10 zł i mógłby się spokojnie umocnić o kolejne 10 proc. i nadal eksporterzy notowaliby zyski. Tym bardziej że do eksportu potrzebny jest też... import. Producenci w Polsce wiele surowców i półproduktów muszą przecież sprowadzać z zagranicy, płacąc za nie zwykle w euro czy w dolarach. Im słabszy złoty, tym więcej kosztują te zakupy, osłabiając jednocześnie atrakcyjność polskiej oferty eksportowej. Według NBP w II kwartale tego roku udział tego typu surowców i półproduktów w całym polskim imporcie wzrósł aż do 50,4 proc. i jest najwyższy od 2005 r.

Listę zarzutów wobec NBP zamyka wreszcie to, że Polska zaczęła zacieśniać politykę monetarną najpóźniej w regionie – podwyższyła stopy procentowe dopiero po tym, jak Węgrzy i Czesi zrobili to już kilkakrotnie. Za wcześniej jednak wyrokować, czy to RPP się spóźniła, czy Czesi i Węgrzy się pospieszyli. Każda polityka ekonomiczna ma wady i zalety – sztuka jest je wyważyć. Szybkie duszenie inflacji mogło równocześnie zdusić ożywienie gospodarcze po lockdownie, co nie wyszłoby Polsce na dobre. Obecnie niski kurs naszej waluty zaczyna już jednak doskwierać niemal wszystkim, więc czas odesłać politykę słabego złotego na słuszny odpoczynek – przynajmniej do następnego kryzysu. ©



JANEK SKARZYŃSKI / AFP

Młodzież polska i izraelska przed nazistowskim obozem zagłady w Treblince. Październik 2013 r.

Opowiadam Polskę na nowo

ALEX DANZIG, ORGANIZATOR WYJAZDÓW MŁODZIEŻY IZRAELSKIEJ DO POLSKI:

Lekcje o zagładzie są bardzo ważne, ale nie można zbudować pamięci tylko na cierpieniu. Jeśli mamy odtworzyć dialog między Polakami i Żydami, trzeba też zrozumieć prawdę o sobie – skąd jestem i kim jestem.

JACEK TARAN: Spotykał się Pan ostatnio z polską młodzieżą. Jak ją Pan odbiera? Czy rzeczywiście spoglądanie w przeszłość jest dla niej coraz mniej interesujące?

ALEX DANZIG: Często toczę dyskusje z moimi kolegami nauczycielami, którzy narzekają na młodzież. Z mojego doświadczenia wynika jednak, że to nie ona jest zła czy głupia, tylko my nie potrafimy znaleźć klucza do rozmowy z nią. Mnie pewnie i tak jest łatwiej niż nauczycielom. Przyjeżdżam jako gość

z zagranicy, opowiadam ciekawe historie, więc nie muszę ich dyscyplinować. Są wtedy inni, inaczej słuchają, inaczej reagują. Ale przecież gdyby nie byli zainteresowani tymi tematami, tak by nie było. Rzadko się zdarza, żebym trafił na mur. Pytań jest zwykle bardzo dużo – najpierw jedno nieśmiało, potem kolejne i dalej już idzie.

O co najczęściej pytają?

Te pytania są bardzo różne. Oczywiście padają pytania o zagładę, o moje ży-

cie, dlaczego to wszystko się wydarzyło. Pada czasami pytanie – czy może pan przebaczyć?

I co Pan im odpowiada?

To jest bardzo trudne. Pierwszy raz to pytanie padło około dziesięciu lat temu w Gorzowie. Nie spodziewałem się go. Jestem pedagogiem i próbowałem znaleźć odpowiedź, która będzie edukacyjna. Mówiłem więc, że jednej rzeczy nie mogę przebaczyć. Tego, że Niemcy pokazali nam, jak z każdego można zrobić oprawcę, i to bardzo sprytnie. Na przykład Sonderkommando w Auschwitzu. Przecież to wcześniej byli fajni ludzie – Żydzi z Salonik, Żydzi z Polski. W obozie spali na ciepłych łóżkach, na trzecim piętrze krematorium. Mieli do woli wódki oraz chleba i codziennie rano wstawali, żeby spalać swój naród w piecu. Ja nie mam do nich pretensji. Ja mam pretensje do tych, którzy ich takimi uczynili. To zrozumienie, że mnie również mogliby tak zmienić, jest bardzo ważne. Ja też jestem przecież takim fajnym chłopakiem – lubię się pobawić, lubię piwko, potańczyć, poczytać – a jednak ja również mógłbym stać się mordercą. To jest coś, czego nie potrafię przebaczyć.

A co Pan może przebaczyć?

Nie potrafię mieć pretensji do ludzi, którzy stali przed trudnymi wyborami, którzy się bali. Kiedy ktoś pukał do drzwi i mówił „pomóż mi”, a trafiał do kogoś, kto wie, że za ukrywanie Żydów czeka go śmierć. Może dał chleb, może nic nie dał, gdyż się bał. Jestem ojcem czwórki dzieci, dziadkiem trzynastu wnuków. Nie wiem, jak bym się zachował, czy potrafiłbym przełamać mój strach o rodzinę i pomóc tym, za których ukrywanie groziła śmierć. Nie chcę ich winić za ich obawy, które w tamtych chwilach im towarzyszyły. Być może postąpiłbym tak samo – może dałbym zjeść, może dałbym wody, ale czy bym ich ukrywał? Tego nie wiem.

Jaka jest młodzież, która przyjeżdża do Polski z Izraela? Z jakich środowisk się wywodzi?

To jest bardzo skomplikowane. Trzeba podkreślić, że wśród Żydów podziały są ogromne i nie wszyscy jeżdżą do Polski, żeby poznać ten kraj. Ortodoksi jeżdżą do grobów cadyków, a nie do Polski. Ich Polska nie interesuje. Ich nawet powstanie w getcie warszawskim nie interesuje. Żydzi rosyjscy w ogóle tu nie chcą przyjeżdżać, bo ciągle jeszcze mówią: „Kura nie ptica, Polska nie zagranica”, a poza tym uważają, że to oni sami wygrali wojnę i wyzwolili innych Żydów z obozów koncentracyjnych. „Wyście tam byli, a myśmy wam otworzyli drzwi” – tak mówią. Z kolei część Żydów z Azji i Afryki mówi, że to nie ich sprawa, co ich obchodzi jakaś Polska? Oni tam nigdy nie byli, ich przodkowie tam nie byli.

A co mówią Żydzi o poglądach prawicowych?

Oni mówią: „Jak to? Mamy prowadzić dialog z gojami? Przecież oni nas nienawidzą, to nasi wrogowie”. Izraelska prawica wszędzie zresztą widzi wrogów. Jak stracą wrogów, to stracą sens swojej misji politycznej. W sumie zostaje niewielka część Żydów, którzy być może są zainteresowani przyjazdem, bo coś tam im dziadek opowiadał, coś babcia mówiła – i z nimi warto rozmawiać. Wszystko jest bardzo skomplikowane, a to jeszcze nie koniec. Potem trzeba jeszcze dotrzeć do dyrektorów polskich szkół. Z nimi też rozmowy bywają trudne. Od trzydziestu lat przekonuję ministrów edukacji – i waszych, i naszych – żebyśmy budowali dialog, który będzie trwał. Ale niestety w ostatnich

latach stało się to bardzo trudne, niemal niemożliwe. Wiele razy słyszałem: „Po co nam to?”. Powtarzam wtedy do znużenia: „To jest polska racja stanu!”. Jeśli mamy prowadzić dialog, to trzeba wreszcie zrozumieć, że nie ma historii Polski bez Żydów i nie ma historii Żydów bez Polski! Jesteśmy skazani na siebie. Ja mam podwójną tożsamość Polaka i Żyda i to mi nie przeszkadza, ale trzeba pokazać tym, którzy tego nie czują, jak ważna jest wspólna historia.

W izraelskich szkołach państwo Izrael zaczyna historię od syjonizmu. A co było wcześniej? Dwa tysiące lat temu było królestwo Dawida, było państwo Machabeuszów, a potem co? Dwa tysiące lat czarnej dziury? Tak niestety uczą do dziś w wielu miejscach w Izraelu. A to nieprawda! Czy to nie Żydzi w Polsce wynaleźli kino, propagowali teatr, sport? Gdzie był klub Makabi? Przecież tutaj, w Galicji – w Rzeszowie, Tarnowie, Lwowie. O tym też trzeba powiedzieć młodym ludziom. Lekcje o Zagładzie są bardzo ważne, ale one nie wyczerpują tematu. Nie można zbudować pamięci tylko na cierpieniu. Jeśli mamy odtworzyć dialog, trzeba też zrozumieć prawdę o sobie – skąd jestem i kim jestem.

Jak zatem mówić do siebie, żeby ten dialog był możliwy? Widzi Pan jakiś klucz do porozumienia?

Trzeba przełamać sposób mówienia oparty na wzajemnych pretensjach czy roszczeniach. Trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Żydzi są tylko inni czy już obcy? W Polsce tego pytania nikt nie stawia. Zresztą w Izraelu jest ten sam problem. Czy Arabowie są inni czy obcy? Arabowie chcą być inni, ale nie są obcy! Oni mówią: „Dajcie nam prawo być innymi, bo my jesteśmy stąd i byliśmy tu wcześniej niż wy!”. Rozmawiam z Arabem i on mi powie: „Wy tu jesteście sto pięćdziesiąt lat, a ja pięćset, tysiąc albo więcej. Was nie było przez dwa tysiące lat, a teraz wracacie i wydaje się wam, że wszystko to wasze?”. Nikt nie chce być obcy, ale każdy chce zachować swoją odrębność. To można pogodzić, tylko trzeba chcieć.

Jeśli Polska miałaby spełnić żądanie, aby zwrócić wszystko, co Żydzi uważają, że im się należy, to musiałaby zwrócić połowę kraju. Tylko że wtedy niech Izrael odda połowę Palestynie, niech część Ukrainy wróci do Polski. Może Niemcy też się upomną o stracone terytoria?

To absurd i głupota. Takie myślenie może rozpętać spiralę roszczeń, które doprowadzą do nowego szaleństwa.

Organizuje Pan spotkania młodzieży od blisko trzydziestu lat. To daje Panu perspektywę, która pozwala dostrzec zachodzące zmiany i efekty tych działań.

Mogę śmiało powiedzieć, że zmiana jest na lepsze, można ją dostrzec w czasie jednego wyjazdu. Jeden z uniwersytetów w Izraelu, znany z tego, że jest prześląknięty myślą pravicową, badał zmiany socjologiczne, jakie zachodzą po spotkaniach młodzieży polskiej i izraelskiej. Okazało się, że u blisko 70 proc. badanych Izraelczyków zmiany w postrzeganiu Polski są bardzo pozytywne. Przystają posługiwać się negatywnymi stereotypami, budują w sobie nowy obraz, którego wcześniej nie znali. To wielki sukces! Po spotkaniu z polskimi rówieśnikami mówili po prostu „Polska jest fajna”.

Ta zmiana w postrzeganiu owocuje też później w zwykłych relacjach między obywatelami naszych krajów. Jeszcze przed pandemią do Polski latało kilka samolotów dziennie. Przyjeżdżali, bo usłyszeli, że Warszawa i Kraków to są żywe, piękne miasta. Usłyszeli, że tu jest bezpiecznie, że można smacznie zjeść, że można zrobić tanie zakupy. A że nie pojechali do Auschwitz? A że nie poszli do Muzeum POLIN? No nie poszli, może ich to nie interesowało. Nie każdy Żyd żyje tylko Zagładą. Niektórzy mówią wprost, żeby dać im już z tym spokój, bo nie chcą więcej historii o męczeństwie. Oni chcą być szczęśliwi. I to też jest dobre, buduje normalność. To, co złego dzieje się we wzajemnym postrzeganiu naszych narodów, wynika najczęściej z aktualnej polityki.

Czy zatem to jest naprawdę ważne, by oglądać miejsca Zagłady? Może wystarczy muzeum w Yad Vashem?

To temat, w którym ja sam toczę spór ze sobą. Miewam sny, w których widzę siebie w Treblince i zadaję sobie pytanie – skąd się tutaj wziąłem i jeszcze przeprowadziłem ze sobą młodzież. Nie mam na to gotowej odpowiedzi. Czy ja dobrze zrobiłem, pokazując im to okrucieństwo? Czy za to, co robię, będę zapisany w księdze pamięci na plus czy na minus? Jedno wiem na pewno – to nie jest tak, jak wielu myśli, że rząd Izraela zmusza do tych wybiegów i je finansuje. Rodzice sami płacą, →

→ z kolei moi synowie musieli ciężko zapracować, by zarobić na taki fascynujący wyjazd do Polski. Dla młodzieży już samo to, że mogą pojechać do nieznanego im kraju, jest ekscytujące. Jak się ma siedemnaście lat, to chce się podróżować, zwiedzać, poznawać nowe miejsca i ludzi. Tego nie dostaną w Yad Vashem.

Druga sprawa – dobrze opracowany wyjazd z ciekawym programem ma o wiele większą moc edukacyjną niż nauczanie w klasie. Chodzi też o przełamanie antypolskich stereotypów. One są faktem, tak samo jak polski antysemityzm, a jedno i drugie jest taką samą patologią. Tylko dobrze przygotowany wyjazd jest w stanie zniwelować uprzedzenia i otworzyć młodych ludzi na wzajemne poznanie. To jest wiek, w którym można jeszcze ukształtować ich spojrzenie, ich wrażliwość. Potem będzie już za późno – te uprzedzenia tak w nich wrosną, że trudniej będzie je wykorzenić.

Skąd się w ogóle biorą stereotypy w postrzeganiu Polski?

W dużej mierze wynikają z pamięci zbiorowej sięgającej lat 20. minionego wieku. Żydzi, którzy stworzyli państwo Izrael po II wojnie światowej, byli ludźmi, którzy wtedy właśnie zdobywali wiedzę i umiejętności w polskich szkołach i uniwersytetach. Oni wyjechali z Polski z bardzo mocnym doświadczeniem antysemityzmu. Nosili w sobie krzywdy, których doznawali od swoich kolegów lub nauczycieli. Chcieli być harcerzami? Nie, won, to katolickie harcerstwo. Doświadczenie pogromów też wielu z nich nie było obce. Cała ta atmosfera przedwojenna, wszystko, co działo się w środowiskach związanych z endecją, z Dmowskim, z Piaseckim. To były demony, których nie stworzyli Żydzi. To było wielkie, bolesne doświadczenie, wspólne dla całego przedwojennego pokolenia.

Te demony teraz wracają?

Niestety tak – i w Polsce, i w Izraelu. Żeby je zatrzymać, trzeba mówić młodym ludziom nie tylko o Treblince, ale też o Mickiewiczu, o Chopinie, o Berku Joselewiczu. Trzeba pokazywać piękną Polskę. Przez ponad dwadzieścia lat byłem głównym instruktorem przewodników jadących z młodzieżą do Polski. Przez cały ten czas walczyłem o to, żeby te podróże nie były zdominowane przez temat Zagłady. Trzeba wypracować taki



Alex Danzig w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, 23 września 2021 r.

z młodzieżą, by najmocniej do niej dotrzeć?

Nie można mówić o technice mordy i zbyt dużo o liczbach. Trzeba pokazać, jakie znaczenie te miejsca mają dziś dla ludzkości. Mówić o znaczeniach słów – o tym, co mogło oznaczać słowo „pociąg” w czasie II wojny światowej. Czym było słowo „umschlagplatz”. Próbuje wyobrazić sobie kolory, to wszystko nie było czarno-białe, miało swoje barwy, zapachy. Trzeba też pokazać, co znaczy używanie fabrycznego języka w kontekście ludobójstwa. Przecież o to chodziło – żeby mało ludzi w krótkim czasie zamordowało miliony w sposób przemysłowy. To całkiem nowy pomysł. Ludobójstwo nie było wynalazkiem XX wieku, ono było zawsze, ale nigdy wcześniej na taką skalę. Lubię chodzić z młodzieżą do lasu, tam gdzie są masowe, bezimienne groby. Nie mówię tam zbyt wiele. Czasami odczytam jakiś wiersz i proszę, żebyśmy pomilczeli przez parę minut, bo co mogą powiedzieć na grobie pomordowanych dzieci? Próbuje raczej poczuć, jak las się przez to zmienił. To takie miłe miejsce – tutaj przychodzi się odpoczywać, podziwiać przyrodę, kochać. I nagle ten las został „zaburzony” grobami niewinnych ludzi. Mówię im: „Przejdźmy to w milczeniu. Nie śpiewajmy hymnu, nie grajmy na gitarze. Niech każdy przejdzie ten las w swoim tempie i pomyśli o tych ludziach”.

Jaki wiersz Pan czyta?

Różnych poetów, ale lubię na zakończenie przeczytać wiersz Zbigniewa Herberta „Pan Cogito szuka rady”, w którym pada tyle pytań i nikt nie znajduje na nie odpowiedzi.

A Pan znajduje swoją odpowiedź?

Nie. Dlatego to ciągle mi się śni. Zależy mi na tym, żebyśmy nie zapomnieli, że to nas może odpowiedzieć na pytanie, dlaczego to się stało? To jest tak z gruntu nieracjonalne. Dlaczego ja? Dlaczego ja przeżyłem, a inni nie? Dlaczego w ogóle do tego doszło? Kiedyś ktoś mi powiedział: „Bo Żydzi sprzedawali drożej i oszukiwali w handlu”. Czyś pan zwariował? – ja mu na to. Czy za to, że ktoś sprzedaje ogórki kiszzone drożej niż inni, należy mu się piekło obozu? © Rozmawiał JACEK TARAN

ALEX DANZIG urodził się w 1948 r. w Warszawie. Jako dziecko wyjechał z rodzicami do Izraela. Studiował tam historię. Od blisko 30 lat organizuje wyjazdy młodzieży izraelskiej do Polski i kształci przewodników dla tych grup. Mieszka w kibucu Nir Oz na pustyni Negew. Jest bohaterem dwóch filmów dokumentalnych: „Czytając Sienkiewicza na pustyni Negev” i „Kibucnik Nir Oz”.

model, w którym proporcje w pokazywaniu tego, co piękne i co bolesne, zostaną należycie zachowane.

Nie możemy płakać w Treblince, jeśli nie wiemy, nad kim my tam płacemy. Trzeba pamiętać, że to nie tylko ludzkie prochy, ale też grób cywilizacji, która była w Polsce przez setki lat, która Polskę też tworzyła. Dlatego dobrze jest, że mamy Muzeum POLIN, bo to nam daje podstawę, by poznać wkład Żydów w historię Polski. Nie można mówić tylko o liczbach, o numerach – trzeba mówić o dokonaniach i o tym, co zostało zniszczone, co nam zabrano. Moi wychowankowie wiedzą, kto to był Kościuszko, kim był Piłsudski, i potrafią o nich ciekawie opowiadać. Niedawno dostałem wiadomość od mojej absolwentki: „Alex, byłam w Gdańsku, widziałam pomnik Marii Konopnickiej i pomyślałam o tobie” – to niezwykle cieszy, bo ja wiem, że jeśli przyjedzie z jakąś grupą do Polski, to nie będzie im opowiadać tylko o Zagładzie, ale też o tym, co tutaj jest pięknego. Innym ważnym aspektem jest dyskusja o odpowiedzialności Polaków – nie można tego przemilczeć. Tylko odkrycie całej prawdy pozwoli się oczyścić i zbudować trwały fundament dialogu.

Czy przez te lata znalazł Pan skuteczną metodę, jak rozmawiać

DOROTA

Masłowska: Mikroplanety



OBEJRZAWSZY OSTATNIO W NIEZDROWEJ masie wiele komedii romantycznych, nie dowierzam własnym oczom. Skwierczę z zazdrości nie tylko o happy endy uczuciowych perypetii i ślubne kobierce, ale też wspaniałe potencjały mieszka-

niowe i wnętrzarskie, które rozgrywają się w Warszawie cały czas jakby obok, jakby pomimo mnie, za moimi plecami. Okazuje się, że wszystkie skromne samotne atrakcyjne polonistki, wszystkie niepozorne piękne ekspedientki, wszyscy obłędnie przystojni i czysti mechanicy samochodowi i borykający się z problemami finansowymi sexy bezrobotni ledwie wiążą koniec z końcem w swoich 200-metrowych, świetnie zaprojektowanych i doświetlonych mieszkaniach.

Oczywiście, to było jeszcze przed załamaniem złotego. Ale gdyby ktoś zwiedziony urokiem tych przestronnych hangaro-garsonier, tych gigantycznych kawalerek, rozbił świnkę skarbonkę, rozpruł skarpetę, zbadał swoją zdolność kredytową i przybywszy do stolicy z pragnieniem zakupu podobnej zaczął eksplorować rynek nieruchomości, mógłby bardzo się zdziwić. Świetliste pokoje, pysznie dobrane kolory, wysmakowane bibeloty, wielkie okna z widokiem na spienione zielenią parki zdają się naprawdę daleko idącą fantazją na temat jednoosobowego mieszkania w Warszawie.

Takie poszukiwanie samo w sobie zawsze jest niezwykle. Budynki, których w ogóle nie rejestrujemy, fasady, które na co dzień wpadają nam jednym okiem, a wypadają drugim, nagle objawiają złożone życie wewnętrzne. Niesamowity jest ten nagły wstęp do obcych klatek schodowych szczególnie wypchanych życiowymi fabułami, zapachów obiadów, szczęk łyżek, strzępów uniesionych w kłótni głosów. A także wnętrz mieszkań, pustych jak scena po spektaklu. Cienie na ścianach po obrazach, kółka po kubkach na meblach, plamy na dywanach i tapicerkach, zapachy i smrody,

aury. Odciski dawno żyjącego gdzie indziej albo nieżyjącego już życia.

W dobie rozszalałej inflacji na rynku małych mieszkań zapanował kompletny szal. Bloki i kamienice ujawniły swoje najwstydliwsze, skrywane zakamarki, dotychczas niemożliwe do sprzedania. Koniunktura pozwoliła im wychnąć z niebytu w przebraniu niepowtarzalnych okazji. Gdy nie pomagają zrobione obiektywem szerokokątnym albo celowo niewyraźne zdjęcia, bijąca po oczach szpetotę lokalu albo jego groteskowy rozmiar jest w stanie podreperować nieco język. Tu agenci naprawdę dokonują salt i szpagatów. Tytułowanie ogłoszenia „POCZUJESZ SIĘ, JAKBYŚ PRZENIÓSŁ SIĘ W CZASIE” zamienia wizytę w zagrzybiałym pokoiku z meblóścianką na placu Hallera w zwariowaną podróż międzygalaktyczną. Jednak ostatecznie trzeba z niej wrócić do rzeczywistości i skonfrontować się z faktem, że remontu nie robiono tu od lat 70. Atutem klimatycznej kawalerki na Grójeckiej okazuje się metro. Wielość wykrzykników wyraża chyba ekscytację faktem, że metro w ogóle istnieje, bo Grójecka ma z nim niewiele wspólnego. Nazywanie mieszkania PRZESTRONNYM albo USTAWNYM nieco łagodzi przykry fakt, że ma ono jedenaście metrów. Myślę jednak, że nie na długo. Pośród wielu antylukratywnych ofert największe wrażenie robi mieszkanie na Bitwy Warszawskiej. Nieporadne zdjęcia na portalu z ogłoszeniami, wstawione z jakiegoś powodu w poziomie, przedstawiają posępny pokój z chylącymi się ku upadkowi meblami, smutne smugi szarych firan, tapczan zasłany przezroczystą od prania pościelą w kwiatuszki. Reklamówki z lekami, blistry acardu. Mimowolnie uchwyciono czyjąś skromną, gasnąco-bledną obecność. Dopiero potem doczytuję anons do końca („mieszkanie z DOŻYWOTNIKIEM lat 90”). To nie jest komedia, to kino moralnego niepokoju.

Desperacja i pośpiech kupujących zdają się wzmacniać kreatywność właścicieli i agentów. Na rynek trafiają nawet sutereny, mieszkania z roszczeniami, poddasza bez okien albo mikrokombinaty: łóżko z sedesem i pralką. Nie mówię, że mieszkając w takim łazienko-łóżku, nie można mieć barwnego, satysfakcjonującego, spełnionego życia. Do wyobraźni uderza mi jednak pewien bardzo konkretny los, determinowany przez taki dom, w którym śpi się, wydała i pierze ubrania. To skrytki na ciało. Naprawdę małe planety singli. Bardzo jednoosobowe mikroplanety ultrasingli. Kamery się do nich nie zmieszczą. ©

TYGODNIK
POWSZECHNY

Wolność, równość, siostrzeństwo!

Wydanie specjalne „Moc kobiet” dostępne jako e-book
na powszech.net/emockobiet



KIEDY MATKĘ SIĘ KRYTYKUJE

Kościół katolicki przypomina dysfunkcyjną rodzinę,
która nie potrafi sama siebie uleczyć.
Gdzie szukać pomocy?

ARTUR SPORNIAK

WKRÓTCE PO TRANSFORMACJI, w okresie gorących dyskusji o miejscu katolików w sferze publicznej „Tygodnik Powszechny” zorganizował debatę o „Granicach krytyki Kościoła”. To była jedna z pierwszych publicznych dyskusji na ten temat. 22 listopada 1993 r. w atrium krakowskiego klasztoru dominikanów przy licznie zgromadzonej publiczności dyskutowali m.in. Jerzy Turowicz, ówczesny naczelny miesięcznika „Znak” Jarosław Gowin, ks. Józef Tischner, Zbigniew Nosowski z „Więzi” i Roman Graczyk z „Gazety Wyborczej”. W pewnym momencie ku konsternacji wszystkich zadzwonił telefon. To furtian połączył z klasztornym atrium kard. Andrzeja Deskura, który poprosił kogoś, kto podniósł słuchawkę, o przekazanie, że „matki się nie krytykuje”.

Polski hierarcha o tradycyjnych poglądach na Kościół, od wielu lat przebywający w Watykanie, zrobił wówczas dwie rzeczy: odwołał się do powszechnego tabu zakazującego krytyki rodziców oraz zasugerował analogię między biologiczną rodziną a Kościołem. Pójdźmy tym tropem, przypatrując się dzisiejszemu kryzysowi i korzystając ze współczesnej wiedzy.

Społeczne tabu

Tabu, czyli głęboki zakaz społeczno-kulturowy, chroni wartości, od których –

jak wierzy dana społeczność – zależy jej istnienie i pomyślność. Dlatego złamanie tabu zwykle wywołuje gwałtowną i powszechną reakcję. Ten mechanizm wywodzi się z czasów, gdy przetrwanie i pomyślność jednostki zależały od przetrwania i pomyślności niewielkiej społeczności, do której przynależała – rodziny, klanu czy wioski. Pojedynczy człowiek i jego potrzeby były całkowicie podporządkowane potrzebom społeczności.

Wraz z rozwojem cywilizacji rola lokalnych społeczności w kulturze zachodniej malała, a funkcję społecznego tabu przejęło prawo, które w swojej najbardziej fundamentalnej postaci – praw człowieka – chroni teraz potrzeby jednostki. Ale mechanizm tabu nie znikł całkowicie. Z trudem np. godzimy się na krytykę demokracji, gdyż sądzimy, że od niej zależy nasz dobrobyt. Z tego samego powodu źle widziane jest publiczne krytykowanie własnej rodziny – to jej zawdzięczamy istnienie i to ona wprowadza nas w życie społeczności, od rodzin zatem – tak sądzimy – zależy powodzenie tej społeczności.

Dzisiaj jednak zaczynamy zwracać uwagę także na ciemną stronę tabu: wyjmując spod krytyki jakiś obszar, stwarza ono warunki dla pojawienia się i rozkwitu patologii. Dawniej patologie wywierano, bo ważniejsze dla społeczeństwa



było istnienie danej struktury. Krzywdą ofiar patologii, np. w rodzinach, w społecznej świadomości znikająca rzecz wspólnego dobra, które miała gwarantować instytucja rodziny. Stary Testament nakazywał kamienować krnąbrne dzieci, bez względu na to, co było przyczyną owej krnąbrności.

Wspólnota dysfunkcyjna

Kard. Deskur reprezentował jeszcze mentalność, wedle której społeczna wartość rodziny była ważniejsza niż dobro jednostki. Tabu, broniąc rodziny, chroniło także i jej patologie. Zapytajmy więc, na ile uprawnione jest odwołanie się do analogii między rodziną a Kościołem?

Rodzice przekazują dzieciom życie biologiczne. Tak dzieje się z pokolenia na pokolenie. Podobnie z pokolenia na poko-



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Bazylika Mariacka w Krakowie, marzec 2017 r.

lenie – poczynając od pierwszych apostołów – przekazywana jest w Kościele wiara. W rodzinach dzieci wprowadzane są w życie społeczne. We wspólnotach kościelnych następuje inicjacja w życie wiarą. Rodzina wypełnia swoje główne zadanie, gdy dorosłe dzieci biorą odpowiedzialność za własne życie. Kościół również wypełnia swoją wychowawczą rolę, gdy jego dojrzały w wierze członkowie biorą równoprawny (z uwagi na chrzest) i pełny (choć na różny sposób) udział w życiu wspólnoty, podejmując odpowiedzialność za swoją wiarę i za swoją wspólnotę.

Istnieje też ważna analogia między dysfunkcjami w rodzinie i w Kościele. Toksyczni rodzice wychowują niedojrzałe, uzależnione od siebie dzieci. Skutkiem toksyczności ujawniającej się w Kościele

są m.in. niedojrzały i uzależnieni od hierarchii świeccy.

W latach 90. związany z „Tygodnikiem”, nieżyjący już historyk Kościoła ks. Jan Kracik w eseju „Ruchome granice krytyki Kościoła” wprost odniósł się do przytoczonej wyżej wypowiedzi kard. Deskura, choć nie wymienił go z nazwiska. Przestrzegł przed ograniczeniami, jakie niesie „argumentowanie porównaniami”. „Bo jeśli kogoś nazwać dzieckiem społeczności, do której należy, to piękna ta przenośnia znaczy tyle samo, ile uzupełniające ją, choć mniej trafiające do wyobraźni stwierdzenie, iż każda jednostka jest również częścią tej zbiorowej matki, która wszak, w przeciwieństwie do rodziny, nie istnieje osobno, poza swoimi »dziećmi«, gdyż wyłącznie z nich się składa”.

Przyrównywanie chrześcijanina do dziecka, a Kościoła do rodzica rzeczywistość ma ograniczony zakres i odnosi się jedynie do okresu inicjacji i formacji chrześcijańskiej. Jednak po pierwsze – jest to okres fundamentalny w życiu osoby religijnej, a po drugie – ks. Kracik, chcąc dać odpór myśleniu reprezentowanemu przez kard. Deskurę, nie dostrzegł analitycznego potencjału tej analogii, zwłaszcza jeśli chodzi o ciemną stronę Kościoła. Ten potencjał jest – jak się wydaje – większy od poznawczej wnikliwości formuły „Święty Kościół grzesznych ludzi” (tytuł wydanej przez ks. Kracika w 1998 r. książki, której wspomniany esej jest jednym z rozdziałów).

Kościół może być święty tylko jako mistyczne ciało Chrystusa, nie – jako instytucja. Dzisiaj, w epoce kryzysu →

→ związanego z pedofilią w Kościele, widzimy to dokładniej. Instytucjonalna struktura Kościoła naznaczona jest systemowym złem. Ci, co mają władzę w Kościele, nie potrafią sami wdrożyć skutecznych reform – zbyt głęboko tkwią w klejkalnej strukturze. Bardzo to przypomina niezdolność rodziców, by uznać swoją toksyczność i podjąć proces zdrowienia. On może przyjść tylko ze strony dzieci, które wielkim wysiłkiem przełamią własne uzależnienie.

Analogia przyrównująca Kościół do toksycznej rodziny, oprócz tego, że pozwala realistycznie dostrzec zło w strukturach i proporcjonalnie obarczyć odpowiedzialnością tych, którzy mają większy na te struktury wpływ (formuła ks. Kracika wykorzystywana jest często do zdejmowania z instytucji odpowiedzialności), pozwala też uniknąć nie-realistycznej reakcji na obecny kryzys. Tak jak daremne jest wyrzeczenie się toksycznych rodziców – oni i tak pozostaną tymi, którzy dali nam życie, podobnie nieskuteczny może być akt apostazji, który nie unieważnia przecież sposobu, w jaki otrzymaliśmy wiarę. Ze świadectw osób uzależnionych od rodzica wynika, że nawet jego śmierć nie przerywa niszczącej relacji – toksyczna osoba dalej „siedzi” w głowie swej ofiary i oddziałuje zza grobu. Zapewne podobnie jest w przypadku prób zerwania z toksycznym Kościołem. I w rodzinie, i w Kościele lepsza jest inna strategia powrotu do zdrowia.

Uwaga na toksyczność

W 1989 r. pojawiła się książka Susan Forward „Toksyczni rodzice. Jak się uwolnić od bolesnej spuścizny i rozpocząć nowe

W kryzysie rodzinnym często punktem zwrotnym jest konfrontacja z toksycznymi rodzicami, przy czym chodzi nie o to, by „nawrócić” rodziców, ale by odzyskać prawdę o sobie. W Kościele będzie to pokazywanie gorzkiej prawdy o rzeczywistości.

życie”. Pozycja ta chyba pierwszy raz tak bezpardonowo przełamywała tabu skrywające patologie rodzinne i proponowała drogę zdrowienia. Autorka, choć nie mogła powoływać się na szeroko zakrojone badania empiryczne (bo ich wtedy nie prowadzono), z grubsza trafnie diagnozowała problem. Dlatego jej książka szybko stała się bestsellerem i wznawia się ją do dzisiaj. Wskażmy na te uwagi, które można wykorzystać do analizy sytuacji w Kościele.

Matnia, w jakiej znajduje się osoba wykorzystywana, związana jest z sytuacją nierównowagi. Dziecko manipulowane przez toksycznych rodziców jest wobec nich bezbronny i na nich skazane. „Kiedy jesteśmy bardzo mali, nasi boscy rodzice są dla nas wszystkim. Bez nich bylibyśmy niekochani, pozbawieni opieki, domu, jedzenia, żylibyśmy w ciągłym strachu, wiedząc, że sami nie możemy przetrwać” – pisze Forward w rozdziale pt. „Rodzice jako bogowie”. I nieco dalej:

„Świat dziecka jest bardzo zawężony i bez względu na to, jak agresywni są rodzice, nadal reprezentują oni jedyne osiągalne źródło miłości i otuchy”. Adepti wiary również są początkowo bezbronni wobec jedynych, jak sądzą, reprezentantów Boga, obiecujących zbawienie. Ich świat również jest wtedy bardzo zawężony, dlatego tak podatni są na manipulację. A skoro „Matki się nie krytykuje”, wykorzystanie samo się prosi...

Z matni toksycznej rodziny wyjść można właściwie jedynie jako osoba dorosła. Istotne jest, by móc przerwać toksyczną relację, odzyskać siebie i na bezpiecznych dla siebie warunkach dopuścić do siebie rodziców. „Emocjonalna niezależność nie oznacza, że musisz się od nich odciąć. Polega ona na tym, że możesz być częścią rodziny, przy jednoczesnym istnieniu jako oddzielna jednostka” – zauważa Forward w rozdziale „Początki samookreślenia”.

To przepis też na to, jak odzyskać siebie jako osobę wierzącą i zbudować bezpieczną relację z Kościołem. Mamy prawo zadbać o siebie w Kościele, krytycznie oceniać, co jest dla nas dobre, a co złe. A w szczególnych sytuacjach (np. wykorzystania seksualnego) bezterminowo zawiesić kontakt z kościelną instytucją. Miernikiem zdrowienia będzie odzyskiwana wolność.

Nowa teologia

Nie należy bać się korzystania z zewnętrznej pomocy. Psychoterapeuci stwierdzają, że w przypadku wielu toksycznych związków terapia okazuje się niezbędna. Ma to zastosowanie zarówno do związków rodzinnych, jak i kościelnych. W tym drugim przypadku sama psycho-

TP

ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU” SPECJALNY DODATEK W 40. ROCZNICĘ WPROWADZENIA STANU WOJENNEGO W POLSCE

„FRANCJA i SOLIDARNOŚĆ”

a w nim:

■ Rozmowa z HENRYKIEM WOŹNIAKOWSKIM

■ O pomocy udzielanej przez Francuzów Polakom opowiadają też m.in.: MIROŚLAW CHOJECKI, ANNA FEDEROWICZ, LUDWIKA WUJEC, ELŻBIETA JOGAŁA, BRIGITTE GAUTIER, ANNE DURUFLÉ, TADEUSZ WOŹNIAK i AMBASADOR FRÉDÉRIC BILLET

Vive la Pologne! Vive la France!

„TYGODNIK” Z DODATKIEM W KIOSKACH OD ŚRODY 8 GRUDNIA

PARTNERZY:





Giotto di Bondone, Papież zatwierdza regułę św. Franciszka, 1295-1300, Muzeum Luwr, Paryż

Prorocy i kościelna siła bezwładności

PRAWIE 40 LAT temu kard. Franciszek Macharski powiedział, że życie św. Franciszka to „piąta ewangelia” – czyli wszystkie cztery przeczytane dosłownie. Współcześni badacze w mniejszym stopniu niż ci dawniejsi kładą nacisk na kwestię napięć między biedaczną z Asyżu a papieżem w sprawie instytucjonalizacji zakonu. Tak czy inaczej na przykładzie zakonu franciszkańskiego można zaobserwować, jak Kościół potrafił ukształtować dzieło ściśle według własnych oczekiwań i wbrew pierwotnym ideałom. Franciszek napisał dla braci regułę, która była właściwie zbiorem cytatów biblijnych i prostych zaleceń co do trybu życia. Papiestwo nie potrzebowało jednak gromady duchowych wa-

gabundów i w kolejnych dziesięcioleciach po śmierci założyciela – pod ścisłą kontrolą Rzymu – zakon upodabniał się do dominikańskiego. Prostotę pierwszych braci zastąpiło szczególnie wyształcenie, skromne kapliczki – wielka bazylika w Asyżu. Próby interpretowania Franciszkowych zaleceń ubożego życia za pomocą języka prawnego stały się zarzewiem sporów, a nawet krwawych rozpraw, które świetnie zna czytelnik „Imienia róży”.

Z BIEGIEM LAT w wielkich zakonach dochodziło do rozprzężenia obyczajów. Reakcją były tzw. ruchy obserwankie, dążące do przywrócenia zarzuconych zasad. Ich przywódców możemy dziś postrzegać jako proroków stojących naprzeciw skostniałej instytucji religijnej. Kimś takim był dominikanin Girolamo Savonarola, reformujący w duchu obserwankim (ubóstwo,

studium i modlitwa) klasztor florencki. Zaburzenia polityczne końca XV w. sprawiły, że zakonnik przejął *de facto* kontrolę nad całym miastem – i próbował mu narzucić swoje surowe ideały. Narastała jednak opozycja, sprzymierzona z papieżem Aleksandrem VI Borgią – którego Savonarola gromił w kazaniach za zbytek, rozpustę, nepotyzm i obarczał odpowiedzialnością za zepsucie Kościoła. Bezkompromisowość ostatecznie powiodła Savonarolę na stos. Ale kto wie, może gdyby papież posłuchał proroka, zamiast przyzwoić na jego zabicie, Kościół nie zderzyłby się niedługo później z kryzysem reformacji?

INNYM OBSERWANTEM, któremu ludzie Kościoła zgotowali ciężki los, był św. Jan od Krzyża, reformujący w 2. połowie XVI w. zakon karmelitów. Został porwany i uwięziony przez przeciwników powrotu do pierwotnych zakonnych ideałów, nazywanych później karmelitami trzewickowymi. Słynny mistyk, zanim zdołał zbiec, spędził w celi dziewięć miesięcy, upokarzany i torturowany. W przeciwieństwie do Savonaroli, został wyniesiony na ołtarze.

©© MACIEJ MÜLLER

mentologia służy klerykalnej eklezjologii. Być może ważne się okaże także nowe do wartościowanie tzw. komunii duchowej.

Innym tematem do teologicznego prześmyślenia jest trydencki dogmat o ważności sakramentów niegodziwie sprawowanych. Zabezpiecza on skuteczność sakramentu przed ludzką ułomnością i grzechem, ale dzisiaj coraz bardziej uświadamiamy sobie, że jednocześnie autoryzuje przestępców w sutannach.

Reforma Kościoła

Zdaniem Forward punktem zwrotnym w zdrowieniu często okazują się konfrontacja z toksycznymi rodzicami. Warunkiem powodzenia jest to, by motywem konfrontacji nie były negatywne emocje, takie jak gniew. Chodzi nie o to, by „nawrócić” rodziców, ale by odzyskać prawdę o sobie. W Kościele będzie to pokazywanie gorzkiej prawdy o rzeczywistości.

Drugim ważnym krokiem zdrowienia jest tworzenie enklawy wolnej od toksycznych wpływów. Gdy przyjrzymy się historii Kościoła, okazuje się, że skuteczne ruchy reformatorskie dokładnie na tym polegały: były tworzeniem enklaw dla Ewangelii i chronieniem ich przed toksycznymi wpływami zdegenerowanej instytucji. Oczywiście nie było to łatwe. Pokazują to życiorysy świętych Franciszka, Teresy z Ávili, Jana od Krzyża i wielu innych (zobacz obok tekst Macieja Müllera).

Na tym polega reforma Kościoła: tworzyć nowe miejsca wzrostu Ewangelii, nie oglądając się na strukturę. Tak polski Kościół reformuje np. s. Małgorzata Chmielewska.

Najbardziej optymistyczny wariant jest taki, że toksyczni rodzice nawracają się sami, widząc zdrowienie swoich niezależnych już dzieci. Forward podkreśla, że przebaczenie rodzicom nie jest warunkiem zdrowienia – ono jest co najwyżej jego skutkiem.

Dlatego Kościół instytucjonalny nie może oczekiwać przebaczenia od osób wykorzystanych. Jeśli ono przychodzi, jest niezаслужoną łaską i Bożym błogosławieństwem. Może natomiast, a nawet powinien zrobić wszystko, by spojrzeć na rzeczywistość wiary oczyma tych osób. To oni są dzisiaj ewangeliczną „wdową sierotą, cudzoziemcem”.

Przygotowywany synod o synodalności będzie dobrą okazją, by to wszystko jeszcze raz prześmyśleć.

©© ARTUR SPORNIAK

terapia jednak nie wystarczy. Dla odzyskania wiary niezbędna będzie pomoc teologii, z tym że musi być to nowa teologia wyzwolenia: wyzwolenia od toksyczności Kościoła. W obecnym kryzysie pedofilskim to pierwszorzędne zadanie dla katolickich teologów.

Trzeba przyjrzyć się np., jak niektóre formuły teologiczne są wykorzystywane

do uzależniania wiernych od Kościoła. Klasyczną taką formułą jest stwierdzenie: „Poza Kościołem nie ma zbawienia”. W nauczaniu obecne są jej różne odmiany, np. bez Eucharystii nie ma zbawienia. Jeśli do zbawienia konieczna jest Eucharystia, to jest też do niego konieczny potrzebny kapłan. Trzeba zatem się przyjrzyć, na ile sakra-



Msza św. w kościele w wsi Łyse koło Ostrołęki, marzec 2021 r.

Koniec katolicyzmu masowego

PIOTR SIKORA

Najnowsze badania socjologiczne pokazują, że w trakcie pandemii procesy sekularyzacyjne w Polsce znacznie przyspieszyły.

PUBLICYŚCI ZAJMUJĄCY SIĘ SFERĄ PUBLICZNĄ w Polsce stawiali coraz częściej hipotezę, że ostatnie dwa-trzy lata wydają się przynosić istotne zmiany w religijności Polaków. Teza ta wydawała się prawdopodobna, lecz do niedawna brak było badań, które by ją potwierdzały. Wyniki takich badań zostały opublikowane w zeszłym tygodniu przez CBOS.

W publikacji „Religijność młodych na tle ogółu społeczeństwa” możemy zobaczyć ilościowe porównanie autodeklaracji wiary Polaków oraz ich uczestnictwa we wspólnotowych praktykach religijnych z ostatnich 30 lat – w tym okresu z pandemii (tj. do sierpnia 2021). Opublikowane zestawienie pokazuje, że od 1992 r. zachodziły w Polsce procesy sekularyzacyjne, jednak aż do niedawna nie były one bardzo gwałtowne. Można je było określić jako „pełzającą sekularyzację”. Trzymając się tej metaforyki można

dziś powiedzieć, że od 2018 r. sekularyzacja „wstała z kolan”. Dane liczbowe nie pozostawiają złudzeń.

Religia rytualna

Na początku trzeba zauważyć, że zmiany dotyczą w znacznie większym stopniu praktyk religijnych niż autodeklaracji wiary. Owszem, od 30 lat niewierzących Polaków stale przybywa. W 1992 r. było ich ok. 6 proc., obecnie jest ponad 12 proc. Niemniej przyrost ludzi, którzy w ogóle nie uczestniczą w kościelnych nabożeństwach, jest jeszcze większy. 30 lat temu było to ok. 10 proc. społeczeństwa, teraz nie praktykuje niemal jedna czwarta badanych. Regularnie (przynajmniej raz w tygodniu) praktykujących ubyło zaś o ponad 20 punktów procentowych – z 60 w roku 1992 do ok. 40 w roku 2021.

Gwałtowny wzrost liczby osób całkowicie niepraktykujących nastąpił w ostatnich trzech latach. O ile między rokiem

1992 a 2019 przyrost wyniósł ok. 5 punktów procentowych (z ok. 10 do kilkunastu procent), to od przełomu 2019 r. do sierpnia 2021 r. zmiana ta jest dwa razy większa (o ok. 10 punktów procentowych – z kilkunastu do niemal 25 proc.). Widać więc wyraźną korelację czasową pomiędzy wzrostem liczby osób niepraktykujących a pandemią COVID-19, podczas której były okresy większych i mniejszych obostrzeń, dotyczących także możliwości uczestnictwa w kościelnych nabożeństwach.

Z samej korelacji czasowej nie można, oczywiście, wnioskować o związku przyczynowym. Są jednak inne dane, które sugerują, że jakiś związek między pandemią a gwałtownym spadkiem praktyk religijnych Polaków istnieje. Część tych danych zawarta jest w najnowszej, omawianej tu publikacji, część – w innych, bardziej szczegółowych badaniach prowadzonych przez CBOS w latach 2006-2017.

Z ostatnio opublikowanego zestawienia wynika, że sekularyzacja postępuje najszybciej w dużych, ponad półmilionowych miastach. Tu gwałtowny spadek dotyczy nie tylko praktyk, ale i autodeklaracji wiary. Co trzecia osoba mieszkająca w Warszawie, Krakowie, Łodzi, Wrocławiu lub Poznaniu uznaje się za niewierzącą, w ogóle nie praktykuje w nich ponad 40 proc. ludzi, zaś praktykujących regularnie jest tylko dwadzieścia kilka procent. Zmiany sekularyzacyjne, które nastąpiły w ciągu ostatnich lat, są w tych miastach szybsze niż w mniejszych miejscowościach.

W tym kontekście warto wziąć pod uwagę wyniki innych jeszcze badań. Nie dotyczyły one autodeklaracji wiary oraz uczestnictwa w nabożeństwach, lecz oceny tego, co w życiu ważne. Gdy Polacy pytani byli wprost, czy wiara jest ważna w ich życiu, niemal 80 proc. naszych rodaków odpowiadało pozytywnie. Gdy jednak badacze prosili o samodzielne wymienienie kilku spraw, które w życiu są najważniejsze, które nadają mu sens i które stanowią cele życiowe, odpowiedzi, które jakoś można byłoby powiązać z wiarą, pojawiały się w przypadku co najwyżej 8 proc. badanych.

Uczestnictwo w religijnych praktykach w kościołach było i jest znacznie wyższe w tych środowiskach, w których większa jest kontrola społeczna. Z drugiej strony w przypadku ponad 90 proc. społeczeństwa kwestie związane z wiarą

nie pojawiały się na centralnym miejscu w osobistym kształtowaniu życia – w postaci życiowych celów i wartości nadających sens codziennej egzystencji. Uprawione wydaje się zatem wyjaśnienie, że rola, jaką religijność odgrywa od lat w życiu Polaków, jest bardziej społeczno-rytualna niż osobisto-egzystencjalna. Pandemia COVID-19 oraz związane z nią obustronne osłabiły wiele więzi społecznych, co mogło mieć negatywny wpływ na oparte na takich więziach religijne praktyki.

Skandale i obojętni młodzi

Do przyspieszenia procesów sekularyzacyjnych w Polsce mogły także przyczynić się wychodzące w ostatnich latach na jaw skandale, w które uwikłani byli katolicyccy księża. Chodzi głównie o przypadki seksualnego krzywdzenia osób nieletnich i zależnych, a także o reakcje biskupów, którzy dbali raczej o wizerunek instytucji niż o pomoc skrzywdzonym.

Można postawić hipotezę, że to jest jedna z przyczyn, dla których procesy se-

kularyzacyjne w ostatnich dwóch-trzech latach przyspieszyły bardziej wśród ludzi z wyższym i średnim wykształceniem niż wśród osób, które ukończyły jedynie szkołę podstawową lub zawodową. Sensowne wydaje się bowiem przypuszczenie, że osoby lepiej wykształcone częściej śledzą informacje i debaty publiczne na temat negatywnych zjawisk związanych z instytucjami Kościoła, a zatem informacje te mają na nie większy wpływ niż na osoby gorzej wykształcone.

Największe jednak wrażenie robi porównanie dynamiki procesów sekularyzacyjnych w poszczególnych grupach wiekowych. Wśród osób urodzonych przed rokiem 1965 spadek deklaracji wiary i praktyk religijnych następuje bardzo powoli. Szybszy jest w średnim pokoleniu. O ile w 2018 r. w ogóle nie praktykowało ok. 10 proc. ludzi urodzonych w latach 1965-1979, teraz jest to już ponad 20 proc.

Sekularyzacja młodszych pokoleń przyspiesza jeszcze bardziej. W porównaniu z rokiem 2015, w 2021 dwa razy więcej osób w wieku 18-25 lat nie pojawia się

w ogóle w kościołach. Teraz jest to już co trzeci młody człowiek. Regularnie zaś na nabożeństwach bywa tylko co czwarty.

Podobne zmiany zachodzą wśród nieco starszych. Co trzeciego z milenialsów także nigdy nie spotkamy na mszy, zaś regularnie uczestniczy w niej też niespełna jedna trzecia z nich. W przypadku ludzi w wieku 26-35 lat gwałtowny spadek praktyk religijnych nastąpił w ostatnich dwóch-trzech latach.

Mamy do czynienia ze zjawiskiem zmiennym – nawet jeśli weźmiemy pod uwagę to, co wiemy o przemianach religijności w cyklu życia. Jeszcze kilkanaście lat temu młodsze pokolenia Polaków były tylko trochę mniej zaangażowane religijnie niż osoby starsze. W ostatnich kilku latach to „religijne rozwarstwienie” szybko się powiększa. Co więcej, procesy sekularyzacyjne postępują najszybciej wśród ludzi o największym potencjale kulturowym. Masowego chrześcijaństwa nad Wisłą uratować się więc raczej już nie da. Lepiej zacząć myśleć, jak być społeczną mniejszością. ©P

REKLAMA

10 LAT KONWENCJI STAMBULSKIEJ

16 DNI PRZECIW PRZEMOCY WOBEC KOBIEC



**Pobierz
bezpłatnego
E-BOOKA**

Ostatnie sześć tygodni

DALE RECINELLA, ŚWIECKI KAPELAN CZEKAJĄCYCH NA EGZEKUCJĘ:

Więźniowie zazwyczaj pytają mnie, czy istnieje życie po śmierci, i chcą wiedzieć, dlaczego wierzę w Jezusa.

MARTA ZDZIEBORSKA: Towarzyszy Pan więźniom w ich ostatnich chwilach. Ile osób zginęło na Pana oczach?

DALE RECINELLA: Dziewiętnaście. W sumie byłem kapłanem 42 osób, które miały już podpisany nakaz egzekucji i czekały na śmierć. Chcę tutaj podkreślić, że reprezentuję Kościół katolicki i nie dostaję za swoją pracę wynagrodzenia. To mój świadomy wybór. Jeśli otrzymywałbym czek od władz stanowych, to z definicji musiałbym popierać karę śmierci.

Jako nastolatek wspierał Pan ruch na rzecz ochrony życia nienarodzonego i jednocześnie opowiadał się za karą śmierci. Dlaczego zmienił Pan zdanie w tej drugiej kwestii?

W czasach mojej młodości, czyli w latach 60. i 70., wielu Amerykanów uważało, że ruch pro-life obejmuje jedynie walkę z aborcją i eutanazją. Kara śmierci była postrzegana w kategoriach sprawiedliwości społecznej. Ja też tak wtedy myślałem. Dopiero na początku lat 80. zmieniłem zdanie pod wpływem kilku amerykańskich biskupów, którzy mówili, że poparcie dla egzekucji kłóci się z walką na rzecz ochrony życia.

Jeśli spojrzeć na statystyki, to jest Pan w mniejszości. Ponad 60 proc. amerykańskich katolików popiera karę śmierci w przypadku osób skazanych za morderstwo.

Kiedyś karę śmierci popierało nawet 85 proc. Amerykanów, w tym katolików. Duży udział w zmianie społecznych nastrojów miało nauczanie papieży – Jana Pawła II, Benedykta XVI i Franciszka. Pamiętam wizytę Jana Pawła II w stanie Missouri, gdzie pod koniec lat 90. nawoływał Amerykanów do zniesienia kary śmierci. Mam nadzieję, że z biegiem lat poparcie dla egzekucji będzie spadać.

Tymczasem w Stanach rozgorzał kolejny gorący spór: Sąd Najwyższy ma niebawem rozstrzygnąć, czy duchowni mogą modlić się podczas egzekucji na głos i trzymać skazanego za rękę. Jak reguluje te kwestie prawo na Florydzie, gdzie pracuje Pan jako świecki kapłan?

Ani ksiądz, ani doradca duchowy nie może nawet przebywać w sali egzekucji. Ostatnie namaszczenie i modlitwa odbywają się w domu śmierci, czyli tam, gdzie skazani trafiają tuż po podpisaniu przez gubernatora nakazu egzekucji. To dla nich bardzo trudna sytuacja, bo ich cela mieści się tuż obok sali, gdzie zostanie podany śmiertelny zastrzyk. Skazani przebywają w domu śmierci przez około 5-6 tygodni.

Czemu tak długo?

Po pierwsze chodzi o dodatkowy czas na dopełnienie formalności związanych z egzekucją, a także na ostatnią sądową walkę o jej wstrzymanie. To też szansa na pożegnanie z najbliższymi. Wielu więźniów ma duże rodziny: rodziców, dziadków, dzieci, wujków, ciotki. Niektórzy proszą mnie, abym był obecny podczas tych spotkań. Najtrudniej jest w dniu egzekucji, gdy najbliżsi przychodzą pożegnać się rano ze skazanym. Według regulaminu nie mogą zostać na egzekucji i muszą opuścić więzienie.

Mówił Pan kiedyś, że niektórzy zatrzymują się w pobliskim motelu i śledzą newsy w telewizji. Nie wiedzą przecież, czy doszło do egzekucji, czy też jednak została nagle wstrzymana przez sąd.

Tak, to niestety bardzo smutne. Ale krewni więźnia mają wybór. Jeśli zechcą, mogą spędzić ten czas pod opieką mojej żony Susan, która zabierze ich do oddalonego o 15 mil [24 km – red.] kościoła katolickiego. Tam mogą pobyć w ciszy i skupieniu. To lepsze niż samotność w motelu.



Jak wyglądają ostatnie godziny życia skazanego?

O jedenastej je swój ostatni posiłek. Godzinę później przyjeżdża do niego ksiądz i udziela ostatniego namaszczenia. Potem to ja towarzyszę więźniowi aż do momentu egzekucji, czyli do około szesnastej. Do celi przychodzą wtedy strażnicy, zabierają go do sali śmierci i przywiązują do noży. Ja w tym czasie idę do pomieszczenia, z którego będę obserwował egzekucję.

O czym przed śmiercią rozmawiają z Panem więźniowie?

Zazwyczaj pytają mnie, czy istnieje życie po śmierci, i chcą wiedzieć, dlaczego wierzę w Jezusa. Zawsze mówię im wtedy, że zanim zacząłem pracować jako kapłan w więzieniu, przez dziesięć lat towarzyszyłem umierającym na raka i AIDS. I w takim momencie wszyscy bez wyjątku, czy to prawnicy, politycy, inżynierowie, czy bezdomni – prosili mnie, bym modlił się za nich i prosił Boga o miłosierdzie.

Te pożegnania ze skazanymi są bardzo trudne. Pewien mężczyzna powiedział mi, że byłem dla niego ojcem, którego nigdy nie miał. Inny z kolei mówił, że gdyby kiedyś miał takiego przyjaciela jak ja, to być może nigdy nie popełniłby zbrodni. I ja wiem, że te słowa są praw-



Demonstracja przed więzieniem federalnym w Bloomington przeciwko egzekucji skazanej na karę śmierci Lisy Montgomery. Indiana, USA, 2 stycznia 2021 r.

JEREMY HOGAN / ZUMA PRESS / FORUM

dziwe. Wielu skazanych zeszło na złą drogę, bo byli wykorzystywani w dzieciństwie albo mieli inne traumatyczne doświadczenia.

Ale na egzekucję czekają też seryjni mordercy, jak na przykład Gary Ray Bowles, który w latach 90. zamordował sześciu gejów. To Pan towarzyszył mu przed śmiercią w sierpniu 2019 r. Co wtedy mówił?

Nie mogę ujawnić takich informacji, ale powiem jedno: bez względu na to, czy ktoś zabił z premedytacją, czy jest niewinny, każdy z nas potrzebuje zbawienia. Towarzyszyłem przed egzekucją kilku seryjnym mordercom i zawsze powtarzam sobie, że tylko Bóg rozstrzygnie o ich winie. Nie mogę zakładać z góry, że nie pójdą do nieba. Zamiast tego mówię im, że Jezus ich kocha, to dla nich umarł na krzyżu i może im teraz towarzyszyć w tych trudnych chwilach. Oczywiście skazani muszą chcieć otworzyć się na Boga. Znałem mężczyznę, który przez lata powtarzał, że nienawidzi chrześcijan. Dopiero po wydaniu nakazu egzekucji poprosił, żebym został jego kapłanem.

Wygląda na to, że zwyciężył strach przed śmiercią.

Być może. Gdy spytałem, dlaczego to mnie poprosił o pomoc, odpowiedział, że tylko ja co roku rozdawałem więźniom świąteczne kartki. To było dla niego ważne, bo chciał coś wysłać swojej matce. Dopiero na kilka tygodni przed egzekucją powiedział mi, że wychowywał się na głębokiej prowincji na Florydzie. Jego rodzina była tak biedna, że chodził do szkoły wciąż w tym samym, brudnym ubraniu i miał dziury w podeszwach butów. Bardzo się tego wstydził i dlatego chodził bardzo ostrożnie, szurając nogami po ziemi. Był przez to szkolnym pośmiewiskiem: najbardziej dokuczały mu dzieci z chrześcijańskich rodzin, które rzucały w niego kamieniami i robiły sobie z niego żarty.

Czy w opowieściach więźniów często pojawia się wątek traumatycznych doświadczeń z dzieciństwa?

Oczywiście. Ktoś, kto wychowywał się w szczęśliwej i prawidłowo funkcjonującej rodzinie, raczej nie trafi do celi śmierci. Przez te ponad 24 lata pracy z więźniami nie poznałem nikogo, kto nie miałby na koncie jakichś traum.

Jak zmienia się z biegiem lat perspektywa osoby czekającej na egzekucję? Jako świecki kapłan

towarzyszy Pan niektórym od początku ich pobytu w więzieniu.

To, co powiem, będzie swego rodzaju generalizacją, bo przecież historia każdej osoby jest inna. Większość mężczyzn mówi mi jednak, że potrzebowali do dziecięciu lat, żeby oswoić się z myślą, że muszą przygotować się do egzekucji. Zawsze powtarzam, że istnieje duża różnica w podejściu więźniów odsiadujących karę do życia i tych skazanych na karę śmierci. Ci pierwsi już w pierwszych tygodniach pobytu w więzieniu zastanawiają się, co robić dalej ze swoim życiem. W przypadku osób skazanych na śmierć jest inaczej. Przez pierwsze 10-15 lat skupieni są przede wszystkim na walce o złagodzenie kary. Nie mają siły na budowanie relacji z Bogiem. Wyrok śmierci oddala ich od niego.

Po długich latach walki większość i tak dostaje śmiertelny zastrzyk, czego jest Pan świadkiem. Jak Pan sobie z tym radzi emocjonalnie?

Za każdym razem jestem sparaliżowany strachem. Wciąż mam w pamięci egzekucję z 2006 r., gdy w wyniku nieprawidłowo podanego zastrzyku skazany umierał w strasznych cierpieniach. Boję się, że ten błąd może się powtórzyć.

Mówi Pan o Portorykańczyku Angelu Nievesie Díazie, skazanym za zabójstwo kierownika klubu ze striptizem. Co się wtedy stało?

Kat wbił igłę w tkankę podskórną, a nie w żyłę. Z sekcji zwłok zleconej przez Sąd Najwyższy Florydy wynika, że Díaz miał w obu ramionach rozległe oparzenia trzeciego stopnia. W zasadzie trucizna spaliła go od środka. Umierał przez długie 29 minut.

Ile trwa standardowa egzekucja?

Około 10-11 minut. Gdy po śmierci Díaz z zadzwoniłem do mojej żony, z trudnością rozpoznała mój głos. Byłem wtedy bardzo roztrzęsiony. Powiedziałem jej, że właśnie zobaczyłem, jak zakatowano człowieka na śmierć.

Czy po tamtym wydarzeniu miał Pan objawy zespołu stresu pourazowego?

Tak, miałem koszmary senne, byłem niespokojny. Powtarzałem sobie jednak, że i tak nie jestem w tak trudnej sytuacji, jak mój poprzednik – katolicki ksiądz, który był świadkiem czterech egzekucji →

⇒ z użyciem krzesła elektrycznego. Za czwartym razem było wyjątkowo tragicznie: krzesło, na którym siedział skazaniec, stanęło w płomieniach. Mężczyzna spalił się żywcem. Ksiądz już się po tym nie pozbierał i poprosił biskupa o przeniesienie. Mnie pomogła psychoterapia. Bez przepracowania traumy związanej z egzekucjami nie byłbym dalej w stanie pomagać skazanym.

**Dla pomagania innym rzucił Pan karierę prawniczą.
Dlaczego Pan to zrobił?**
Zmusiła mnie do tego ostryga.

Nie rozumiem.

W 1988 r. bardzo poważnie zachorowałem po zjedzeniu surowej ostrygi, która zawierała groźną dla życia bakterię *vibrio vulnificus*. Po sześciu miesiącach walki z chorobą znajdowałem się w stanie krytycznym. Lekarz powiedział mojej żonie, że moja wątroba przestała pracować i należy spodziewać się, że za kilka godzin umrę. W tamtych chwilach doznałem objawienia. Odwiedził mnie Jezus i spytał: „Co zrobiłeś ze swoimi talentami?”. Jako prawnik zarabiałem mnóstwo pieniędzy, ale nie chciałem udzielić takiej odpowiedzi. Mówiłem więc o amerykańskim śnie i o tym, że chciałem zapewnić rodzinie stabilizację finansową. Jezus dobrze wiedział, że kłamię i tak na prawdę zależy mi tylko na własnej karierze. Po wyjściu ze szpitala postanowiłem zmienić swoje życie.

Od czego Pan zaczął?

Razem z żoną chcieliśmy zaangażować się w pomoc potrzebującym. Ale na początku nie wiedzieliśmy nawet, gdzie ich szukać. Przez lata żyliśmy w bańce: mieszkaliśmy na luksusowym osiedlu na Florydzie, w jednym z najbogatszych stanów w USA. Wśród moich klientów byli lokalni politycy i urzędnicy. Dopiero za sugestią proboszcza naszej parafii zacząłem pomagać w jadłodajni dla ubogich. Z czasem zaangażowałem się też w pomoc dla więźniów chorych na AIDS. Pracę ze skazanymi na śmierć rozpocząłem dziesięć lat później.

Czy pamięta Pan swoją pierwszą wizytę w więziennym bloku z celami śmierci?

To był sierpień 1998 r. W więzieniu nie było klimatyzacji i trudno było tam

wytrzymać z gorąca. Już pierwszego dnia rozmawiałem z trzema mężczyznami: Johnnym Robinsonem, Krisem Maharajem i Tommym Zeiglerem [ten ostatni czeka na egzekucję od 1975 r. – red.].

Jak odbywają się takie rozmowy – odwiedza Pan więźniów w celi czy stoi Pan na zewnątrz?

Na zewnątrz. Więzienie zmieniło regulamin po tym, jak mój poprzednik został skatowany przez chorego psychicznie mężczyznę. Rozmawiam z więźniami wyłącznie przez otwór w drzwiach celi. Podczas modlitwy często trzymamy się za ręce. Niektórzy pokazują mi zdjęcia swojej rodziny.

Skazani mogą też poprosić mnie o spotkanie na osobności. Rozmawiamy wtedy w specjalnym pomieszczeniu, oddzieleni szybą. Przez cały czas obserwują nas strażnicy, ale nie mają prawa słuchać naszych rozmów, co do tej pory zawsze było repektowane.

Czy spotkał Pan kiedyś więźnia, który w Pana odczuciu został niesłusznie skazany na śmierć?

Tak. Moim zdaniem to przypadek Jamesa Daileya, weterana wojny w Wietnamie. Jego wyrok zapadł wyłącznie na podstawie zeznań innego więźnia, który twierdzi, że Dailey przyznał mu się w rozmowie do zabicia czternastolatki. Sąd nie miał w tej sprawie żadnych innych dowodów. Mało tego, zaważyły tutaj słowa więziennego kapusia, który obciążył swoimi zeznaniami także innych mężczyzn [mowa o przestępcy Paulu Skalniku, który m.in. zeznawał w trzech innych

sprawach zakończonych skazaniem na śmierć – red.]. Mimo to Sąd Najwyższy Florydy utrzymał w mocy wyrok dla Daileya. Spośród siedmiu sędziów tylko jeden – Jorge Labarga – złożył zdanie odrębne, argumentując, że istnieją duże wątpliwości co do prawdziwości zeznań kluczowego świadka.

Sytuacja Jamesa Daileya jest dramatyczna: od dwóch lat ciąży na nim podpisany nakaz egzekucji. Początkowo mężczyzna miał umrzeć w listopadzie 2019 r., ale w wyniku postanowienia sądu procedurę wstrzymano i przełożono ją na wiosnę 2020 r. Potem wybuchła pandemia i odwołano wszystkie egzekucje. Dailey jest rekordzistą: w domu śmierci spędził nie kilka tygodni, ale kilka miesięcy. Na szczęście w końcu przeniesiono go z powrotem do celi, w której przebywał przed podpisaniem nakazu egzekucji.

Czy kiedykolwiek usłyszał Pan od jakiegoś więźnia, że chciałby mieć już to wszystko za sobą?

Nie odpowiem na to pytanie. Ale chcę podkreślić jedno: o tym, czy ktoś dostanie dożywocie, czy karę śmierci, niekiedy decyduje tylko to, czy miał pieniądze na dobrego prawnika.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

DALE RECINELLA (ur. 1951) jest amerykańskim katolikiem, prawnikiem i świeckim kapłanem w stanowym więzieniu Raiford na Florydzie, gdzie towarzyszy skazanym przed egzekucją. Za swoje działania otrzymał nagrodę Strażnik Życia, przyznaną przez Papieską Akademię Życia.



Dale Recinella

ZUZANNA

Radzik: Przy kawie



NIE, ŻEBYM CHODZIŁA TAM Z DOBREGO SERCA. Cel był egoistyczny: wrosnąć w nowe miasto. Podano mi to na tacy w aplikacji, która pozwala na przeglądanie rozmaitych potencjalnych instytucji, ich wymagań i dostępnych dyżurów. Bezproblemowo, bez

wysiłku i szukania.

Poszłam więc z egoistycznych powodów, a i dyżur wybrałam taki, co najmniej ode mnie wymagał i był najbliższy. Piechotą pół godziny od domu, idealny spacer w jesienne sobotnie przedpołudnie. Ale już za pierwszym razem widzę tych, którym zaraz będziemy wydawali obiady. Śpią w śpiworach przy kanale, wzdłuż którego idę zadowolona z życia i z siebie przecież też, grzejąc się w chłodniejszym, ale wciąż przyjemnym słońcu. Tak było we wrześniu. W październiku zaczęli pewnie nocować gdzieś, gdzie mniej pada i wieje, w listopadzie kolejka po ciepły posiłek stoi przed centrum pomocy uchodźcom, już zanim zaczniemy go przygotowywać. Jeszcze na przejściu dla pieszych mijają mnie chłopak z okazałymi dredami i wielkimi słuchawkami na uszach. Tam nie różni nas wiele. Ale gdy podchodzimy pod ten sam adres, on ustawia się w końcu ogonka, a ja wchodzę.

Nie ma tu trudnych zadań. Zwyczajnie pakujemy w torby prowiant z darów. Zwykle papierowe, ale ostatnio zabrakło i – o ironio – pakowaliśmy w bawełniane torby z logiem konferencji, która była tak naprawdę wydarzeniem organizowanym przez Frontex. O tej ironii, i że na szczęście nikomu chyba nie przyjdzie do głowy sprawdzać, ale też o polsko-białoruskiej granicy, rozmawialiśmy stojąc w szeregu i monotonnym ruchem umieszczając w torbach po kolei: drewnianą łyżeczkę jednorazową, wodę, banana, ciastko i kawałek bagietki. A potem stajemy na stanowiskach. Moim ulubionym jest rozdawanie kawy i herbaty. W pędzie trzystu osób odbierających obiad ten jeden moment pozwala się na chwilę zatrzymać. I jedyny raz zapytać, czego chcą. Na obiad jest to, co akurat dowieźli z kuchni, w prowiancie owoc, jaki był w darach. Gorące napoje to jedyna przestrzeń wyborów. Pierwszy: kawa czy herbata. Drugi: czy z mle-

kiem? Kolejny: czy z cukrem? Ile tego cukru? Z zasady mamy w kubeczkach po dwie saszetki, ale ludzie często wolą więcej. Prawdę mówiąc, im głębiej w jesień, tym mniej zaskakuje, gdy ktoś chce pieć. I jeszcze dwa do kieszeni, prosi ktoś nieporadnie, na migi. Nowych wolontariuszy czasem to dziwi, no bo jak to – cztery cukry w małym, jednorazowym kubeczku?

„Też brałam wtedy cztery, teraz już tylko dwie” – mówi delikatnie szef naszej weekendowej zmiany, który sześć lat temu przyszedł tu szlakiem uchodźczym z Turcji. Wcześniej w Syrii pracował w organizacji pozarządowej. Trochę ode mnie młodszymi, chłopak z biografią jak moja, z tym wyjątkiem, że on ma na karku wojnę i całą tę drogę. Kiedyś tu pracował, teraz zmienił robotę, ale wrócił jako wolontariusz. Nawet nie pytam, czemu spędza tu wolny czas, bo chyba wiem.

Przy kawie jest czas również, by spojrzeć w oczy. Na wszelki wypadek podnoszę mleko z pytającym gestem, na palcach pokazuję ilość cukru. Próbuję odgadnąć język. Przez moment widzę nie kolejkę, ale osobę.

Najwięcej tu chłopców. Chłopców właściwie. Wsypują się do naszej części sali, jakby wybiegli ze szkoły, w masywnych sportowych butach, ze słuchawkami i w kolorowych puchówkach. Ktoś zaraz powie, że za dobrze ubrani. Choć noszone zbyt wcześnie, demaskują, że to nie jest bliski im klimat, że nie wyszli przed chwilą z domu i że do niego nie wrócą. Przewijają się przede mną w wesołych afro, zawadiacko podgolonych po bokach. Siadają w nastoletnich kumpelskich grupach przy długich stołach. I czuję przez moment, jakbym była w szkolnej stołówce. Ale nie jestem. Przyjechali Bóg wie którędy i jakie złe przygody napotykać po drodze, na oko głównie z Erytrei i Sudanu. Czasem wysuwa się po kubek ręka z wytatuowanym między palcami lub na nadgarstku krzyżykiem. „Dziękuję, siostró” – mówi za chwilę ktoś inny. I nie wie, że jego słowa wpadają we mnie jak coś palącego. Wyrzut sumienia?

Tak, najbardziej kojarzą mi się z filmem o licealistach. Albo ze zdjęciami z internetowych zasobów, które kupują polskie uczelnie, żeby pokazać różnorodność, która na ich korytarzach wcale nie występuje. Wygodniej kupić różnorodność z internetu, niż wpuścić ją na sale lekcyjne i wykładowe.

Chłopcy, chłopaki, mężczyźni. Głównie oni. W sile wieku, więc nie budzą litości. Poszliby pracować albo walczyć na swojej wojnie. Tak się mówi na tym kontynencie. Czego tu chcą?

Troi? Avec lait? Podaję gorący kubek. *I can serve you* – przywołuję uśmiechem kolejnego z kolejki. *Four. No milk* – mówi zdecydowanie chłopak, który mógłby iść do liceum z twoim synem czy córką.

©

Kup komplet odświętny i zadbaj o dobry nastrój*

Napisz na zamowienia@TygodnikPowszechny.pl a my zajmiemy się resztą!

Tylko **35 zł za komplet** + przesyłka w prezencie

*oferta ważna do wyczerpania zestawów





STAN KRYZYSOWY

Czwarta fala pandemii destabilizuje życie w Niemczech. Szpitale są pełne, politycy bezradni, a społeczeństwo podzielone.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

JARMARKI BOŻONARODZENIOWE TO w krajach niemieckojęzycznych tradycja sięgająca średniowiecza. W czasie Adwentu większość spotkań towarzyskich odbywa się przy świątecznie przystrójonych drewnianych straganach, które na ten okres wznoszone są wszędzie na miejskich rynkach. Nieodzownym elementem jest aromatyczny grzaniec. Serwowane są do tego smażone kielbaski

czy węgierski langosz, a jak ktoś woli coś słodkiego, może wybrać *Stollen* – drożdżowe ciasto z bakaliami pokryte cukrem pudrem, po polsku znane jako strucla.

Za najstarszy w Niemczech uważa się Striezelmarkt (dosłownie: jarmark struclowy) organizowany od 1434 r. w Dreźnie, stolicy Saksonii. Centralnym jego punktem jest wielometrowa, czteropiętrowa drewniana konstrukcja zwana

piramidą. Na każdym piętrze kręcą się drewniane figurki: Święta Rodzina, aniołki, ale także górnicy, bo piramida jest dziełem rzemieślników z Rudaw. To górski region dumny z górniczych tradycji, a obecnie znany przede wszystkim z niezwykle ozdób bożonarodzeniowych wytwarzanych ręcznie, które oczywiście są dostępne na straganach w całym Niemczech.



MATTHIAS RIETSCHEL / REUTERS / FORUM

Drezno, 23 listopada 2021 r.

niu obostrzeń handlarze krzżeli się jeszcze wokół straganów, wciąż stojących na rynku.

– Przygotowania trwały długo i oczywiście kosztowały dużo pieniędzy – powiedziała „Tygodnikowi” z rezygnacją w głosie młoda kobieta, która na chwilę oderwała się od pakowania wyrobów ceramicznych. – Jestem bezrobotna, ofertę pracy na miesiąc, jako sprzedawczyni na jarmarku, dostałam z urzędu pracy – tłumaczyła. Z planów aktywizacji zawodowej nic nie wyszło.

– Czy jestem wściekła? Oczywiście, jak wszyscy tutaj. Zrobiono z nas głupków! – stwierdziła kobieta w średnim wieku, która na stoisku obok pakowała świąteczne bombki.

Można zrozumieć jej rozgoryczenie. W 2020 r. już wcześniej było wiadomo, że jarmarki się nie odbędą. W tym roku politycy dali zielone światło na przygotowania i do końca podtrzymywali nadzieję, że otwarcie będzie możliwe dzięki specjalnym przepisom. W Dreźnie odwiedzający mieli przedstawiać certyfikat świadczący o szczepieniu lub o przebyciu covidu. Do tego maski i utrzymywanie odstępów. Jeszcze w piątek 19 listopada po południu władze miasta twierdziły, że jarmark będzie mógł się odbyć. Kilka godzin później rząd landowy ogłosił, że wszystkie imprezy masowe, w tym jarmarki, zostają odwołane.

W gąszczu przepisów

Jeśli ktoś ma ochotę na grzańca i świąteczną atmosferę, musi zatem pojechać do Berlina lub do landów położonych na zachodzie i północy kraju. Tam pod koniec minionego tygodnia jarmarki były jeszcze dozwolone, choć przepisy zastrzegły się z dnia na dzień. Aby zakosztować świątecznej atmosfery, trzeba było przedstawić poświadczenie o szczepieniu lub przechorowaniu covidu.

Tu przynajmniej reguły wejścia były jasne. Bo żeby już dokładnie wyjaśnić wszystkie obostrzenia panujące aktualnie w Niemczech ze względu na czwartą falę, niezbędne byłoby chyba wydanie specjalnego dodatku. Ponieważ Niemcy to republika federalna, szesnastu tworzącym ją krajom związkowym (landom) przysługuje o wiele większa autonomia niż np. polskiemu województwu.

Obecnie tylko część obostrzeń uregulowano na poziomie ogólnokrajowym

– w tym np. przepis nakładający na pracodawców obowiązek kontrolowania swych pracowników, czy mają poświadczenie o szczepieniu lub przebyciu choroby, albo też – jeśli tych nie posiadają – czy mogą okazać wynik testu. Natomiast o większości obostrzeń nie decyduje rząd federalny w Berlinie, lecz rządy landowe. I tak, decyzją władz w Dreźnie i Monachium, w obu landach zamknięto do 12 grudnia instytucje kulturalne, bary i dyskoteki, a restauracje i kawiarnie mogą działać tylko do godziny 20. W hotelach mogą nocować tylko podróżujący służbowo.

Jeśli ktoś zechce zjeść w restauracji, musi pokazać certyfikat. Tak samo jest z wejściem do sklepów. W istocie obostrzenia są więc dwupoziomowe. Osobom zaszczepionym dają, choć w ograniczonym stopniu, dostęp do usług gastronomicznych i handlowych, natomiast odmawiają tego niezaszczepionym. Wszystko jest skrupulatnie sprawdzane przez pracowników sklepów i restauracji. Choć wielu gastronomów postanowiło w najbliższym czasie w ogóle zamknąć lokale, argumentując, że przy tak wcześniejszych godzinach zakończenia działalności im się to nie opłaca.

Centrum oporu

– Codziennie rano sama robię sobie test. Nie było problemu dogadać się z pracodawcą – mówi trzydziestoparoletnia mieszkanka Lipska. Prosi, by nazywać ją Anną; nie chce ujawniać prawdziwego imienia. – Media są najgorsze. Prowadzą przeciw nam nagonkę – twierdzi wzburzona. Anna wraz z mężem za żadne skarby nie chcą przyjąć szczepionki przeciw koronawirusowi. – Nie wiemy, czy nie będzie jakichś długoterminowych negatywnych konsekwencji – argumentuje. – Jesteśmy młodzi i zdrowi. Nie potrzebujemy szczepionek.

Saksonia to „zagłębie” niemieckich koronaszceptyków i antyszczepionkowców. O ile na zachodzie i północy Niemiec zaszczepiło się już grubo ponad 70 proc. mieszkańców, o tyle w wielu saskońskich powiatach wciąż ponad połowa osób jest niezaszczepiona. Dla wielu mieszkańców opór wobec obostrzeń i szczepionek to kolejna odsłona batalii z bliżej niezdefiniowanym „systemem”. W 2015 r. to Saksonia była centrum sprzeciwu wobec przyjmowania uchodźców i migrantów. Wówczas na protestach skandowano hasło „Widerstand” (sprzeciw, opór), ➔

Wcześniej dwa miliony gości odwiedzało corocznie zjawiskowy drezdeński jarmark. W tym roku, już po raz drugi z rzędu, został on odwołany z powodu pandemii. W dniu, w którym Striezelmarkt miał zostać otwarty, mieszkańcy mogli wprawdzie zobaczyć jeszcze stoiska i handlarzy, ale już tylko w trakcie demontażu i pakowania towaru z powrotem do kartonów.

Zrobiono z nas głupków

Podobne sceny rozgrywały się w ostatnich dniach w całej Saksonii, a także w Bawarii, Brandenburgii i Turynii. Z powodu dramatycznie rosnących wskaźników infekcji i hospitalizacji we wszystkich tych landach wprowadzono obostrzenia bliskie kompletnemu lockdownowi.

Również w Lipsku, drugim co do wielkości mieście Saksonii, po wprowadze-

→ zapożyczone z opozycyjnych protestów w czasach komunistycznej NRD. Te same okrzyki słyhać teraz na demonstracjach przeciw restrykcjom.

Tylko w poniedziałek 22 listopada, w pierwszy dzień obowiązywania nowych obostrzeń, przez cały region przetoczyła się seria spontanicznych akcji sprzeciwu: po kilkaset osób w Chemnitz, Budziszynie, Görlitz, Freiburgu i innych miastach. Ruch antyszczepionkowy rozprzestrzenia się zwłaszcza na prowincji, tam gdzie swoje struktury tworzyli neonaziści i populistyczna Alternatywa dla Niemiec. Dziś te same grupy stoją za organizacją licznych demonstracji antyszczepionkowych.

– Wielu, nazwijmy to, normalnych obywateli nie ma już większych oporów, żeby wyjść na ulice ramię w ramię z radykałami – mówi „Tygodnikowi” Antonie Rietzschel, dziennikarka pracująca dla „Süddeutsche Zeitung”, która wychowała się w Saksonii i specjalizuje się w tym regionie. – Na demonstracjach wznoszone są nawet wezwania do zastrzelenia Michaela Kretschmera, premiera Saksonii – Rietzschel zwraca uwagę na rosnącą w tych grupach agresję.

Dochodzi do ataków na punkty szczepień i na dziennikarzy, którzy chcą relacjonować przebieg demonstracji. Do opanowania sytuacji w regionie zaczyna brakować policjantów. W Saksonii setki funkcjonariuszy są na kwarantannie.

Temat zniknął na pół roku

Wszystkie te obostrzenia, przeciw którym w wielu niemieckich regionach formuje się coraz większy sprzeciw, mają jednak swoje uzasadnienie. Mutacja Delta uderza boleśnie. W ubiegłym tygodniu liczba ofiar śmiertelnych pandemii w Niemczech przekroczyła 100 tys. Codziennie rejestruje się już nawet ponad 75 tys. nowych infekcji – tyle nie było tu nigdy wcześniej. Wprawdzie dzięki szczepieniom zgonów jest mniej niż podczas trzeciej fali, ale wciąż umiera wielu, zbyt wielu: w ostatnich dniach liczba zmarłych wahała się w granicach 250-350 dziennie, z tendencją rosnącą.

W wielu regionach oddziały intensywnej terapii są zapełnione, kolejnych pacjentów rozwozi się więc po reszcie kraju. W transporcie pomaga wojsko. Kolejna fala to też wielkie wyzwanie dla personelu: ekstremalne warunki, nadgodziny, ciągle obciążenie fizyczne i psychiczne.

W powojennej historii Niemiec podziały społeczne chyba nigdy jeszcze nie były tak głębokie.

Wśród lekarzy i personelu pielęgnarskiego rośnie zjawisko wypalenia.

Czy można było temu zaradzić? W przypadku Niemiec odpowiedź jest twierdząca. Gdy wiosną i latem spadły statystyki epidemiczne, cała klasa polityczna uznała, że temat zniknie na pół roku z debaty publicznej. Partie prowadziły kampanię przed wyborami do Bundestagu, nie miały ochoty męczyć obywateli wizją, że wirus może znów uderzyć. Akcję szczepień przedstawiano tak, jakby przyjęcie dwóch dawek zamykało kwestię bezpieczeństwa. „W pełni zaszczepiony” – brzmiał nadal oficjalny termin. A przecież już na etapie dopuszczania szczepionek mówiono, że poziom przeciwciał z czasem spada i konieczne mogą być kolejne dawki. Z przeprowadzonych w międzyczasie badań jasno już wynika, że po pół roku skuteczność ochrony wynikającej z przyjęcia szczepionki znacznie spada.

Dezorientacja i podział

Mimo to aż do późnojesiennego infekcyjnego wyżu świat polityki nie zawracał sobie głowy potrzebą organizacji szczepień przypominających czy przygotowywaniem obostrzeń. W efekcie, gdy nowe infekcje wystrzeliły w górę, przepisy – jak te w sprawie jarmarków – były wprowadzane nagle, a infrastrukturę szczepieniową uruchamiano ponownie w pośpiechu.

Dlatego życie codzienne podczas czwartej fali – prócz poczucia dezorientacji – definiują kolejki, które formują się codziennie przed punktami, gdzie wykonuje się szczepienia i testy. Również debata wokół ewentualnego wprowadzenia obowiązku szczepień jest prowadzona w sposób, który więcej gmatwa, niż wyjaśnia. Politycy, którzy jeszcze niedawno byli przeciw, nagle chcą „poważnej dyskusji”. W tych samych partiach jedni są przeciw, drudzy za.

Epidemiczny chaos pogłębia podział społeczny i sprawia, że jeszcze nigdy w powojennej historii nie były one tak

głębokie. Filozof Richard David Precht mówił w rozmowie z tygodnikiem „Die Zeit”: „Istnieje przede wszystkim quasi-bojówkowa grupa antyszczepionkowców. Ale niestety są też zwolennicy szczepień, którzy natychmiast próbują potępić tych, których zdanie różni się od ich opinii choćby o milimetr”.

Precht sam stał się celem internetowej nagonki, gdy wyraził wątpliwości wobec szczepienia dzieci. Filozof krytykuje, że zwolennicy szczepień i twardych obostrzeń zbyt łatwo szufladkują ludzi. „Istnieją różne powody, dla których ludzie decydują się nie szczepić” – mówił, apelując o umiar w wydawaniu sądów.

Gdy więc dziś w kraju zaczyna się debata nad wprowadzeniem obowiązku szczepień, większość społeczeństwa podzieliła się już wokół własnych racji. – Ci, którzy demonstrują przeciw obostrzeniom, są już teraz przekonani, że żyją w dyktaturze. Ale mogą dalej się radykalizować – tak sytuację w Saksonii ocenia Antonie Rietzschel. – Głównie pytanie brzmi, czy nawoływania do agresji nie przerodzą się w końcu w działania.

Lockdown coraz bliżej?

W środę 24 listopada Olaf Scholz, następca Angeli Merkel, miał przedstawić szczegóły umowy koalicyjnej, którą wynegocjowały partie tworzące nową koalicję. Podczas trwających dwa miesiące rozmów socjaldemokraci (SPD), Zieloni i liberałowie (FDP) zgodzili się na wiele odważnych kroków: podwyżkę płacy minimalnej, wsparcie dla budownictwa socjalnego czy odejście od spalania węgla jeszcze w przeciągu obecnej dekady. Ale gdy przyszło prezentować mediom umowę koalicyjną, to wszystko musiało – chwilowo – zejść na drugi plan. Scholz zaczął konferencję od oceny przebiegu pandemii. Wie, że ten temat zdominuje pierwsze miesiące jego pracy w Urzędzie Kanclerskim.

W Bawarii i Saksonii władze coraz głośniej mówią o potrzebie wprowadzenia pełnego lockdownu dla wszystkich. Scholz i jego nowy rząd chętnie zająłby się wyzwaniem, które zdefiniowano w umowie koalicyjnej: dekarbonizacją, cyfryzacją, demografią. Zamiast tego jedną z pierwszych jego zapowiedzi było utworzenie sztabu kryzysowego w Urzędzie Kanclerskim. Niemcy szykują się na ciężką zimę.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Tekst ukończono 25 listopada.



Manifestacja-czuwanie ku pamięci migrantów, którzy zginęli dzień wcześniej.
Calais, 25 listopada 2021 r.

Tragedia na Kanale

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

Co najmniej 27 osób utonęło podczas próby przeprawienia się z Francji do Wielkiej Brytanii. W większości byli to prawdopodobnie Kurdowie z Iraku i Iranu.

ALARM W ZIMNE LISTOPADOWE POPOŁUDNIE podnieśli francuscy rybacy. To oni zauważyli ciała unoszące się na wodach kanału La Manche. Na pomoc ruszyły służby francuskie i brytyjskie, jednak uratować udało się już tylko dwie żywe osoby – w stanie krytycznym trafiły do szpitala; podjęto także 27 zwłok. Akcja poszukiwawcza trwała do późnych godzin nocnych, jednak zimne wody Kanału i wietrzna pogoda nie dawały szans na odnalezienie kolejnych żywych osób.

TEN ROK JEST REKORDOWY, jeśli chodzi o liczbę nielegalnych przepraw przez Kanał do Wielkiej Brytanii. W 2019 r. tą drogą na Wyspy Brytyjskie dostało się niecałe 2 tys. osób, w ubiegłym roku było to 8,4 tys. osób, a w tym już 26 tys. – aż trzykrotnie więcej. Trasa morska stała się bardziej popularna w czasie pandemii, gdy ograniczono ruch ciężarówek i wprowadzono dodatkowe kontrole.

Coraz więcej migrantów decyduje się więc zaryzykować przeprawę w dmuchanej łódce podstawionej przez przemytników, którym trzeba zapłacić nawet 3 tys. funtów od osoby. Francuskie Calais od białych klifów Dover dzieli jedynie 50 km, a w niektórych miejscach cieśnina jest nawet węższa. Przeprawa zawsze jest jednak ryzykowna, szczególnie teraz, gdy zbliża się zima i morze jest niespokojne.

Tragedia, która wydarzyła się w środę 24 listopada, nie powstrzyma jednak kolejnych grup starających się przedostać do Wielkiej Brytanii. Bo choć co najmniej 27 osób straciło życie, to innym się powiodło – tego samego dnia i w kolejne dni.

OBCENY KRZYŻYS w rejonie kanału La Manche nie jest zjawiskiem nowym, podobnie jak tragiczne utonięcia, jednak takiej liczby ofiar w ciągu jednego dnia jeszcze nie odnotowano. Premier Boris Johnson i prezydent Emmanuel Macron zapowiadają, że chcą współpracować. Johnson proponuje wspólne brytyjsko-francuskie patrole: w łodziach, w powietrzu i na lądzie. We Francji nie ma jednak dla tego wielkiego entuzjazmu, podobnie jak dla propozycji Johnsona, aby Francja przyjmowała z powrotem migrantów z łodzi przybijających do brytyjskich brzegów.

Tym bardziej że po brexicie nadal nie podpisano umowy, która umożliwiałaby odsyłanie imigrantów nielegalnie dostających się do Wielkiej Brytanii z powrotem do Francji, czyli z punktu widzenia Londynu do – by sięgnąć po pojęcie z umów międzynarodowych – „pierwszego bezpiecznego kraju”, w którym się znaleźli (takie regulacje funkcjonują w Unii Europejskiej, którą Brytyjczycy opuścili, a za bezpieczny kraj uważane jest każde państwo unijne).

PRITI PATEL, która stoi na czele brytyjskiego Home Office (ministerstwa spraw wewnętrznych), od dłuższego czasu zabiega o zaostrzenie tutejszego prawa azylowego. Wśród jej propozycji było m.in. przenoszenie osób wnioskujących o azyl poza terytorium brytyjskie do czasu decyzji czy też udzielenie dodatkowych uprawnień straży granicznej, aby miała prawo m.in. zawracać łodzie migrantów na wodach kanału La Manche.

To ostatnie to nic innego jak tzw. push-backi i warto podkreślić, że opór wobec takich rozwiązań jest w samej straży granicznej. Związki zawodowe zwracają uwagę, że może to być niezgodne z prawem, a obawa, że dojdzie do czyjejś śmierci, stanowiłaby olbrzymie obciążenie psychiczne dla funkcjonariuszy. Po ostatniej tragedii na kanale La Manche jest jednak mało prawdopodobne, by minister Patel obstawała przy tak ryzykownym rozwiązaniu.

INNEGO ZDANIA niż Patel są tu organizacje pomagające imigrantom: uważają one, że determinacja rządu brytyjskiego idzie w niewłaściwym kierunku. Twierdzą, że aby przekonać ludzi, żeby nie ryzykowali, wsiadając do przemytniczych pontonów, wystarczy umożliwić im składanie wniosku o azyl w Wielkiej Brytanii w sposób legalny i bezpieczny.

Możliwości jest kilka, np. początek procedury mogłoby mieć miejsce we Francji, gdzie następowałaby wstępna ocena wniosku, a potem kontynuowana byłaby w Wielkiej Brytanii. Lub też wprowadzenie wiz humanitarnych, które pozwalałyby na wjazd na Wyspy w celu złożenia wniosku. Obecnie złożyć wniosek o azyl może jedynie osoba, która znajduje się już na brytyjskim terytorium. A sposobów, by się tutaj znaleźć, dla migrantów i uchodźców usiłujących przedostać się nielegalnie, nie jest zbyt wiele – przeprawa w pontonie to niestety jeden z nich.

■ ■ ■

Następnego dnia po tragedii na Kanale francuskie władze poinformowały, że zatrzymano pięć osób podejrzanych o przemyt migrantów. Prasa podała, że w bagażniku auta należącego do jednego z nich znaleziono nowiutkie pontony, jeszcze z metkami ze sklepu. Przynajmniej te już nie popłyną. ©P



Pusty rynek w Bardejowie, 25 listopada 2021 r.

Wszystko, co możemy

MARCIN ŻYŁA Z BARDEJOWA

Najszybciej w świecie chorych na covid przybywa dziś w Słowacji. Właśnie wprowadzono tu twardy lockdown, który dotyczy również osób zaszczepionych.

CZERWONY NAPIS „STOP” ORAZ KRÓTKI nieprzyjemny dźwięk – podobny do tego, który w filmach wojennych towarzyszy alarmom na pokładach okrętów podwodnych – witają klientów supermarketu w Bardejowie, 35-tysięcznym mieście powiatowym w północno-

-wschodniej Słowacji. Dźwięk wydaje specjalne urządzenie, przypominające bankomat: mierzy każdemu temperaturę i dozjuje płyn do dezynfekcji. Dopiero później ekran zmienia kolor na zielony i rozlega się komunikat: „Dziękujemy, zapraszamy do środka”.

A może urządzenie da się zignorować? „STOP, PROSZĘ WRÓCIĆ!!!” – wrzeszczy automat i od razu pokorniej. Kasjerki odwracają głowy, wstyd na pół sklepu.

Do zamknięcia supermarketu pozostało jeszcze kilka godzin, lecz światła już przygaszono, a kupujących jest niewielu. Na zewnątrz, na ulicy, niemal połowa przechodniów nosi maseczki. Na drzwiach wielu sklepów wiszą pisane ręcznie karteczki: „Nieczynne z powodu lockdownu. Przepraszamy”.

Do szkoły tak, na mszę nie

Tak właśnie od czwartku 25 listopada wygląda nowa słowacka rzeczywistość. Tego dnia rozpoczął się tutaj kolejny – klasyczny, można już powiedzieć – lockdown dla wszystkich. Rząd w Bratysławie podjął taką decyzję w trybie nagłym poprzedniego wieczoru.

Powodem jest fatalna sytuacja epidemiczna: dwa dni wcześniej w pięć i pół milionowej Słowacji odnotowano aż 10 315 nowych przypadków covidu. To najwięcej od początku epidemii i niemal dwukrotnie więcej niż podczas szczytu drugiej fali w grudniu 2020 r. Gdyby przyłożyć te proporcje do populacji Polski, oznaczałoby to u nas ponad 71 tys. zachorowań dziennie. W ostatnich dniach codziennie umierało ok. 55 osób (pod tym akurat względem sytuacja jest więc podobnie zła jak w Polsce).

Lockdown ma potrwać dwa tygodnie. Ewentualna – oraz, jak twierdzi wielu ekspertów, bardzo prawdopodobna – decyzja o jego przedłużeniu zostanie podjęta 5 grudnia. Ograniczenia dotyczą wszystkich, także osób zaszczepionych. Choć premier Eduard Heger zapowiedział, że jeżeli restrykcje będą znoszone, to stopniowo i najpierw dla tych, którzy przyjęli co najmniej dwie dawki szczepionki lub jednodawkowy preparat firmy Johnson&Johnson. W takiej sytuacji jest 48 proc. populacji kraju.

Na razie jednak wszystkim Słowakom wolno wychodzić z domu wyłącznie do szkoły lub pracy, a także na zakupy lub do punktu szczepień. Otwarte są sklepy spożywcze i odzieżowe, drogerie oraz apteki, działają też poczty i warsztaty samochodowe. Restauracje wydają posiłki tylko na wynos, kina i teatry zawiesiły działalność. Zabroniono odprawiania nabożeństw w kościołach i cerkwiach, choć samych świątyń nie zamknięto



Zamknięty jarmark bożonarodzeniowy, Bratysława, 25 listopada 2021 r.

– już pierwszego dnia lockdownu biskupi katoliccy namawiali do uczestnictwa w mszach online. W pogrzebach i chrztach wolno brać udział wyłącznie najbliższym krewnym.

Czego więcej trzeba

To nie koniec zakazów. Podobnie jak podczas poprzedniego lockdownu, ograniczona jest możliwość przemieszczania się między powiatami – nie wolno nawet odwiedzać rodziny, która mieszka w innym powiecie. Wypoczywać na świeżym powietrzu można tylko w najbliższej okolicy. Psa wolno wyprowadzać na spacer nie dalej niż pół kilometra od domu.

Maseczki chirurgiczne albo materiałowe, wykonane własnoręcznie, już nie wystarczają. Profesjonalne maseczki FFP2 są obowiązkowe we wszystkich pomieszczeniach oraz wszędzie tam na zewnątrz, gdzie nie da się utrzymać dystansu dwóch metrów od innych osób.

Na razie nie zmieniono zasad dla osób wjeżdżających do Słowacji z państw strefy Schengen. Już od lipca obowiązkowe jest posiadanie certyfikatu szczepienia lub negatywnego wyniku testu, a także wcześniejsze zarejestrowanie się przez internet (rejestracja jest ważna przez pół roku). Policja zapowiada teraz wzmożone kontrole na granicach. Tym bardziej że sytuacja epidemiczna pogarsza się w całej Europie Środkowej – na

tydzień przed Słowacją 20-dniowy lockdown dla wszystkich wprowadziła Austria, a śladem swoich wschodnich sąsiadów poszły z kolei Czechy, gdzie od minionego piątku przywrócono stan wyjątkowy.

Co ciekawe, w porównaniu z sąsiednimi krajami w kwestii nowych ograniczeń w Słowacji nadal *de facto* obowiązuje polityczne porozumienie ponad podziałami – w czasie ostatnich debat spierano się raczej o kwestie drugorzędne, np. o to, czy używać w komunikatach źle kojarzącego się słowa „lockdown”.

Do jego adwokatów należy słowacka prezydent Zuzana Čaputová, która po niedawnej wizycie na oddziale covidowym bratysławskiego szpitala zaapelowała: „Musimy przestać rozpowszechniać teorie spiskowe dotyczące COVID-19 i zacząć słuchać ekspertów. Oni mówią wyraźnie, że aby ograniczyć rozprzestrzenianie się wirusa, potrzebujemy twardej blokady. Czy naprawdę nie wystarczy nam, że już widzimy wyczerpany personel medyczny albo ludzi umierających z powodu innych chorób, których w tej sytuacji nie możemy leczyć?”.

Obawy potęguje fakt, że od początku tego roku w całej Słowacji odeszło z pracy 850 pielęgniarek, a kolejnych 700 przebywa na zwolnieniach. W kraju jest obecnie dostępnych mniej respiratorów niż w szczycie drugiej fali.



MARCIN ŻYŁA

ŠTEFAN HÍJ:

Nie chcemy dzielić ludzi, ale niezaszczepieni muszą sobie zdać sprawę z tego, że ich codzienne funkcjonowanie jeszcze długo będzie utrudnione.

„Nie chcemy dzielić ludzi”

Štefan Híj prowadzi mnie do swojego biura schodami równie krętymi, jak te na wieżę mariacką w Krakowie. Jest wysoki, musi się mocno schylać. To utrapienie bardejowskich urzędników – ich najważniejsze biura mieszczą się przy rynku, w starych i ciasnych średniowiecznych kamienicach (w wiekach średnich Bardejów był miastem bogatym i znaczącym – leżał na trasie handlowej z Węgier do Polski, wiodącej przez łatwo przejezdne przełęcz Beskidu Niskiego; po tamtych czasach pozostało tu sporo zabytków).

W urzędzie miasta Štefan Híj odpowiada m.in. za koordynację działań związanych z ograniczeniem epidemii. – Naszym zadaniem jest dostosowanie zarządzeń ogólnokrajowych do warunków, jakie mamy w mieście – mówi, kiedy już rozsiądzie się na sofie pod olbrzymim sklepieniem krzyżowym. – Najważniejszą rzeczą, za którą odpowiadamy, są szkoły. Nasz regionalny urząd zdrowia regularnie monitoruje sytuację, rozmawiamy z nauczycielami i dyrektorami placówek, żeby nie umknęło nam nowe ognisko epidemii. Na razie szkoły są otwarte, ale to się może szybko zmienić.

Híj twierdzi, że urząd miasta powinien dawać dobry przykład: – Nie zamknijemy go, ale każdy wydział mianuje osobę, której jedynym zadaniem będzie opieka nad petentami. Namawiamy ludzi, żeby przez

→ te dwa tygodnie lockdownu sprawy niecierpiące zwłoki załatwiali przez internet lub telefonicznie. Do minimum ograniczyliśmy kontakty.

Urzędnik właśnie wrócił z zebrania sztabu kryzysowego – jednego z wielu podobnych, które dziś, w czwartek 25 listopada, odbywały się w słowackich miasteczkach. Choć o zaostrzeniu restrykcji mówiło się w kraju od kilku dni, to decyzja rządu, podjęta poprzedniego dnia wieczorem, wymusiła natychmiastowe działania.

– Wybraliśmy miejsce i czas testowania niezaszczepionych mieszkańców miasta, zabezpieczyliśmy testy. Część ograniczeń działa już od dziś, część, jak testowanie pracowników w zakładach pracy, zacznie się dopiero za kilka dni – mówi Štefan Hija.

Inaczej niż wiele innych słowackich samorządów, Bardejów nie prowadził akcji promocyjnej szczepień. – Sądzę, że to by i tak niewiele zmieniło, i bez tego mamy dość pracy. Decyzję pozostawiamy każdemu mieszkańcowi – mówi Štefan Hija. – Nie chcemy dzielić ludzi, ale niezaszczepieni muszą sobie zdać sprawę z tego, że ich codzienne funkcjonowanie jeszcze długo będzie utrudnione.

Nieprzyjemne *déjà vu*

Położony kilkadziesiąt kilometrów od polskich Gorlic, Bardejów to perła północno-wschodniej Słowacji. Tutejsze stare miasto jest wpisane na listę UNESCO. Choć, podobnie jak cały region, przez całe dekady miasteczko było nie-

Dzięki unijnym dotacjom, niedofinansowany przez dekady Bardejów wyszedł w końcu na prostą.

Miało być tylko lepiej.

**Miało być
– gdyby nie pandemia.**

dofinansowane, to w ostatnich latach, w dużej mierze dzięki unijnym dotacjom, wyszło na prostą. I miało być tylko lepiej: nowy festiwal muzyczny, imprezy plenerowe na średniowiecznych murach... Miało być, gdyby nie pandemia.

Pytam Štefana Hija, czym obecna sytuacja różni się od tej z jesieni ubiegłego roku.

– Myślę, że ludzie w Bardejowie są wyčerpani, mają tego wszystkiego dość – nie ukrywa Hija. – O odczuciach właścicieli małych biznesów wolę nawet nie wspominać. Owszem, myślę, że dziś jesteśmy lepiej przygotowani do walki z koronawirusem, ale to chyba słabe pocieszenie. Wariant Delta jest znacznie bardziej agresywny, widzimy to po tempie, w jakim zamykają się szkolne klasy. I wciąż za mało jest osób zaszczepionych.

Na koniec rozmowy Hija uderza w bardziej filozoficzny ton: – Można się za-

stanawiać nad tym, jak ten lockdown miałby wyglądać, ile trwać, możemy rozmawiać o szczegółach. Ale trudno rozmawiać o tym, co trzeba było lepiej zrobić. Pierwszy raz mamy do czynienia z taką sytuacją i ona wciąż się zmienia – mówi.

Zmienia się – choć jest też poczucie nieprzyjemnego *déjà vu*. Wiosną 2020 r. Słowacja była jednym z pierwszych państw świata, które wprowadziły lockdown, co znacznie spowolniło rozprzestrzenianie się wirusa. Rok temu w ciągu kilku tygodni przetestowała niemal wszystkich swoich obywateli. Teraz w obliczu czwartej fali – gdy w przeliczeniu na jednego mieszkańca w Słowacji przybywało najwięcej nowych zakażeń na świecie – ponownie zamknięto kraj. „Wracamy do podobnej sytuacji, jaką mieliśmy podczas drugiej fali koronawirusa” – powiedział Ján Miklas, szef słowackich służb sanitarnych. I dodał, że jedyną możliwością zakończenia pandemii jest zwiększenie odsetka zaszczepionych Słowaków o 30 procent.

– Ja, moja żona i dzieci jesteśmy dwukrotnie zaszczepieni – mówi Štefan Hija. – Nie powiem, miałem wątpliwości, czy się szczepić. Ale to przecież najlepsza dostępna dziś forma ochrony. Pomyślałem o swoich dzieciach, o najbliższych. Teraz jestem spokojny. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Robimy wszystko, co możemy.

© P MARCIN ŻYŁA

Tekst ukończono 26 listopada.

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego” dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”.

TYGODNIK
POWSZECHNY

Legimi

weź, czytaj!



Buntownicza dusza

PIOTR BERNARDYN

Do więzienia trafiłaby już za same relacje o pandemii. Jednak komentarze Zhang Zhang miały też polityczny charakter. Została więc przykładnie ukarana.

WMOMENCIE ARESZTOWANIA WIOSną zeszłego roku miała 77 kilogramów wagi przy 177 centymetrach wzrostu. Kiedy pod koniec grudnia usłyszała wyrok czterech lat więzienia, była lżejsza już o 20 kilogramów, a na salę rozpraw wwożono ją na wózku inwalidzkim. Dziś waży niespełna czterdzieści, zdaniem najbliższych może nie przeżyć zimy.

ZHANG ZHANG, która otrzymała właśnie „Nagrodę za Odwagę” organizacji Reporterzy bez Granic, reprezentuje w Chinach tzw. dziennikarstwo obywatelskie: uprawiają je ci, którzy próbują upubliczniać, głównie w internecie, problemy kraju blokowane przez cenzurę. O tej 38-letniej prawnicze z Szanghaju, która jak wielu dysydentów w chińskim kręgu kulturowym jest chrześcijanką, zrobiło się głośno na początku 2020 r., gdy po wybuchu pandemii zaczęła relacjonować z obłożonego blokadą Wuhan.

Między lutym a majem 2020 r., gdy ją aresztowano, Zhang zamieściła w internecie 122 filmy, publikowała też artykuły na swoim blogu. Zaglądała do przepelnionych szpitali, gdzie ludzie umierali na korytarzach, oraz do krematoriów; dawała głos zwykłym mieszkańcom, których krytyczne opinie różniły się od propagandy władz.

Tajemnicą do dziś pozostaje, dlaczego przez krótki czas, w lutym 2020 r., władze uchyliły okienka cenzury, pozwalając na taki przekaz. Dotyczyło to nawet części oficjalnych mediów. Jednak, mimo ostrzeżeń, Zhang kontynuowała działalność także po zamknięciu owego okienka swobody. Gdy drakońskimi



Protest w obronie aresztowanej dziennikarki Zhang Zhang w Hongkongu, 28 grudnia 2020 r.

środkami udało się zdusić pandemię i ruszyła odgórna narracja okazywania wdzięczności prezydentowi Xi Jinpingowi – jako wybawcy narodu od plagi – Zhang zamieściła wypowiedź mieszkańca Wuhan, który (z zakrytą twarzą) mówi: „Jesteśmy dorośli, nie trzeba nas pouczać”.

CHIŃSKIE WIĘZIENIA są znane z mało komfortowych warunków, ale szybka utrata wagi przez Zhang Zhang wynika głównie z jej odmowy przyjmowania pokarmów. Wedle jednej wersji prowadzi ona strajk głodowy od samego początku. Wedle innej podejmuje go okresowo. Są też doniesienia, że spożywa jedynie owoce i ciastka. Wiadomo jednak, że była przymusowo odżywiana sondą – mając związane ręce – i że nabawiła się m.in. wrzodów przewodu pokarmowego. Na przełomie lipca i sierpnia przeszła hospitalizację.

Zarówno najbliższa rodzina, jak i wspierające dysydentów środowisko adwokackie stara się namówić ją do porzucenia głodówki. Zhang twierdzi jednak, że to forma protestu przeciw fałszywym oskarżeniom. Oficjalnie zatrzymano ją za „wzniesienie kłótni i sprawianie kłopotów”, wyrok sądowy mówi natomiast o rozpowszechnianiu fałszywych informacji. Do jej uwolnienia wzywa m.in. Rada Praw Człowieka ONZ i amerykański Departament Stanu, Pekin uważa te interwencje za „bezpodstawne i nieodpowiedzialne”.

PONIOSŁABY ZAPEWNE KARĘ już za same relacje o pandemii. Taki los, choć w lżejszym wymiarze, spotkał innych dzienni-

karzy obywatelskich z Wuhan. Jednak komentarze Zhang miały też *stricte* polityczny charakter. Mowa w nich o braku sprawiedliwości w Chinach, o poniżaniu, zastraszaniu i zatrutowaniu umysłów przez władze. Nie bała się wypowiadać dla zachodnich mediów, w tym dla zniechęconej przez Pekin gazety „The Epoch Times”, kojarzonej z organizacją religijną Falun Gong. Co więcej, Zhang wcześniej była już zatrzymywana m.in. za wspieranie protestów w Hongkongu. Niewykluczone więc, że postanowiono ukarać ją dla przykładu, by zniechęcić innych do podobnej działalności.

Pogarszający się stan zdrowia skazanej daje podstawy do zawieszenia wykonywania wyroku albo nawet do przedterminowego zwolnienia – tak uważa adwokat Li Dawei. Jednak warunek to – prócz przerwania głodówki – także wyrażenie skruchy, czego Zhang uczynić nie chce. A złagodzenie postawy przez władze jest mało prawdopodobne – nawet Liu Xiaobo, działacz demokratyczny i laureat Pokojowej Nagrody Nobla w 2010 r., uzyskał zwolnienie warunkowe ledwie na kilkanaście dni przed śmiercią (zmarł w 2017 r.; wcześniej spędził prawie 10 lat w więzieniu).

KLINCZ TRWA. W ostatnim nagraniu, opublikowanym w sieci przed aresztowaniem, Zhang mówiła o sobie, że ma „buntowniczą duszę” i że kolejne represje wyzwalają u niej zdwojoną chęć sprzeciwu. Jej brat, który dziś organizuje wsparcie dla siostry, twierdzi natomiast, że nigdy nie spotkał kogoś o tak czystym sercu, kto równocześnie byłby równie uparty. ©

Słodki chłopak z karabinem

MARTA ZDZIEBORSKA

Wyrok w sprawie nastolatka, który ponad rok temu zastrzelił dwóch uczestników antypolicyjnych zamieszek, rozpałił w USA spór o rasizm, prawo do samoobrony i do noszenia broni.

PONIEDZIAŁEK 22 LISTOPADA, PROGRAM konserwatywnej stacji Fox News. Kyle Rittenhouse zapewnia w rozmowie z dziennikarzem Tuckerem Carlsonem, że chce zostać w przyszłości prawnikiem lub pielęgniarzem. Osiemnastolatek może już snuć plany, bo trzy dni wcześniej został oczyszczony przez sąd z zarzutów zabójstwa po tym, jak śmiertelnie postrzelił dwóch mężczyzn i ranił trzeciego podczas ubiegłorocznej demonstracji w Wisconsin.

Zakończony właśnie proces Rittenhouse'a śledziły przed telewizorami miliony Amerykanów. Werdykt ławy przysięgłych, która oceniła, że chłopak strzelał w samoobronie, mocno podzielił opinię publiczną. Gdy uniewinniony Kyle płakał w sądzie, sympatyzująca z nim konserwatywna Ameryka odetchnęła z ulgą. Liberalna Ameryka – a szczególnie ta walcząca o sprawiedliwość rasową – była oburzona: najchętniej wsadziłaby go do więzienia na długie lata.

„Zabiłem dwóch dzieciaków”

Amerykanie żyją sprawą Rittenhouse'a od sierpnia 2020 r., gdy w stutysięcznym robotniczym mieście Kenosha w stanie Wisconsin wybuchły zamieszki po tym, jak policjant postrzelił czarnoskórego Jacoba Blake'a. Demonstracje, napędzane dodatkowo gniewem po śmierci George'a Floyd'a (umarł prawie trzy miesiące wcześniej – po tym, jak podczas aresztowania biały policjant z Minneapolis dusił go przez ponad 9 minut), szybko przybrały gwałtowny obrót. Na ulicach Kenoshy rzucano w policję kamieniami i butelkami z benzyną, palono budynki i auta, rabowano sklepy.

Rittenhouse przyjechał do miasta w trzecią noc zamieszek, bo jak twierdził, chciał „bronić lokalnych biznesów

przed uczestnikami rozruchów”. Jak wynika z przedstawionego podczas procesu materiału wideo, w tak napiętej atmosferze, jaka wtedy panowała, miejscowi policjanci nie tylko nie zatrzymali nastolatka uzbrojonego w karabin AR-15, lecz podziękowali mu za pomoc w ochronianiu miasta i dali butelkę wody.

Do tragedii doszło kilka minut później: gdy jeden z mężczyzn obecnych na ulicy zaczął gonić Rittenhouse'a i próbował odebrać mu broń, ten oddał w jego kierunku cztery strzały. Po tym, jak podbiegli do niego kolejni uczestnicy demonstracji, nastolatek zastrzelił 26-letniego Anthony'ego Hubera i poważnie ranił 27-letniego Gaige'a Grosskreutza. Potem okazało się, że pierwszy zabity, 36-letni Joseph Rosenbaum, cierpiał na chorobę dwubiegunową i tamtej nocy wyszedł ze szpitala po drugiej nieudanej próbie samobójczej.

Rittenhouse nie został aresztowany na miejscu zdarzenia. Dopiero za namową matki pojechał na komisariat w rodzinnym mieście Antioch w stanie Illinois, gdzie wybuchnął płaczem, zwymiotował na oczach funkcjonariuszy i przyznał się, że właśnie „zabił dwóch białych dzieciaków”.

Uniewinniony

Rittenhouse, wtedy siedemnastoletni, od początku przedstawiany był przez prokuraturę jako zadymiarz, który chciał podkręcić już i tak napiętą atmosferę w Kenoshy. W trakcie procesu oskarżyciele posiłkowali się zeznaniami świadków, którzy twierdzili, że chłopak miał prowokować uczestników zamieszek, wymachując w ich stronę karabinem. Z kolei obrońcy przekonowali, że Rittenhouse działał w obronie własnej, obawiając się, że napastnicy zabiorą mu broń i go

zabiją. Na jego korzyść zadziały m.in. słowa Martina Howarda, detektywa policyjnego z Kenoshy, który zeznał, że chłopak krzyczał pojednawczo w stronę goniącego go Rosenbauma. Ostatecznie po czterech dniach obrad ławnicy uniewinnili Rittenhouse'a: uznali, że zgodnie z obowiązującymi w stanie Wisconsin przepisami chłopak miał prawo użyć broni w momencie, gdy znalazł się w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia.

W reakcji na ten werdykt w wielu miastach, m.in. w Chicago, Portland, Nowym Jorku i Oakland, wybuchły demonstracje. Antyrasistowskie aktywiści argumentowali, że gdyby to czarnoskóry nastolatek przyjechał do Kenoshy z karabinem, zapewne zostałby od razu zatrzymany przez policję, nie mówiąc już o sytuacji, w której zacząłby strzelać do białych uczestników zamieszek. Działacze Amerykańskiej Unii Wolności Obywatelskich (ACLU) wypalili wręcz, że oczyszczenie Rittenhouse'a z zarzutów jest wynikiem „głęboko zakorzenionej w amerykańskich instytucjach ideologii białej supremacji”.

Karabin w prezencie

Werdykt skrytykowali też politycy Partii Demokratycznej, którzy przestrzegają, że teraz może być więcej samowolnych stróżów prawa takich jak Rittenhouse. „Ławnicy z Kenoshy wysłali uzbrojonym Amerykanom jasny sygnał: każdy może łamać prawo, chwycić za wojskową broń, strzelać do ludzi i uniknąć za to odpowiedzialności” – napisał na Twitterze gubernator Kalifornii Gavin Newsom.

Inaczej patrzą na to Republikanie i prawicowe media, które zrobiły z nastolatka bohatera broniącego obywateli przed rękami działaczy ruchu Black Lives Matter (Czarne Życia Są Liczne). Po ogłoszeniu werdyktu politycy Republikanów mówili o sprawiedliwości i „niezbywalnym prawie do samoobrony”, a kilku kongresmenów zaproponowało Rittenhouse'owi staż w swoich biurach poselskich.

Oliwy do ognia dołał Donald Trump Junior, syn byłego prezydenta. We wpisie na Twitterze (potem usuniętym) promował inicjatywę organizacji Gun Owners of America, która postanowiła sprezentować uniewinnionemu chłopakowi karabin. „Amerykanie mają fundamentalne prawo do samoobrony i noszenia broni. Werdykt w sprawie Rittenhouse'a jest ich potwierdzeniem” – napisał Trump Junior.



Kyle Rittenhouse na spotkaniu z Donaldem Trumpem. Floryda, 23 listopada 2021 r.

Z kolei jego ojciec pogratulował chłopakowi oczyszczenia z zarzutów. „Jeśli to nie była obrona konieczna, to co nią jest?” – napisał w oświadczeniu były prezydent.

W cieniu rywalizacji Biden–Trump

Całą sprawę wykorzystano też do ataków na prezydenta Joego Bidena. Republikanie wytknęli mu, że w trakcie ubiegłorocznego wyścigu o Białą Dom opublikował na Twitterze filmik przedstawiający Rittenhouse’a z karabinem i zarzucił Trumpowi, iż „nie chce odciąć się od białych suprematystów”. Teraz Republikanie chcą, aby Biden przeprosił za ten tweet.

Sam prezydent stara się zachować ostrożność. Tuż po ogłoszeniu werdyktu przyznał, że choć „wielu może odczuwać frustrację i niepokój”, to należy uszanować decyzję ławy przysięgłych. Wbijanie kija w mrowisko to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje teraz prezydent z Partii Demokratycznej – jego działania popiera zaledwie 42,9 proc. Amerykanów, co plasuje go w grupie najbardziej nielubianych przywódców USA (gorsze notowania na tym etapie prezydentury miał tylko Trump).

Coraz bardziej rozczarowani rządami Bidena są m.in. czarnoskórzy, którzy liczyli na szybkie uchwalenie federalnej

reformy policji, mającej zwiększyć odpowiedzialność funkcjonariuszy. Wtedy, tuż po zamieszkach w Kenoshy, Biden obiecywał, że jako przyszły prezydent potraktuje priorytetowo problem systemowego rasizmu. Narracja jego rywala Donalda Trumpa była wówczas zupełnie inna: antyrasistowskie rozruchy w Kenoshy nazwał „terroryzmem wewnętrznym” i przekonywał, że lepiej niż Biden zadba o porządek na ulicach.

Przedwyborcza narracja Trumpa nie różniła się wiele od tej, którą można było usłyszeć podczas procesu Rittenhouse’a. Jego obrońcy konsekwentnie nazywali – za przyzwoleniem sędziego – działaczy antyrasistowskich „zadymiarzami” i „podpalaczami”.

„Kochamy drugą poprawkę”

Sprawa Rittenhouse’a nie tylko wydo była skrajne emocje towarzyszące ubiegłorocznym protestom ruchu Black Lives Matter, ale rozpałała na nowo spór o ograniczenie dostępu do broni palnej.

Zwolennicy restrykcji argumentują, że w Ameryce potrzebne są jednolite przepisy federalne, które wyeliminują luki prawne, takie jak ta mająca zastosowanie podczas procesu Rittenhouse’a. Sędzia z Kenoshy ostatecznie wycofał wobec niego zarzut nielegalnego posiadania

broni, bo jego karabin AR-15 mieści się w definicji broni myśliwskiej, a tę w Wisconsin mogą nosić nawet szesnastolatki.

Tymczasem od początku pandemii USA zmagają się z rekordową sprzedażą broni palnej i wzrostem przemocy z jej użyciem. Na nic zdają się apele Demokratów, by zaostrzyć przepisy, dzięki czemu prześwietlanie nabywców byłoby wymagane także w przypadku sprzedaży internetowej lub na targach broni. Głównymi hamulcowymi reform są wpływowe lobby broni palnej i republikańscy politycy, którzy nie chcą zadzierać z konserwatywną Ameryką.

O nastrojach tej części społeczeństwa świadczą chociażby reakcje w Kenoshy: tuż po ogłoszeniu werdyktu miejscowi kierowcy trąbili z radości i wykrzykiwali hasła: „Wolny Kyle” oraz „Kochamy drugą poprawkę do konstytucji” (to ona gwarantuje Amerykanom prawo do posiadania broni palnej).

Kyle na salonach

Tymczasem oczyszczony z zarzutów Kyle Rittenhouse jest zapraszany jako bohater przez prawicowe kręgi. Tuż po uniewinnieniu gościł w telewizji Fox News, gdzie przekonywał, że „nie jest rasistą i wspiera ruch Black Lives Matter”. Na oczach niemal pięciu milionów widzów zalał się też na, jak twierdził, upolitycznienie procesu przez amerykańskie media i polityków. „Nigdy nie widziałem w życiu tak dużej polaryzacji” – ubolewał nastolatek. Powiedział, że rozważa złożenie pozwu o zniesławienie przeciw prezydentowi Bidenowi, i dowcipkował z Tuckerem Carlsonem, którego oponenci uważają nie tyle za dziennikarza, co propagandystę.

Podczas niemal godzinnego wywiadu Carlson nazwał Rittenhouse’a „słodkim i odważnym chłopakiem”, który pojechał do Kenoshy, aby „powstrzymać świrów przed podpalaniem samochodów”. Pochwał osiemnastolatka z Illinois nie szczędzi też Donald Trump, który pracowicie promuje bliskich mu polityków republikańskich przed wyborami do Kongresu w 2022 r. – i być może myśli już także o wyborach prezydenckich w 2024 r. Tuż po ogłoszeniu werdyktu Trump gościł Rittenhouse’a w swojej rezydencji na Florydzie, gdzie zrobili sobie pamiątkowe zdjęcie.

Wygląda na to, że Ameryka szybko o Kyle’u nie zapomni. ©

TERMOPILE NA BRYNOWIE

Była to największa zbrodnia stanu wojennego. Dziś masakra na Wujku to jedna z niewielu kart polskiej historii wieku XX, wokół której nie ma konfliktu pamięci.

ZBIGNIEW ROKITA



WSOBOTĘ 12 GRUDNIA 1981 R. O GODZINIE 15.48 Jerzy Gruba, komendant wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Katowicach, otrzymuje szyfrogram o treści „Synchronizacja”. To znak, że należy rozpocząć wprowadzanie stanu wojennego.

– O godzinie 23.30 przyszli do mieszkania Jana Ludwiczaka, przewodniczącego Solidarności na Wujku. Wyłamali drzwi, pobili kolegów, którzy pośpieszyli mu z odsieczą, i go aresztowali – mówi Stanisław Płatek, jeden z przywódców strajku w tej kopalni.

Władza zaczyna właśnie pacyfikację kraju. Chce złamać społeczny opór i przekonać Polaków o wszechwładzy komunistycznego państwa. Tymczasem w Kopalni Węgla Kamiennego „Wujek” zjawiają się górnicy, których pobito pod mieszkaniem Ludwiczaka. Opowiadają, co się stało. Pojawia się pomysł strajku.

Ostateczna decyzja o jego prowadzeniu zapadnie nazajutrz.

Stan wojenny Wojciech Jaruzelski wprowadza w niedzielę, gdy większość zakładów nie pracuje. Jednym z niewielu wyjątków są kopalnie. W całym kraju zaraz po 13 grudnia 1981 r. strajkować będzie nieco ponad 200 zakładów. W województwie katowickim dochodzi do 50 strajków lub ich prób, z czego blisko połowa to kopalnie.

Bunt tych ostatnich jest szczególnie istotny: po kilku tygodniach strajków w kopalniach zabraknie węgla, a trwa mroźna zima. Ponadto komuniści pamiętają, jak bardzo przystąpienie śląskich i zagłębiowskich zakładów do ogólnopolskich strajków latem 1980 r. przyczyniło się do ich zwycięstwa.

Jednak teraz to zupełnie inna sytuacja. Górnicy na Wujku wysuwają żądania: uwolnienia Ludwiczaka, zakończenia stanu wojennego i przywrócenia porozumień jastrzębskich. Nie wiedzą jeszcze, że „karnawał Solidarności” (jak później nazwano tych 16 miesięcy względnej wolności) się skończył, a „Wujek” – wzorcowa kopalnia, wizytowana kiedyś przez sowieckiego przywódcę Nikitę Chruszczowa – w grudniu 1981 r. będzie frontem „wojny polsko-jaruzelskiej” (jak stan wojenny nazwie potem historyk Andrzej Paczkowski).

Gdyby władze zwolniły wówczas Ludwiczaka, być może strajk rozszedłby się po kościach. Ale wszystko potoczyło się inaczej.

Jedna po drugiej

Strajkiem „na Ujku” (jak popularnie nazywa się kopalnię) żyje cała okolica.

– Nadaliśmy komunikat z kopalniami górników na pobliskie osiedle. Prosiłiśmy o pomoc, głównie o jedzenie. Ludzie odpowiedzieli, przychodzili z pomocą. Okoliczni piekarze oddawali nam cały wypiek, mleczarze dowozili mleko – wspomina Płatek.

Na Śląsku zaczyna się akcja „odblokowywania” kopalń. Jedna po drugiej. Siedmiuset funkcjonariuszy rzucają na Wiczorka na Nikiszowcu. Strajk spacyfikowany. Słyszając o tym, kopalnia Staszic na Giszowcu sama kończy protest. Później uderzają w Manifest Lipcowy w Jastrzębiu. Tu po raz pierwszy władze używają

ostrej amunicji, czterech strajkujących odnosi rany. Strajk spacyfikowany.

– Wiedzieliśmy, że na Manifeście pobito górników, zbroiliśmy się. Nie mieliśmy jednak pojęcia, że będą strzelać do swoich ostrą amunicją. Myśleliśmy, że władza wyciągnęła wnioski z roku 1970. Przeliczyliśmy się – mówi Płatek.

Coś jednak muszą przeczuwać, bo książdź udziela górnikom absolucji generalnej – to zbiorowe rozgrzeszenie, którego udziela się w sytuacji zagrożenia życia (np. żołnierzom na froncie tuż przed walką).

Górnicy na Wujku muszą „wydłużyć” sobie ręce, by nie dosięgła ich milicyjna pałka. Gromadzą style od łopat, węże hydrauliczne, wykuwają narzędzia w kuźni. Postanawiają, że do obrony nie wykorzystają materiałów wybuchowych. Negocjujący z nimi pułkownik Piotr Gębka, wojskowy, kłamie, że zostali jedynym strajkującym zakładem w kraju i ich opór nie ma sensu. W tym czasie zapada decyzja, aby do odblokowania Wujka wykorzystać 1471 funkcjonariuszy, 760 żołnierzy, 22 czołgi, 44 bojowe wozy piechoty. Za pacyfikację odpowiadają Jerzy Gruba i Marian Okrutny (zastępca komendanta wojewódzkiej milicji ds. Służby Bezpieczeństwa).

„Nerwowo zrobiło się wieczorem we wtorek 15 grudnia – wspominał potem Adam Skwira, jeden z przywódców strajku (zmarły w 2007 r.). – W tym czasie było słychać jadące ulicą Mikołowską czołgi. Panowała atmosfera strachu, podniecenia załogi i w każdej chwili mógł nastąpić atak na kopalnię”.

Insurekcja brynowska

16 grudnia około ósmej rano kopalnia jest otaczana.

Wujek jest wyjątkowy: znajduje się na Brynowie, a Brynów leży przy centrum Katowic. To nie Jastrzębie czy Łędziny, to serce aglomeracji, nie sposób ukryć takiego strajku, on promieniuje na okolicę. Jest również wyjątkowy, gdyż tu górnicy mieli czas i wolę się uzbroić, zbudować barykady, przygotować się na szturm.

Robert Talarczyk – dziś reżyser i dyrektor Teatru Śląskiego, a wówczas trzynastolatek – mieszka wtedy przy kopalni, na Wujku strajkuje jego ojciec. Wspomina, że 16 grudnia miejscowi rozmawiają pod kopalnią z żołnierzami, dają im jedzenie. Wtedy jeszcze wojsko odbiera się pozytywnie. Żołnierze nie wiedzą, →



AUTOR NIEZNANY / ŚLĄSKIE CENTRUM WOLNOŚCI I SOLIDARNOŚCI

Po pacyfikacji strajku w kopalni Wujek. Katowice, 16 grudnia 1981 r.

→ gdzie ich wywieziono. Od miejscowych dowiadują się, że są w Katowicach.

Górnicy oświadczają, że jeśli na kopalnię ruszy wojsko, złożą broń. Jeśli jednak wejdzie ZOMO (Zmotoryzowane Odwody MO), stawia opór. Rozegra się ten drugi scenariusz.

Wujek to nie tylko historia strajku górników. To też historia Brynowa, na którym między blokami milicjanci tłuką się z miejscowymi: ci ostatni rzucają w nich, czym popadnie, tu i tam wybuchają starcia. „Insurekcja brynowska”. Młody Talarczyk z kolegami też tam jest: blisko ZOMO, więc gdy tamci rzucają świece dymne, im czasem udaje się je odrzucić, zanim wybuchną. Groźniejsze są armatki wodne – jest mróz, minus szesnaście stopni.

Talarczyk z kolegami w końcu odbiegają, inni nie. Czesława Makarewicz wspominała: „Utkwił mi w głowie taki incydent. Strumień lejącej się wody przewrócił młodego chłopca w wieku 10, może 12 lat, i wtedy zamiast jechać dalej, tamci jeszcze bardziej zaczęli to leżące dziecko polewać”.

– Zatrzymał nas jakiś mundurowy, spytał, co tu robimy – mówi dziś Talarczyk. – Odpowiedzieliśmy, że nasi rodzice są na kopalni. A on, usłyszawszy to, wyciągnął pistolet z kabury, wycelował w nas i spytał: „Chcecie, kurwa, skończyć tak jak wasi starzy?”.

Uciekają. Kuzyn Roberta, Grzesiek, słyszał, że w wieżowcach, w których mieszkają, można wyjść na dach. – Wjechaliśmy na górę, weszliśmy przez właz i tam zobaczyliśmy starszych panów, którzy siedzieli na krzesłach wędkarskich. Mieli lornetki, flaszki i oglądali sobie pacyfikację. Było tam z dwadzieścia osób, cała trybuna – wspomina Talarczyk. – I patrzyliśmy wszyscy na marsz zomowców, wyglądali jak długi wijący się czarny wąż, jakby były ich miliony. Dla nas, dzieci, to była wielka przygoda. Fascynowaliśmy się wtedy „Terrorem Mechagodzilli” czy „Gwiezdnymi wojnami”, a tu mieliśmy z dachu film na żywo.

W pewnym momencie czołgi wybijają dziurę w murze kopalni, wąż zomowców wpelza do środka, Robert z Grzesiem tracą go z oczu. Dochodzi dwunasta.

Milicja repetuje broń

Zaczyna się pacyfikacja Wujka i zachodzą się brynowskie Termopile. W środku jest ok. 2 tys. górników. Rzu-

cają śrubami i kamieniami, a na nich jadą czołgi i idzie ZOMO. Później Maciej Bieniasz napisze piosenkę: „Kilof, łańcuch ściska naszą dłoń / Wózków rząd rozpęd czołgów wstrzymuje / Już milicja repetuje broń / Idą, idą pancry na Wujek”.

Górnicy odpierają atak. Wiatr zmienia kierunek, gaz wieje na zomowców. Jeden z czołgów zawisa na ogrodzeniu.

Uczestnik strajku Kazimierz Bodejko wspominał: „Zomowcy zaczęli uciekać. Zauważyłem, że został jeden z dowódców milicji, ja dobiegłem do niego i uderzyłem go trzonkiem kilofa w plecy. Ja stanąłem, a on pobiegł dalej i się przewrócił. Dobiegłem do niego górnik i miał pręt, i przymierzył się do niego, żeby go uderzyć, przebić. Ja krzyknąłem do niego: »Nie rób tego, poczekaj«. Górnik się zatrzymał. Razem z innymi otoczyliśmy milicjanta, który tłumaczył się, że wykonuje rozkaz, bo jakby tego rozkazu nie wykonał, toby poszedł pod sąd wojenny, mówił, że ma żonę i dwoje dzieci, prosił, żeby go puścić. (...) Gdybym wtedy wiedział, że zabito naszych kolegów, to nie wiem, czybym powstrzymał tego górnika”.

– Akcja uderzeniowa się sypała i myślałem, że dlatego wprowadzono pluton specjalny ZOMO. Strzelać zaczęto najprawdopodobniej z bezsilności – mówi Robert Ciupa, dyrektor Śląskiego Centrum Wolności i Solidarności przy Wujku. – Ale władze liczyły się z ofiarami. Chciano zastraszyć społeczeństwo, nie mogli pozwolić na istnienie niemal dziesięciomilionowej reprezentacji robotników w postaci Solidarności. Ofiary na Wujku były władzą na rękę.

Ofiar mogło być więcej. – Ojciec był w dozorcze kopalni. Mówił potem, że wpadli do niego zomowcy, byli chyba naspidowani, i chcieli wrzucać świece dymne na dół, tam gdzie są ludzie pilnujący wentylacji do szybów – mówi Talarczyk. – Ojciec zaczął im tłumaczyć, że w ten sposób zabijają wszystkich, którzy są pod ziemią. Powstrzymał ich.

To był inny człowiek

O 12.30 padają pierwsze strzały z broni maszynowej, ostrą amunicją. Górnik Józef Mikoś wspominał: „Kiedy dostałem, to przytomności nie straciłem. Dostałem w policzek, przeszło mi gardło i klatkę, w ręce kula została”.

Obok niego dostaje Zbigniew Wilk: w prawe udo, w lewe płuco, w serce. Pada. Będzie jednym z sześciu, którzy zginą na

miejscu. Kolejnych trzech umrze od ran w szpitalu. Ponadto 23 górników jest rannych, kilkudziesięciu silnie zatruto się gazem. Według oficjalnych danych rannych jest 41 funkcjonariuszy, w tym dziesięciu wymaga hospitalizacji.

Władze jeszcze przed pacyfikacją kazały zapewnić miejsca w szpitalach; wiedzą, że będą potrzebne. Ale szpital dla niektórych bywa przywilejem. Czesława Makarewicz: „I wtedy ci zomowcy zatrzymali tę karetkę pogotowia, wywiekli z niej lekarza, pielęgniarkę lub pielęgniarza, a potem kierowcę i wszystkich trzech bito pałami”.

Strzały rozstrzygają wszystko. Załoga rozmawia z dyrektcją i wojskiem, do wieczora Ujek pustoszeje.

– To była pierwsza sytuacja, gdy go role z harysami walczyli tu po wojnie ramie w ramie – mówi mi Robert Ciupa. – Lata 60. i 70. na Śląsku to ogromna migracja, wyjazdy i przyjazdy liczy się w milionach. Nagle jednak jedni i drudzy spotykają się na Wujku i okazuje się, że jest coś ważniejszego niż to, czy ktoś jest stąd czy stamtąd. Coś ich łączy. Tworzy się ich wspólna historia walki o godność.

Gdy 16 grudnia matka Roberta Talarczyka wraca z pracy, syna nie ma. Szuka go przez kilka godzin, odchodzi od zmysłów.

– Gdy mnie dorwała, myślałem, że mnie zabije – wspomina dziś reżyser. – Szukała synka, a potem okazało się, że synek w tym czasie rzucał w zomowców świecami dymnymi.

– Wieczorem wrócił ojciec – dodaje Talarczyk. – Nie poznałem go, to był inny człowiek. Po raz pierwszy widziałem, jak płacze.

W tym czasie miejscowi przychodzą na kopalnię i widzą leżących na posadzce martwych górników.

Obwodnica

Władze nie ukrywają masakry na Wujku, bo nie sposób jej ukryć. „Trybuna Robotnicza”, lokalny dziennik PZPR, wyjaśni: „W kopalni »Wujek« (...) wbrew zakazom wynikającym z przepisów o stanie wojennym, grupa nieodpowiedzialnych osób, w tym spoza kopalni, zorganizowała strajk. (...) Te ofiary były niepotrzebne. Życie ludzkie stanowi zbyt wielką wartość, by je narażać w nieodpowiedzialnych, sprzecznych z prawem stanu wyjątkowego wystąpieniach”.



Górnicy polegli 16 grudnia 1981 r.
w kopalni Wujek (od góry od lewej):
Bogusław Kopczak (28 lat)
Jan Stawisiński (21)
Józef Czekalski (48)
Ryszard Gzik (35)
Józef Giza (24)
Joachim Gnida (28)
Zenon Zajac (22)
Zbigniew Wilk (30)
Andrzej Pełka (19)

ŚLĄSKIE CENTRUM WOLNOŚCI I SOLIDARNOŚCI

Winą za ofiary władze obarczają górników. Przywódcy strajku, w tym Stanisław Płatek, usłyszą potem kilkuletnie wyroki więzienia. Część z zomowców, którzy pociągali za spusty, zostanie skazana po 1989 r., choć dopiero po wielu latach. Wydający rozkazy – nigdy.

Wujek ma ogromny wpływ na odbiór stanu wojennego na Zachodzie – czołgi na ulicach można uznać jeszcze za wewnętrzną sprawę PRL, ale trupy to coś zupełnie innego.

Jeszcze tamtego 16 grudnia górnicy ustawiają przy kopalni krzyż ku pamięci ofiar (dziś znajduje się on w większym, 33-metrowym krzyżu ustawionym przed kopalnią). Nazajutrz, jakby nigdy nic, muszą wrócić do pracy. I pracują w oparach gazu, który wciąż unosi się na Wujku.

– W styczniu 1982 r. nieznani sprawcy niszczą ten krzyż. I co robi załoga? Idzie do dyrekcji i mówi, że jeśli krzyż nie wróci na swoje miejsce, oni rozpoczynają strajk. Miesiąc po masakrze, po rozjecha-

niu przez władzę, oni dalej chcą walczyć – mówi Ciupa.

Historyk wspomina, że ten krzyż staje się dla władz problemem. Stoi przy ulicy, którą kursują autobusy. Przechodnie zdejmują przy nim czapki, dzieci ze szkół przychodzą oddać hołd, ludzie zostawiają znicze. Milicjanci je zabierają i wypisują mandaty za zaśmiecanie. I tak w kółko.

– Władze błyskawicznie zbudowały obwodnicę, żeby puścić nią autobusy. To była chyba najszybciej zbudowana droga w PRL – dodaje Ciupa. Miejscowi nazywają tę obwodnicę ZOMO-Strasse. Dziś ulica nosi nazwę: Dziewięciu z Wujka.

Poza konfliktem pamięci

Po roku 1989 powstaną dwa sztandarowe upamiętnienia artystyczne Ujka. Oba stworzą Ślązacy: w 1994 r. Kazimierz Kutz kręci film „Śmierć jak kromka chleba”, a w 2016 r. Robert Talarczyk reżyseruje spektakl „Wujek.81. Czarna ballada”.

Kutz wspominał w autobiografii: „Poza górnikami nikt obrazu o »Wujku« nie chciał – ani środowisko filmowe, ani urzędnicy od produkcji, ani partie polityczne, ani władza, choć przecież wywodziła się z Solidarności. (...) Pewnie uznali, że lepiej byłoby, gdyby najpierw powstał film nie o »Wujku«, ale o Gdańsku, o Wałęsie”.

Spektakl „Wujek.81. Czarna ballada” wciąż jest grany w Teatrze Śląskim. Na scenie pojawiają się także bajtle, którzy weszli na dach wieżowca, skąd patrzą na pacyfikację.

Masakra na Wujku to jedna z niewielu kart polskiej historii wieku XX, wokół której nie ma konfliktu pamięci. Pod krzyżem wieńce złożyły ostatnio zarówno Partia Razem, jak ONR. Koncern PGNiG oferuje bezpłatny gaz tylko dwóm grupom: powstańcom warszawskim i uczestnikom strajku z Wujka. Lech Wałęsa dzieli Polaków, dzieli ich też stan wojenny. Wujek – nie.

– Tak, ale pamięć o Wujku nie wybrzmiewa tak, jak by mogła. W Polsce pamięć ofiar stanu wojennego obchodzi się 13, a nie 16 grudnia. Nie wykorzystaliśmy szansy, aby to 16 grudnia był czasem uroczystości – mówi Robert Ciupa. – Inna rzecz, że być może masakra na Wujku ma silniejszy ładunek symboliczny w Warszawie niż na samym Śląsku. Nie można zapomnieć, że Solidarność narodziła się w Gdańsku, a wykuła na Wujku.

© ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest reporterem, autorem książki „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku”, za którą otrzymał podwójną nagrodę Nike 2021.

Korzystałem m.in. z: R. Ciupa, B. Tracz „Wujek '81. Strajk i pacyfikacja”; J. Neja „Grudzień 1981 roku w województwie katowickim”; „Wujek '81. Relacje” (oprac. R. Ciupa, Reńca).

TOMASZ

Stawiszyński: Rzeczywistość pod ochroną



KLIMAT TEJ PREZENTACJI PRZYPOMINA skrzyżowanie którejś z późnych powieści Philipa K. Dicka z filmami promocyjnymi Kościoła Scjentologii. Ta sama atmosfera pozornej familiarności, ta sama na pierwszy rzut oka świetlana wizja, ten sam nieustępliwy, żeby nie powiedzieć kompulsywny optymizm. A zarazem gdzieś w substancji świata przedstawionego jakiś niepokojący dysonans, jakaś fałszywa nuta. Czy to osobliwa robotyczność gestów i nieruchomy wzrok Marka Zuckerberga, które zupełnie nie pasują do nadmiarowo entuzjastycznej mimiki i radosnego głosu? Czy może raczej krajobraz – tak sielski, tak starannie oszlifowany, tak metodycznie pozbawiony wszelkich nieregularności, że aż budzący grozę?

W każdym razie opublikowany na YouTube pod koniec października ponadgodzinny film przedstawiający rozmaite zalety projektu znanego pod nazwą Metaverse to zapowiedź nowej epoki. Nie tylko w domenie technologii – bo też i pierwszym zasadniczym efektem zaistnienia Metaverse będzie zanik tego, wciąż jeszcze obowiązującego, rozróżnienia: na technologię i nie-technologię.

Jak dotąd wszystkie dobrodziejstwa internetu – przekonuje, powtórzę, cokolwiek robotyczny Zuckerberg – przychodzą do nas za pośrednictwem smartfonów i laptopów. Między nami a nieskończonym bogactwem wirtualnego kosmosu rozpościera się więc nieprzekraczalna przepaść, czy raczej nieprzenikliwa warstwa hardware'u. Od cyfrowego uniwersum, w tym także – a może przede wszystkim – od naszych bliższych i dalszych znajomych na Zoomie albo Skypie, oddziela nas tafla ekranu. I niezależnie od tego, jak bardzo pragniemy stopić się

w jedno z tym, co na nim widoczne – prędzej czy później docieramy do granicy. Do granicy rzeczywistości.

To właśnie tę granicę Metaverse zamierza ostatecznie zdemontować. W jej miejsce pojawić się ma kontinuum. Nawiasem mówiąc, „pojawić się” to nie jest odpowiednie sformułowanie, sugeruje ono bowiem jakąś punktowość, której tu brak. Różnica między światem realnym a wirtualnym – wieszcy twórca Facebooka – zaniknie, urządzenia zaś, które są dziś wymownymi emblematami tej różnicy, staną się w pełni dyskretne, obecne poza polem percepcji.

Postulowanym rezultatem będzie zupełnie nowa jakość, bez mała alchemiczna kompozycja realnego i nierealnego, materialnego i wirtualnego, opornego i podatnego na nieskończoną kreację. Będziecie mogli – mówi Zuckerberg przejętym głosem, ale z tą samą miną – spotykać się z ludźmi, którzy są od was oddaleni o tysiące kilometrów. Będziecie mogli znajdować się w miejscach, które do tej pory oglądaliście na ekranach waszych smartfonów. Będziecie mogli być, kim chcecie i gdzie chcecie. I to wszystko – do złudzenia – na prawdę. Doświadczenie bycia gdzieś daleko bez wychodzenia z pokoju, uzyskiwane za pomocą Metaverse, będzie równie realne, co dzisiejsza podróż w trójwymiarowej przestrzeni.

Oto nowy hybrydowy świat, który powoła do istnienia wielka korporacja.

Czy jednak aby na pewno pragniemy w nim zamieszkać? Czy już teraz nie mierzymy się – indywidualnie, społecznie, cywilizacyjnie – z konsekwencjami systematycznego zacierania się linii demarkacyjnych pomiędzy prawdą a fałszem, faktem a fikcją? Realnością a kreacją, skrojoną dokładnie pod nasze emocjonalne potrzeby i słabości przez pozbawionych skrupułów ekspertów od cyfrowego marketingu, którzy świetnie znają najnowsze osiągnięcia neuronauki i potrafią wykorzystać je w służbie kolonizowania naszej uwagi? I czy jeszcze bardziej radykalne pogłębienie zbiorowego poczucia nierzeczywistości jest tym, czego nam dzisiaj potrzeba?

To tylko niektóre z pytań pojawiających się przy okazji nowego pomysłu Zuckerberga. Innym, może fundamentalnym, jest pytanie o to, czy stawka tego projektu – rzeczywistość – nie jest zbyt wysoka. I czy nie powinniśmy pomyśleć o jakiejś formie ochrony tego, co realne. Podobnie jak istnieją ustawy chroniące dziedzictwo naturalne albo zabytki kultury, tak można by sobie wyobrazić analogiczne przepisy dotyczące tego, co rzeczywiste. Chroniłyby one realne przed inwazją wirtualnego, pozwalały zachować enklawy istnienia w świecie symulaków.

Wbrew pozorom ten pomysł nie jest taki znowu zuchwały. Przez tysiące lat eksploatowaliśmy świat przyrody, za co teraz spotykają nas konsekwencje. Może więc warto powstrzymać eksploatację rzeczywistości, zanim będzie za późno i całkiem ją stracimy? Ostatecznie motywacje eksploatujących są tu dokładnie takie same: zysk i chęć ekspansji. Tyle że w przypadku projektu Metaverse będzie to ekspansja w sensie jak najściślejszym nieskończona. ©

Hannie Dmochowskiej
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”
I FUNDACJI TP

POŻEGNANIE

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik” na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!



 **audioteka**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WYJĄTKOWY PROJEKT NA POLSKIEJ SCENIE MUZYCZNEJ

NATALIA KUKULSKA

CZUŁE STRUNY

KONCERTY

29.01.2022 · ICE KRAKÓW

31.01.2022 · NFM WROCŁAW

FRYDERYK CHOPIN

TOMASZEWSKI · SZTABA · HERDZIN
KOŁODZIEJCZYK · SMOCZYŃSKI
ORKIESTRA AKADEMII BEETHOVENOWSKIEJ



REKLAMA

Prestige
MJM

bs BILET
SERWIS

Classic

TYGODNIK
POWSZECHNY

VIXON
radio

TIDAL

PRESS
SERVICE

VIVA!

BILETY: BILETSERWIS.PL



STO LAT, INSULINO

Jej odkrycie doprowadziło do przełomu w leczeniu cukrzycy i uratowało życie milionów osób. A prace nad metodami wytwarzania insuliny miały również ogromne znaczenie dla rozwoju wielu dziedzin nauki.

ANNA BARTOSIK

NA POCZĄTKU XX W. ZDIAGNOZOWANIE cukrzycy (łac. *diabetes mellitus*) oznaczało wyrok śmierci. Najgorszy los czekał pacjentów z cukrzycą typu 1, w której układ odpornościowy atakuje komórki trzustki odpowiedzialne za produkcję insuliny. Objawy kliniczne tej choroby można zaobserwować dopiero wtedy, gdy zniszczeniu ulegnie 80-90 proc. tych komórek. Przed takimi pacjentami pozostawał maksymalnie rok życia w cierpieniu. W przypadku chorych na cukrzycę typu 2, w której organizm najczęściej przestaje reagować na obecność insuliny we krwi, rokowania były lepsze, ale na początku XX w. choroba również nieuchronnie prowadziła do przedwczesnej śmierci.

Według szacunków amerykańskiej agencji CDC na świecie żyje obecnie ponad 460 milionów diabetyków. Zawdzięczają oni życie głównie naukowcom z Uniwersytetu w Toronto, którzy sto lat temu odkryli insulinę. Dzięki nim cukrzyca z choroby śmiertelnej stała się przewlekłą.

Pies bez trzustki

Insulina to hormon regulujący wchłanianie glukozy – cukru będącego podstawowym źródłem energii dla komórek. U zdrowych jej produkcja wzrasta po posiłku, gdy rośnie poziom glukozy we krwi. Utrzymujący się wysoki poziom glukozy prowadzi m.in. do uszkodzeń naczyń krwionośnych, a w konsekwencji do niewydolności wielu narządów.

Podwaliny pod odkrycie insuliny położono pod koniec XIX w., a dużą rolę odegrały w tym zwierzęta. W 1889 r. niemieccy naukowcy Oskar Minkowski i Joseph von Mering odkryli, że u psów, którym usunięto trzustkę, szybko pojawiały się objawy cukrzycy. Badania te doprowadziły ich do wniosku, że to właśnie ten organ wytwarza „substancje trzustkowe”. Dwadzieścia lat przed tym odkryciem Niemiec Paul Langerhans jako student medycyny sporządził pierwsze opisy histologiczne trzustki. Opisał również różnych typów komórek, które tworzyły liczne „komórkowe stopy” rozproszone po całym gruczole. Zostały

one później nazwane wyspami Langerhansa i powiązane z produkcją „substancji trzustkowych” opisanych przez Minkowskiego i von Meringa. Termin „insulina”, pochodzący od łacińskiego słowa *insula* oznaczającego m.in. wyspę, wprowadził do świata nauki Belg Jean de Meyer, który jako pierwszy spekulował o roli insuliny w regulacji poziomu cukru.

14 listopada 1891 r. na farmie w Ontario przyszedł na świat Frederick Banting. Był pilnym uczniem, rodzina widziała go w roli pastora, ale już po pierwszym roku porzucił studia humanistyczne na Uniwersytecie w Toronto i przeniósł się na medycynę. Krótko po ukończeniu studiów, w czasie I wojny światowej służył w Korpusie Medycznym Armii Kanadyjskiej i trafił na front jako lekarz wojсковy. Raniony w ramię w trakcie walk pod Cambrai we Francji został odznaczony Krzyżem Wojskowym za odwagę i odesłany do domu na rekonwalescencję. Doświadczenie zdobyte na wojnie wykorzystał praktykując chirurgię w szpitalu pediatrycznym w Toronto oraz w prywatnym gabinecie.

Wieczorem 30 października 1920 r. Banting przygotowywał wykład dla studentów na temat metabolizmu węglowodanów. Natknął się na artykuł autorstwa Mosesa Barona o powiązaniu wysp Langerhansa z cukrzycą u pacjentów z kamicą trzustkową. Wtedy właśnie wpadł na pomysł kluczowego eksperymentu, który natychmiast zapisał: „Cukrzyca. Podwiązać przewód trzustkowy u psa. Utrzymywać psa przy życiu do momentu, kiedy zraziki ulegną degeneracji i pozostaną wyspy. Postarać się wyodrębnić część wewnątrzwydzielniczą i jej aktywną wydzielinę, aby usunąć cukromocznik”.

Pozbawiony przestrzeni laboratoryjnej i doświadczenia badawczego Banting zwrócił się do profesora fizjologii Uniwersytetu w Toronto Johna Macleoda, eksperta w dziedzinie cukrzycy, który zgodził się, że pomysł jest wart realizacji. Zapewnił młodemu lekarzowi dostęp do laboratorium oraz psów i wyjechał na letni urlop. Pomocnikiem Bantinga został student medycyny Charles Best, który wygrał swój przydział do tego letniego projektu badawczego w wyniku rzutu monetą. Nie bez problemów udało im się wyodrębnić trzustkową wydzielinę, a następnie zaaplikować ją

psu z usuniętą wcześniej trzustką i rozwiniętą cukrzycą. Pies przeżył 70 dni – zmarł, ponieważ naukowcy nie mieli już więcej ekstraktu, który mogliby mu podać. Po powrocie profesora MacLeoda z urlopu do zespołu badaczy dołączył biochemik James B. Collip, który miał za zadanie poprawić czystość ekstraktu, tak żeby nadawał się do podania ludziom. Efekty prac zespołu zostały wkrótce rozpowszechnione na konferencjach naukowych i w publikacjach. I właśnie wtedy zaczęły się do nich zgłaszać rodziny młodych pacjentów, błagające o pomoc dla ciężko chorych najbliższych.

Urlop wart Nobla

W styczniu 1922 r. Leonard Thompson, 14-latek umierający na cukrzycę w szpitalu w Toronto, został pierwszą osobą, która otrzymała zastrzyk insuliny. W ciągu doby niebezpiecznie wysoki poziom glukozy we krwi Leonarda spadł do niemal normalnego. Chłopiec wyzdrowiał i dożył 27 lat, kiedy zmarł w wyniku zapalenia płuc. Wśród następnych pacjentów był m.in. pięcioletni Teddy Ryder z Nowego Jorku, tak chory, wychudzony i osłabiony przez chorobę, że prawie nie mógł samodzielnie chodzić. Podany „ekstrakt trzustkowy” uratował mu życie, którym cieszył się jeszcze przez 66 lat.

Odkrycie było tak wielkim przełomem, że już w 1923 r. Macleod i Banting otrzymali Nagrodę Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny. Banting podzielił się otrzymaną kwotą z Bestem, który pomógł mu w eksperymentach, a Macleod z Collipem, który oczyścił ekstrakt – obaj nie zostali uwzględnieni przez Królewską Akademię. Przyznanie nagrody od początku wzbudzało sporo kontrowersji ze względu na krótki czas, jaki upłynął od dokonania odkrycia. Na tę decyzję kluczowy mogła mieć wpływ I wojna światowa. W latach 1915-1918 i 1921 r. w ogóle nie przyznano Nagród Nobla z medycyny. Być może więc w obawie przed utratą prestiżu odznaczenia i z braku konkurencji zdecydowano o nagrodzeniu naukowców z Toronto. Kontrowersje dotyczyły też tego, kto zasłużył na wyróżnienie. Profesor Rolf Luft, światowej sławy endokrynolog i członek Komitetu Noblowskiego, twierdził np. że nagroda nie powinna trafić do Macleoda, gdyż bezpośrednio nie brał on udziału w kluczowych eksperymentach.

→ Insulina przyczyniła się do niebywanych postępów w nauce, w dziedzinach takich jak krystalografia, biologia molekularna, immunologia, fizjologia czy genetyka, dając podwaliny pod trzy kolejne Nagrody Nobla. W 1935 r. Dorothy Crowfoot Hodgkin wykonała pierwsze zdjęcia dyfrakcyjne kryształów insuliny. Kontynuowała pracę nad cząsteczką insuliny przez całą swoją karierę, a w 1969 r. poprawnie opisała jej strukturę przestrzenną. W 1964 r. otrzymała Nobla w dziedzinie chemii za pionierskie osiągnięcia w krystalografii.

W latach 50. XX w. Rosalyn Yalow i Solomon Berson opracowali czułą metodę wykrywania insuliny we krwi, która wykorzystywała reakcję antygen-przeciwciała oraz radioizotopy. Zostali za to nagrodzeni Noblem w dziedzinie medycyny i fizjologii w 1977 r. W podobnym czasie prace nad ustalaniem sekwencji aminokwasowej białek rozpoczął Frederick Sanger, wybierając insulinę jako cząsteczkę modelową. Za opracowaną metodę sekwencjonowania otrzymał Nobla w dziedzinie chemii w 1958 r.

Od świń do drożdży

Banting, Best i Collip uzyskali patent na wytwarzanie odzwierzęcej insuliny, który następnie odsprzedali Uniwersytetowi w Toronto za jednego dolara kanadyjskiego. Frederick Banting miał powiedzieć przy tej okazji: „Insulina należy do świata, nie do mnie”. Ponieważ zapotrzebowanie na ich produkt rosło bardzo szybko, zespół akademicki nie był w stanie sprostać oczekiwaniom pacjentów. Z pomocą przyszła firma farmaceutyczna Eli Lilly, która rozpoczęła produkcję na dużą skalę. W Europie insulina została wprowadzona do powszechnego obrotu w 1925 r. przez firmę Novo Nordisk Pharmaceuticals.

Izolowana z trzustek bydląt i świń insulina była stosowana przez wiele lat w leczeniu cukrzycy i uratowała miliony istnień, ale nie była idealna. Czas od podania preparatu do efektu w organizmie był dłuższy niż w przypadku ludzkiej insuliny. U zdrowych osób insulina wydzielana z ich trzustek osiąga swoje szczytowe stężenie we krwi 15-30 minut po posiłku. Natomiast cząsteczki hormonu dostarczane z zewnątrz łączyły się w dłuższe łańcuchy cząsteczek, które musiały się rozpaść, zanim mogły trafić do układu krwionośnego i wywołać oczekiwany efekt.



TORONTO STAR ARCHIVES / GETTY IMAGES

Charles Best i Frederick Banting, odkrywcy insuliny. Toronto, ok. 1920 r.

kiwany efekt. Trwało to ok. 60-90 minut. Dlatego w następnych dziesięcioleciach producenci wprowadzali różne modyfikacje w procesie produkcji preparatu, starając się jak najlepiej odtworzyć naturalne działanie insuliny.

Insulina odzwierzęca powodowała też reakcje alergiczne u części pacjentów. Dlatego zdecydowano się na wykorzystanie inżynierii genetycznej i odtworzenie szlaku metabolicznego „ludzkiej” insuliny w bakterii *E. coli*, a potem w komórkach drożdży piekarskich *S. cerevisiae*. Pierwsza genetycznie zmodyfikowana, syntetyczna „ludzka” insulina została wyprodukowana w 1978 r. przez firmę Genentech i było to zarazem pierwsze uzyskane tą metodą tzw. rekombinowane białko. Licencję na ten produkt natychmiast odkupił koncern Eli Lilly, a w 1982 r. wprowadził do sprzedaży pierwszą biosyntetyczną insulinę.

Naukowcy poszukiwali również hormonu o przedłużonym działaniu, dającego efekt terapeutyczny w nocy i między posiłkami. Pierwszą zastosowaną modyfikacją było dodanie do preparatu protaminy, która spowalniała uwalnianie insuliny, jednak było ono bardzo nierównomierne w czasie. Pierwszy długo działający analog insuliny, czyli związek bardzo podobny w budowie, został wprowadzony w 2001 r. pod nazwą Glargine. Otrzymano go poprzez modyfikację niektórych aminokwasów. W 2005 r. pojawił się preparat Detemir, o spowolnionym uwalnianiu poprzez wiązanie do białka albuminy obecnego w krwi. De-

kadę później do obiegu wszedł analog Degludec wzbogacony o argininę, dzięki której insulina gromadzi się w tkance podskórnej, skąd powoli się uwalnia do krwiobiegu. Obecnie w Polsce dostępnych jest około 40 różnych preparatów insuliny, różniących się szybkością i długością działania.

Smart insulina

Postępy w terapii cukrzycy dokonały się również w aplikacji leku. Przez dekady jedyną dostępną metodą był zastrzyk. W 1985 r. wprowadzono pierwszy pen insulinowy – urządzenie przypominające długopis, służące do podskórnego podania preparatu. Opracowane niedawno smart peny pozwalają na śledzenie dawkowania insuliny, a dzięki integracji z aplikacją na smartfony wysyłają pacjentom powiadomienia o konieczności przyjęcia dawki. W aptekach pojawiały się także preparaty wziewne insuliny, ale zostały dość szybko wycofane ze względu na problemy z wchłanianiem i potencjalne negatywne efekty obserwowane w płucach.

Pierwsza pompa insulinowa, która zawierała element mierzący poziom cukru we krwi, została zaprojektowana przez Arnolda Kadisha w 1963 r. Była wielka jak plecak wojskowy i przez to niepraktyczna w codziennym użytku. Niewiele ponad dekadę później firma Miles Laboratories wynalazła przyłóżkowy system dozowania insuliny sterowany komputerowo. Znaczący rozwój technologii nastąpił w latach 70., czego efektem były mobilne urządzenia wprowadzone na rynek w latach 80. Obecnie coraz więcej pomp wykorzystuje technologie hybrydowe z automatycznym dozowaniem insuliny na podstawie ciągłych odczytów i trendów stężenia glukozy we krwi.

Mimo olbrzymiego postępu, jaki nastąpił w insulinoterapii, na całym świecie nadal trwają prace nad jej udoskonaleniem. Insuliną przyszłości może się okazać np. hormon zamknięty w nanocząstkach w formie kapsułek, podawany raz na kilka dni. Rewolucją byłby „inteligentny” preparat, który po podaniu automatycznie utrzymywałby poziom glukozy we krwi na prawidłowym poziomie, działając tylko wtedy, gdy byłaby taka potrzeba. Jeśli postępy w tej dziedzinie następować będą w dotychczasowym tempie, nie powinniśmy na niego czekać kolejne sto lat.

© ANNA BARTOSIK

Złap oddech przed świętami!



Więcej informacji na powszech.net/dzisiajwbetlejem
Szukaj w miejscach z dobrą prasą

MOWA MILCZENIA

RYSZARD KRYNICKI, POETA:

Poezja, czy chce, czy nie, musi próbować odpowiadać na pytania,
które stawia sobie religia.
Jest językiem, który potrafi – przynajmniej czasami – dotknąć tajemnicy.

WOJCIECH BONOWICZ: Otrzymał Pan niedawno Nagrodę Poetycką Silesius za całokształt twórczości. Kiedy zaczął się ten całokształt? Kiedy młody Ryszard postanawia napisać pierwszy wiersz...

RYSZARD KRYNICKI: Tak naprawdę to ja nadal się czuję młodym poetą. To znaczy takim, który zaczyna i jest niepewny.

Ale co tego chłopca – nie wiem, nastoletniego chyba – pociągnęło, zainspirowało, a może zmusiło do pisania? Bo bywa przecież, że pisanie odczuwamy jako przymus.

Nie nastoletniego. Ja zacząłem późno pisać wiersze. Poeci przeważnie zaczynają gdzieś tak około szesnastego, osiemnastego roku życia, niektórzy – wcześniej. Ja zacząłem późno, byłem już wtedy na studiach. Jeżeli we wcześniejszych latach marzyłem o tym, żeby pisać, to chciałem pisać prozę, powieści. Najpierw przygodowe oczywiście.

A próbował Pan? Michał Heller opowiadał mi, że chciał w dzieciństwie napisać powieść przygodową, ale na pierwszej stronie nasadził od razu pięć różnych przęd i nie bardzo miał pomysł, co mogłoby się znaleźć na drugiej.

Marzyłem o tym, żeby napisać nowe „20 tysięcy mil podmorskiej żeglugi”, bo to była dla mnie bardzo ważna książka.

Natomiast poezja była dla mnie – i jest nadal – jakąś tajemnicą, czymś, o czym nie śmiałem myśleć. Ja to już kilkakrotnie wyznawałem, ale wyznam raz jeszcze: wielkim przeżyciem i wielkim odkryciem było dla mnie przeczytanie w wieku trzynastu, czternastu lat „Ballad i romansów” Adama Mickiewicza. I ta lektura gdzieś tam głęboko wpłynęła na mnie, na moje życie. A kilka lat później doszło jeszcze odkrycie Bolesława Leśmiana. To byli wielcy poeci, których ja po prostu podziwiałem. Ale nie próbowałem iść w ich ślady.

To bardzo ciekawe – taka późna inicjacja w Mickiewicza.

Jak dla kogo. W moim życiu tak się akurat złożyło.

Mój tata czytał mi „Ballady i romanse”, jeszcze zanim sam nauczyłem się czytać.

Jest pan znacznie młodszy ode mnie. Ja po prostu chodziłem do szkoły w zupełnie innych czasach. Zacząłem w 1949 czy też 1950 roku. I jeśli czytaliśmy wtedy w szkole wiersze, to były to wiersze socrealistyczne, niewiele mające wspólnego z poezją. Tak że ten Mickiewicz to było po prostu moje prywatne odkrycie.

Sam go Pan znalazł?

Sam go znalazłem. Ja go sobie po prostu kupiłem.

A potrafiłby Pan odtworzyć w pamięci tamten akt lektury?

Nie ukrywam, że ja się tych „Ballad i romansów” trochę bałem. Bo to można się bać...

Żona zabija męża, zbójcy wypadają z krzaków, ziemia się rozstępuje.

Tak, to nie jest opowieść dla grzecznych dzieci. U Leśmiana też jest podobna tajemnica i trochę tego przerażenia.

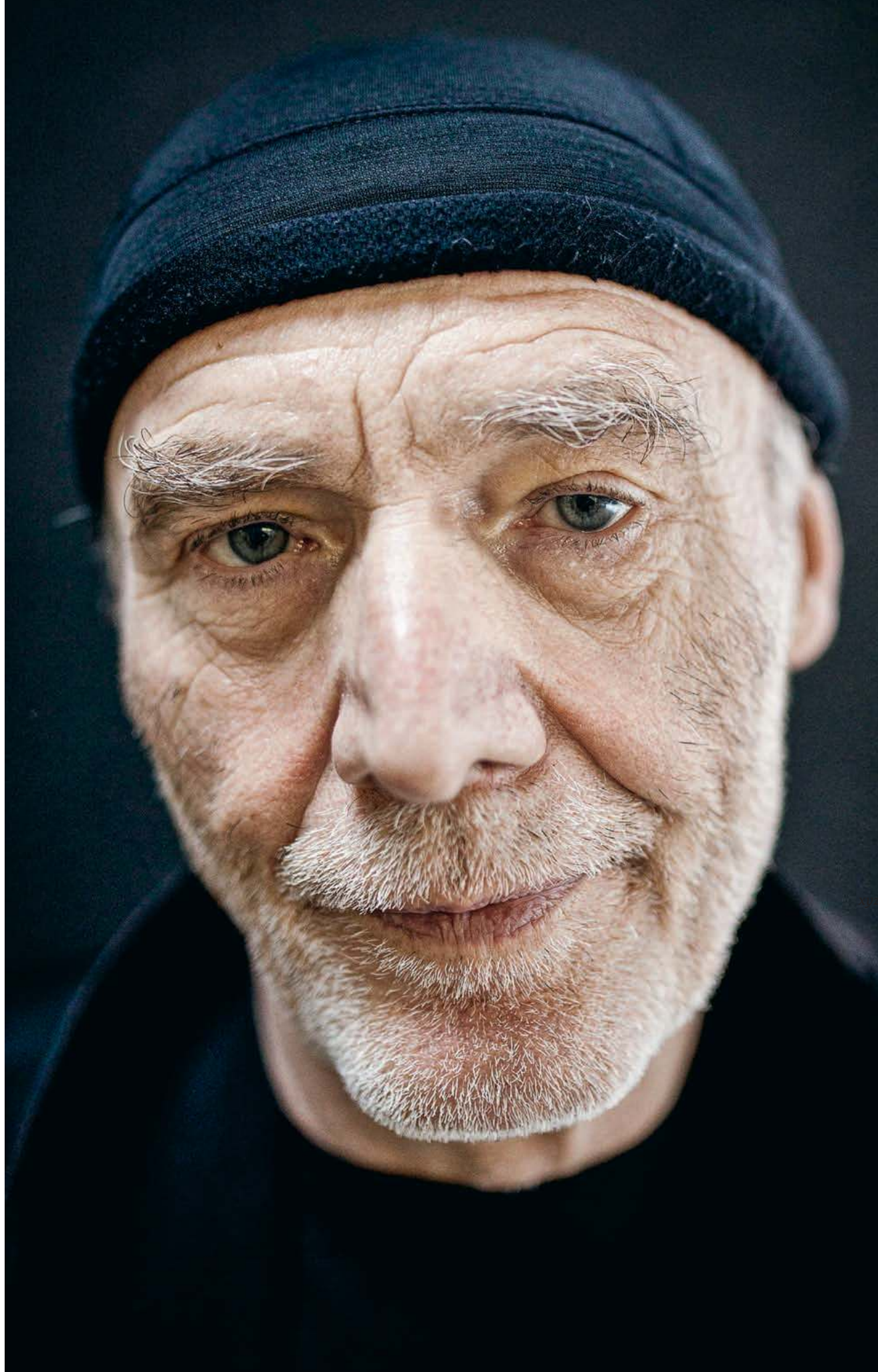
A kiedy Pan już sam zaczął pisać wiersze, to co było powodem?

Powodem bezpośrednim było to, że mniej więcej w połowie studiów poważnie się rozchorowałem. Wróciłem do domu na wakacje i rozchorowałem się, myślałem, że umrę. I kiedy tak leżałem w łóżku, przyszła myśl, że jak to tak? Nic po mnie nie zostanie? Niczego od siebie nie powiem? Coś jednak chciałbym powiedzieć. I wtedy, z tej potrzeby, żeby zdążyć coś powiedzieć, zacząłem pisać.

A jaka jest stawka teraz? Dlaczego ciągle poezja? Bo można przecież ją zostawić, historia literatury zna takie przypadki. Pan nie zostawia.

Myślę, że nie da się zostawić poezji. Nawet jeśli nie pisze się wierszy, to jednak gdzieś tam w głębi wciąż pozostaje się poetą. Ja w tej chwili piszę mniej niż kiedyś. →

Ryszard Krynicki, 2013 r.



→ A jeszcze rzadziej publikuję, wręcz bardzo rzadko. Ale poezja to jest po prostu sens mojego życia. Nie da się tego inaczej nazwać.

Są okresy, kiedy się więcej pisze, i takie, kiedy się więcej tłumaczy. Teraz dla mnie jest akurat taki czas, kiedy więcej tłumaczę. Pracuję nieustannie nad moją osobistą antologią współczesnej poezji języka niemieckiego. I to jest także moja praca poetycka. Ale za pracę poetycką uważam również moje zajęcia edytorskie, zwłaszcza redagowanie serii w Wydawnictwie a5.

Są w Pańskiej poezji liczne wiersze-echa, świadczące, że utwory innych poetek i poetów były zachętą, by w odpowiedzi napisać coś swojego. Więc takie rozproszenie niekoniecznie przeszkadza własnej twórczości.

Owszem, są echa – świadome i nieświadome. Zdarza się też, że po latach znajduję w cudzym wierszu coś, co sam kiedyś próbowałem napisać. Ale przeszkadza coś zupełnie innego: poczucie, że mam coraz mniej czasu. Zawsze mi się wydawało, że mam za mało czasu, ale teraz to już jest, niestety, dramatyczne spiętrzenie. Boję się, że mogę nie zdążyć.

A czy widzi Pan swoją twórczość jako całość? Adam Zagajewski w jednym z esejów napisał, że twarz i głos poety są właściwie dla innych. On sam nie widzi całości swojej twarzy ani nie słyszy swego głosu.

Tak, myślę, że to tak jest. Bo czy ja widzę całość? Widzę raczej szkic całości czy też... Tu brakuje mi słowa. Mam nadzieję, że coś mi się udało powiedzieć. I że ktoś, kto czyta moje wiersze, widzi, co jest dla mnie ważne. To znaczy – widzi to, co powiedziałem, i domyśla się także tego, czego powiedzieć mi się nie udało. Bo ja myślę, że do tak zwanego całokształtu twórczości należą nie tylko te wiersze, które się napisało, ale także te nienapisane, a w każdym razie nieopublikowane. Takie wiersze, które pozostały zaledwie jako szkic, brulion, niedokończone fragmenty.

Widzę to bardzo wyraźnie w twórczości Zbigniewa Herberta. Jak wiadomo, od wielu lat próbuję odczytywać jego wiersze, dokończone i niedokończone, które pozostawił w rękopisach. Jego archiwum

Zawsze mi się wydawało,
że moje wiersze nie
mają początku i końca.
**Tak jak świat – on też
nie ma początku i końca,**
a w każdym razie tylko tak
możemy go sobie wyobrazić.

jest ogromne i jest w nim bardzo wiele utworów. Niektóre z nich udało mi się odczytać i opublikować, ale pozostało ich znacznie więcej. I jest tam też wiele nierozwiniętych pomysłów, pozaczynane większe całości, z których pozostały tylko fragmenty. Dotyczy to nie tylko wierszy, ale także prozy.

Bo Herbert myślał większymi całościami, ale one nie zawsze się realizowały.

Chciał na przykład napisać historię świata.

Pan lubi wracać do swoich dawnych wierszy i dokonuje zmian.

Nigdy nie wiadomo, gdzie wiersz się zaczyna, a gdzie kończy. Zawsze mi się wydawało, że moje wiersze nie mają początku i końca. Tak jak świat – on też nie ma początku i końca, a w każdym razie tylko tak możemy go sobie wyobrazić. No więc rzeczywiście, dla mnie wiersz zawsze pozostaje otwarty. Nie tylko dla mnie, ale ja tu pewnie jestem jakimś ekstremalnym przypadkiem. Z tym, że może nie tyle coś w tych moich wierszach radykalnie zmieniam, ile po prostu wykreślam niepotrzebne słowa, zdania. Bardzo podziwiam poetów, którzy tego nie robią, ale – jak się przekonałem – nawet poetom, o których myślałem, że rzeczywiście tego nie robią, zdarzało się poprawiać swoje wiersze. Wielkim zaskoczeniem było dla mnie, kiedy odkryłem, że jeden z bardzo znanych wierszy Wisławy Szymborskiej, „Wielka liczba”, ma dwie wersje, z których późniejsza, ta opublikowana w książce pod tym samym tytułem, radykalnie różni się od pierwszej. Są to właściwie dwa różne wiersze na ten sam

temat, zaledwie dwie, może trzy linijki są wspólne.

Wiersz „Wielka liczba” jest dla mnie bardzo ważny także z powodów osobistych: jego pierwszą wersję Wisława Szymborska na moją prośbę dała do druku w „Studencie”, kiedy w 1972 r. prowadziłem tam dział literacki. Było to wielkie wydarzenie, zwłaszcza że do tego samego numeru zechciał też dać swój wiersz Zbigniew Herbert.

Jak Pan zdobył te wiersze? Po prostu poszedł do nich i poprosił?

„Student” był dwutygodnikiem, który ukazywał się w Krakowie na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Było to przebojowe pismo Nowej Fali. Kiedy zacząłem w nim pracować – trwało to zresztą krótko – martwiło mnie, że to buntownicze pismo jest tak jednostronne, prezentuje tylko młode pokolenie poetów. A mnie bardzo zależało na tym, żeby pokazać, że poezja nie zaczyna się i nie kończy na pokoleniu ’68, tylko że po prostu są ważni poeci różnych generacji. Poszedłem więc do redakcji „Życia Literackiego”, w którym Wisława Szymborska prowadziła wówczas dział poezji, i poprosiłem ją, żeby zechciała powierzyć mi jakiś swój wiersz. Napisałem też do Zbigniewa Herberta. I oboje odpowiedzieli, przysyłając swoje utwory – Wisława Szymborska z takim zastrzeżeniem, że nie chciałaby zabierać miejsca młodym poetom.

Muszę wyznać, że Wisławę Szymborską ogromnie podziwiałem od samego początku, to znaczy od momentu, kiedy przeczytałem po raz pierwszy jej wiersze. Ze Zbigniewem Herbertem było inaczej, bo najpierw traktowałem go jako poetę neoklasycystycznego, w takiej szufladce go wtedy umieszczano. I potrzebowałem trochę czasu, żeby zauważyć, że to jest zupełnie inny poeta.

W Pana wierszach stosunkowo często pojawiają się takie obrazy, które sugerują, że poezja jest czymś bardzo kruchym, delikatnym. Czy kruchość to immanentna cecha poezji?

Nie wiem. Mnie się wydaje, że poezja przede wszystkim próbuje ocalić to, co jest kruche w świecie. Bo poezja jako taka nie jest krucha, w tym sensie, że ona jest faktem: jak wiersz jest napisany, to on już jest i tego nic nie zniszczy po prostu. Na-

Wierzę

Annie i Stanisławowi Barańczakom

Powiem prawdę: czasami wierzę
w istnienie tamtego świata, wierzę w zjawy,
wampiry, wysysające mózgi i krew,
zresztą, może bardziej się boję niż wierzę
(co na jedno wychodzi w naszych czasach: bać się – wierzyć).
Staram się wtedy nie siadać plecami do drzwi,
drzwi żyją własnym życiem, powiem więcej:
stałem się przesądny, już nie mówię głośno o swych marzeniach,
nadziejach, aby ich nie spłoszyć, unikam
wypowiadania słów, które potrafią się zemścić,
wykreślam je ze starych wierszy (zresztą,
nie tylko ja), nie ukrywam jednak,
że niekiedy zapominam o środkach ostrożności,
piję wódkę, kocham kobietę, udaję się w podróż, myślę
telepatycznie, odwracam plecami
do drzwi – które żyją własnym życiem
i prędzej czy później się otworzą,
i prędzej czy później dotknie mnie
ta lodowata ręka, może tylko da mi znak
a może bez ostrzeżenia zaciśnie się na moim sercu,
powiem prawdę: nie wierzę, aby to była ręka
Osipa Mandelsztama ani Georga Trakla,
ani żadnego innego poety, który niezależnie od ludzkiej
czy nieludzkiej śmierci, jaka go spotkała,
ciągle jeszcze mówi do nas swoimi żywymi słowami.

Rue de Poitiers

Późne popołudnie, prószę śnieg.
Nieopodal strajkującego Musée d'Orsay
widać szary tobołek na skraju chodnika:
zwinięty w kłębek kloszard (albo uciekinier
z jakiegoś ogarniętego wojną domową kraju)
nadal leży na kracie, okutany w kocę,
śniwórz z odzysku i prawo do życia.
Wczoraj miał jeszcze włączony tranzystor.
Dziś stygnące monety układają się na gazecie
w konstelacje niebyłych planet i księżyców.

Język, to dzikie mięso

Panu Zbigniewowi Herbertowi i Panu Cogito

Język, to dzikie mięso, które rośnie w ranie,
w otwartej ranie ust, żywiących się skłamaną prawdą,
język, to obnażone serce, nagie ostrze,
które jest bezbronne, ten knebel, który dławi
powstania słów, to zwierzę osławiane
z ludzkimi zębami, to nieludzkie, co rośnie w nas
i nas przerasta, ta czerwona flaga, którą wypływamy
razem z krwią, to rozdwojone, co otacza, to
prawdziwe kłamstwo, które mamy,

to dziecko, które ucząc się prawdy, prawdziwie kłamie

Wiersze wybrał Ryszard Krynicki

wet gdyby spaliły się wszystkie książki, zawsze
z tego, co zostało napisane, coś ocaleje. A to, co
jest kruche w świecie, nie zawsze zostaje dostrze-
żone i zapisane. No więc próbuje...

Dlatego jest mi tak bliska poezja Dalekiego
Wschodu, zwłaszcza stara poezja chińska i stara
poezja japońska, gdzie w wierszach ta kruchość
świata, jego tymczasowość zostaje jakoś oca-
lona, a w każdym razie wypowiedziana. Wypo-
wiedziana w podwójnym tego słowa sensie, bo
przecież dawne wiersze były przede wszystkim
wierszami mówionymi.

**Z kolei u poetów i poetek takich jak
Nelly Sachs czy Paul Celan, których Pan
tłumaczy, ta myśl o kruchości odsyła
nas do ludzi pozbawionych głosu, ofiar
Zagłady. Chodzi o to, że poezja musi coś
powiedzieć – przed Bogiem, światem,
a może tylko przed samą sobą – w imieniu
tych, którzy nie zdążyli powiedzieć nic,
bo ich zamordowano.**

Tak.

Zamyślił się Pan.

Bo chciałem jakoś odpowiedzieć panu, ale...

...tego się właściwie nie da powiedzieć.

Nie da się. Tak.

**Dochodzimy do miejsca, w którym piszący
czuje, jak bardzo jest bezradny, jak
bezzadne jest słowo?**

A równocześnie jednak się staramy. Staramy
się. Mówię tutaj w liczbie mnogiej, bo zdarza się,
że komuś udaje się nagle wyrazić to, co wyda-
wało się niewyrażalne.

**Kiedyś powiedział mi Pan, że cała poezja
jest tłumaczeniem z tajemniczego języka,
którego nie znamy. A w każdym razie nie
znamy go w pełni. Adama Zagajewskiego
zapytano raz, czy jest poetą religijnym.
I on odpowiedział: tak, jestem poetą
religijnym, a ściślej – jestem poetą
religijnej niewiedzy. Czy Pan też mógłby
tak o sobie powiedzieć?**

Raczej nie powiedziałbym, że jestem poetą re-
ligijnym. A jeśli już, to nie do końca wiem, ja-
kiego wyznania. Natomiast myślę, że poezja, czy
chce, czy nie, musi próbować odpowiadać na te
pytania, które stawia sobie religia. Nieprzypad-
kowo w Biblii jest tak wiele poezji. Poezja jest
językiem, który potrafi – przynajmniej czasami
– dotknąć tajemnicy. Dlatego blisko jej do re-
ligii, ale też do filozofii, zwłaszcza tej najwcze-
śniej. Jak się czyta starych greckich filozo-
fów, na przykład ze szkoły jońskiej albo Empe-
doklesa, to przecież jest to język poezji. Skądinąd



→ czytając czy słuchając współczesnych fizyków często mam wrażenie, że słyszę Empedoklesa albo któregoś z Jończyków. Naprawdę tak jest.

Z eseistycznych książek Zagajewskiego wynika, że dla niego to był także bardzo ważny temat. On miał silne poczucie, że język wyłącznie dyskursywny jest wobec tajemnicy za słaby, omija to, co jest istotą sprawy. Czy zdarzało się Wam o tym rozmawiać? Czy poeci w ogóle na takie tematy rozmawiają ze sobą inaczej niż tylko wierszami?

Jeżeli tak, to rzadko. Bo jest coś takiego, co Peiper nazywał „wstydem poetyckim”. Ja w każdym razie odczuwam to bardzo mocno. Prawdziwa rozmowa poetów rzeczywiście toczy się w wierszach.

Różnica między Adamem a mną jest taka, że on studiował filozofię, a ja nie, i czytam ją po amatorsku. Nawiasem mówiąc, to właśnie jemu zawdzięczam pracę w „Studencie”. Poznaliśmy się w 1969 r. na zjeździe młodych pisarzy w Kielcach. Adam był wtedy bardzo aktywny, działał w krakowskiej grupie Teraz, która organizowała rozmaite wydarzenia. I w jakiś czas później zaprosił mnie na spotkanie poetyckie do Krakowa. Co ciekawe, odbywało się ono w Klubie Ateistów i Wolnomyślicieli... A w 1971 r. spotkałem się z nim w Katowicach. Mieszkałem wtedy na Górnym Śląsku, nie miałem stałej pracy. I Adam powiedział: „Co się będziesz tutaj męczył, przyjedź do Krakowa”. I tak dostałem etat w redakcji.

Co to jest przyjaźń poetycka? Czy to po prostu przyjaźń ludzi, którzy piszą wiersze, czy coś więcej, jakieś głębsze poczucie wspólnoty, uczestniczenia we wspólnym poszukiwaniu?

Myślę, że i to, i to. Chociaż to poczucie wspólnoty, o którym pan mówi, zdarza się rzadziej, nawet wśród poetów, którzy się ze sobą przyjaźnią. Ale się zdarza. A jednocześnie w naszym przypadku – myślę o Adamie, ale też moim najbliższym wówczas przyjaciolem, Stanisławie Barańczaku – było to także poczucie wspólnoty pokoleniowej, nawet jeśli ja byłem od nich troszkę starszy, bo urodziłem się jeszcze w czasie wojny. Muszę powiedzieć, że dla mnie to poczucie przynależności do pewnego pokolenia wciąż jest bardzo żywe.

I kiedy przyjaciele zaczynają odchodzić, to...

Proszę mnie o to nie pytać.

Barańczak, Zagajewski to są nazwiska, które mają zapewnione miejsce w historii literatury polskiej. Myślę, że trwałe.

Ale Panu zdarza się przywoływać w swojej twórczości nazwiska takich poetek czy poetów, o których pamięta już mało kto i trzeba się o nich upominać, bo znikają. Napisał Pan przejmujące wiersze o Abrahamie Suckewerze, wielkim poecie tworzącym w jidysz, czy o Jürgenie Fuchsie, niemieckim poecie i opozycjoniście, którego nazwisko dziś w Polsce mało komu coś by powiedziało. Ale jest też wiersz o Barbarze Sadowskiej, o której ostatnio nieco więcej się mówi w związku z książką i filmem „Żeby nie było śladów”, matce Grzegorza Przemyka. Tyle że nie pamięta się o niej jako poetce.

W tym wierszu, o którym pan wspomina, opisałem rzeczywiste spotkanie w kościele dominikanów w Poznaniu. Tego dnia ktoś zadzwonił do drzwi naszego mieszkania. Nie było telefonów, nie byliśmy z nikim umówieni, myśleliśmy z Krystyną, że to kolejna rewizja. Otwieramy drzwi, a tam Basia. I w czasie tego spotkania w kościele rzeczywiście przez cały czas obok Basi stało puste krzesło.

Staram się przypominać tych, o których się zapomina, nie tylko zresztą poetów. Jedną z takich postaci jest na przykład Walerian Łukasiński. Nie udało mi się napisać o nim wiersza i pewnie już się nie uda, ale uważam, że była to jedna z najważniejszych postaci w polskiej historii.

A może Pan powiedzieć dlaczego?

Głównie ze względu na daremną ofiarę, którą złożył dla tego potwora, jakim jest Polska. To w jego historii jest dla mnie najbardziej wstrząsające: że powstańcy listopadowi o nim zapomnieli, nie próbowali go uwolnić. A przecież mogli to zrobić. Ta daremnna ofiara to jest coś, o czym nie mogę przestać myśleć.

© Rozmawiał WOJCIECH BONOWICZ

Wywiad jest preredagowanym i nieco zmienionym zapisem rozmowy, która odbyła się we Wrocławiu w ramach Bruno Schulz. Festiwalu.



Przypadek Lewisa Carrolla

URSZULA PIECEK,
MACIEJ TOPOLSKI

Jak interpretować sztukę, która w czasie powstania nie budziła kontrowersji, a raczej wpisywała się w panujące konwenanse? Czy dzisiaj można jej postawić zarzuty najcięższe?

WCIEPLY DZIEŃ 4 LIPCA 1862 R. trzydziestoletni Charles Lutwidge Dodgson, fotograf amator



Wystawa „Alice: Curiouser and Curiouser”.
Victoria and Albert Museum,
Londyn, 18 maja 2021 r.

i wykładowca matematyki w Christ Church w Oksfordzie, spędzał popołudnie w łódce na rzece Izyda, zwanej też Tamizą, z dziesięcioletnią Alice Liddell oraz jej siostrami: starszą Loriną i młodszą Edith. Mieli koszyki piknikowe, śpiewali piosenki. W pewnym momencie dziewczynki zorganizowały konkurs, którego zwyciężczyni miała zasiąść u boku „wielkiego matematyka”. Potem poprosiły o opowiadanie bajki, która umili im czas. Wtedy Dodgson zaczął snuć opowieść o Alicji i jej przygodach.

Robinson Duckworth, przyjaciel młodego wykładowcy, który im towarzyszył, tak wspomina tamto „złociste popołudnie”: „Ja wiosłowałem, on rozdawał ukłony podczas słynnej podróży do Godstow, kiedy to trzy panny Liddell towarzyszyły nam jako pasażerki, a historia tworzona była i opowiadana nad moim ramieniem ku radości Alice Liddell pełniącej funkcję sternika naszej łajby. Pamiętam, że odwróciłem się i zapytałem: »Dodgson, czy ty teraz improwizujesz?« A on odparł: »Tak, wymyślam wszystko na bieżąco»”.

Na zakończenie dnia, podczas powrotu do domu, Alice zapytała Dodgsona, czy nie zechciałby spisać dla niej swojej opowieści, ten obiecał, że spróbuje. W 1864 r. matematyk sprezentował dziewczynce manuskrypt zawierający jego rysunki i fotografie, a zatytułowany „Podziemne Przygody Alicji” („Alice’s Adventures Under Ground”). W 1865 r. – po wielu zmianach, wydana za własne pieniądze w wydawnictwie Macmillan – opowieść ta ukazała się pod tytułem „Przygody Alicji w Krainie Czarów” („Alice’s Adventure in Wonderland”) i stała się najsłynniejszą na świecie XIX-wieczną książką dla dzieci, przetłumaczoną na prawie dwieście języków, często wystawianą na deskach teatralnych i ekranizowaną. Jej autorem był młody logik z Oksfordu, diakon Kościoła anglikańskiego, znany odtąd pod pseudonimem Lewis Carroll.

Fotografie pisarza

Charles Lutwidge Dodgson rozpoczął swoją przygodę z fotografią w marcu 1856 r., miesiąc po tym, jak opublikował pierwsze teksty literackie pod pseudonimem Lewis Carroll, a zakończył

w 1880 r., kiedy technika bromo-żelatynowa wywoływania zdjęć zastąpiła technikę kolodionową, którą matematyk doskonalił długie lata. Dla Dodgsona fotografia nie była wyłącznie pasją (niezwykle wówczas drogą), ale pełnoprawnym zajęciem równoległe z literaturą i matematyką (opublikował zresztą książkę zatytułowaną „Pillow Problems” zawierającą siedemdziesiąt dwie zagadki matematyczne obmyślane – jak sugerował podtytuł – w trakcie bezsennych godzin).

Dodgson celowo przyjął status amatora fotografa, mimo że różnica między amatorem a profesjonalistą nie była klarowna na wczesnym etapie historii fotografii, kiedy funkcjonowała ona najczęściej jako medium „towarzyszące” malarstwu. Oksfordzki fotograf podejmował próby sprzedaży swoich zdjęć – jak na przykład tych przedstawiających aktora Quintina Twissa czy szkielety z Christ Church Anatomy School – proponował również sprzedaż odbitek przyjaciółom. Mimo to wolał uznawać się za amatora, gdyż „tak łatwiej było mu osiągnąć zamierzone cele fotograficzne”.

Dodgson wykonał około trzech tysięcy fotografii, z czego około połowa przedstawia dzieci, trzydzieści – dzieci nagie lub częściowo rozebrane. Tak jak na zdjęciu z 1858 r. zatytułowanym „Żebracze dziecko” („The Beggar-Child”), uznawanym za jedno z najbardziej rozpoznawalnych wiktoriańskich obrazów dziecka, szeroko komentowanym wśród oksfordzkich elit, którym autor „Alicji w Krainie Czarów” zdecydował się je pokazać. Ukazuje sześciolletnią ciemnowłosą Alice Liddell stojącą pod kamienną ścianą, po której pną się geranium. Alice lewą stopę opiera o krawędź klombu miażdżąc liście, łodygi i kwiaty nasturcji, a palce prawej stopy wbija w ułożoną przed klombem matę. Ciało dziewczynki wydaje się napięte, lekko skrzycone. Jedną dłoń opiera na biodrze, drugą wyciąga w geście żębrania. Postrzępiona tkanina ma imitować łachmany żębracza: lewy rękaw jest rozdarty, materiał opada z ramienia i dekoltu, odsłaniając sutek.



Lewis Carroll z Louisą MacDonal i jej czwórką dzieci w ogrodzie, 1882 r.



Alice Liddell, 1858 r.

Twórczość pod znakiem zapytania

→ W 1932 r., w setną rocznicę urodzin Charlesa Lutwidge'a Dodgsona, osiemdziesięcioletnia wówczas Alice Liddell wraz ze swoim synem i siostrą przybyła do Nowego Jorku, żeby odebrać doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Columbia za to, że „z dziewczęcym wdziękiem obudziła fantazję genialnego matematyka zaznajomionego z wymagającą teorią liczb urojonych i pomogła mu w pełni zrozumieć dziecięce serce”. Jak podaje Jenny Woolf, autorka książki „The Mystery of Lewis Carroll”, nieformalna grupa wielbicieli autora, „Alicji w Krainie Czarów” nazwała go wtedy „wielkim miłośnikiem dzieci”, a także zebrała dzisiejszą równowartość ośmiuset tysięcy dolarów na stworzenie oddziału dziecięcego jego imienia w szpitalu St. Mary w Londynie. Był to zapewne ostatni moment, w którym tak niewinnie patrzono na dorobek Lewisa Carrolla.

Pierwszą książką, którą czytał swojemu synowi Dmitriemu na dobranoc Vladimir Nabokov, była opowieść o przygodach Alicji. W 1923 r. ówczesny absolwent Cambridge, biedny dwudziestotrzyletni pisarz, mieszkający w kolonii rosyjskiej w Berlinie, otrzymał zlecenie przetłumaczenia książki Lewisa Carrolla – jego przekład na język rosyjski, opublikowany jako „Ania w stronie cudzied”, okazał się najlepszym tłumaczeniem dzieł oksfordzkiego wykładowcy matematyki. Wiele lat później, w grudniu 1966 r., amerykański „Vogue” opubli-

kował przeprowadzony przez Penelope Gilliatt wywiad z Nabokovem, w którym rosyjski pisarz przyznał: „Od zawsze mówiłem o nim Lewis Carroll Carroll, ponieważ on był pierwszym Humbertem Humbertem. Widziałam jego fotografie małych dziewczynek? Żeby spotykać się z dziećmi, umawiał się z ciotkami i matkami. Nigdy nie został przyłapany na gorącym uczynku, tylko jedna dziewczynka – będąc już dużo starsza – napisała, co z nią wyprawiał”. Humbert Humbert jest głównym bohaterem słynnej „Lolity” Nabokova, pedofilem, który za obiekt swojej fascynacji obiera nimfettę, Dolores Haze.

Tak też przedstawił Lewisa Carrolla Anthony Goldschmidt, który w 1933 r. opublikował esej – wyraźnie zainspirowany teoriami Sigmunda Freuda – zatytułowany „Alice in Wonderland Psycho-Analysed”. Autor tego tekstu sugeruje, że Carroll tłumił pożądanie seksualne względem Alicji, a upadek dziewczynki do króliczej nory stanowi „najbardziej oczywisty symbol penetracji”. Mimo że Goldschmidt nie był psychoanalitykiem, lecz dobrze zapowiadającym się pisarzem, jego twierdzenia zostały przejęte przez badaczy zajmujących się twórczością Carrolla. Od tego momentu literacki i fotograficzny dorobek Charlesa Dodgsona stanął pod znakiem zapytania.

Kłopotliwe dziedzictwo

Lewis Carroll nawiązywał niebezpieczną więź z dziećmi. Uwielbiał spędzać z nimi czas, zwłaszcza z dziewczynkami. Prze-

stawał się nimi interesować po okresie pokwitania, uważając je za nieatrakcyjne. Jeśli podejrzewał, że dziewczynka, z którą się zaprzyjaźniał, mogła paść ofiarą wykorzystywania seksualnego, to jej los postrzegał jako tysiącokrotnie gorszy od śmierci.

Według dostępnych dziś źródeł Dodgson nie zmuszał swoich modelek do pozowania nago, uznając takie zachowanie za „przestępstwo wobec Boga”. Katarzyna Przyłuska-Urbanowicz w książce „Pupilla” opisuje Lewisa Carrolla jako pedofila-celibatariusza, czyli osobę zaburzoną, ale niewyrządzającą dziecku krzywdy. Określa się go również jako „dobrodusznego despotę”, gdyż mimo wszystko sprawował nad spotkanymi dziećmi kontrolę (zachowały się listy Carrolla, w których opisuje, co grozi dziewczynkom za niewłaściwe zachowanie, posługiwał się wtedy przykładem bajki o liskach, które zamiast śniadania dostawały chłostę).

Nie do końca wiadomo, o kim mówił w wywiadzie dla „Vogue’a” Vladimir Nabokov, większość zachowanych dokumentów świadczy raczej o tym, że dzieci uwielbiały spędzać czas w pracowni Dodgsona, przede wszystkim w ciemni; z niektórymi dziecięcymi przyjaciółkami nie zerwał kontaktu do śmierci. Autor „Lolity” być może powoływał się na pogłoski mówiące, że Carroll chciał poślubić jedenastoletnią Alice Liddell (do zamążpójścia przygotowywano wówczas dwunastoletki,

gdyż od trzynastego roku życia zgodnie z prawem mogły wchodzić w relacje intymne). Mówiąc w skrócie: obecny stan badań nad twórczością Lewisa Carrolla, liczne biografie pisarza, a także wiedza z zakresu zaburzeń seksualnych nie pozostawiają złudzeń – autor „Alicji w Krainie Czarów” był pedofilem. Pewne jest również, że jego fotografie przedstawiające nagie i częściowo rozebrane dzieci nie mogłyby dzisiaj powstać.

Biograficzny przypis o skłonnościach Lewisa Carrolla służy do postawienia pytania o sposoby postrzegania jego twórczości literackiej i fotograficznej dziś, gdy problem pedofilii jest niezwykle aktualny, ale badania psychologiczne i psychiatryczne nad tym zaburzeniem – mogące zapobiegać krzywdzie wyrządzanej dzieciom – są nadal nieliczne. Jak interpretować sztukę, która w czasie powstania nie budziła kontrowersji, a raczej idealnie wpisywała się w panujące konwenanse? Douglas R. Nickel w książce „Dreaming in Pictures: The Photography of Lewis Carroll” twierdzi, że życie i twórczość autora opowieści o Alicji – działania na polu pisarskim, fotograficznym, ale także społecznym – widziane przez pryzmat współczesności jawią się jako podejrzane, zniekształcone przez pośmiertne diagnozy, które sprowadzają „jego biografie do dewiacji, zaś jego twórczość do symptomów”. Jednocześnie, jak dodaje, dla człowieka z ulicy „szczególnie zaniepokojonego (z istotnych przyczyn) bezpieczeństwem dzieci, Carroll może uchodzić za drapieżnika, wilka w skórze owcy, być może mniej odważnego i samoświadomego Humberta Humberta”.

Kwestię fotografii dziecięcej i rozwijanej przez Dodgsona idei dzieciństwa podejmuje Diane Waggoner w książce „Lewis Carroll’s Photography and Modern Childhood”, która ukazała się nakładem Princeton University Press w 2020 r. Ta pozycja niemal od razu została uznana przez amerykańskich krytyków za najlepszą książkę poświęconą fotografiom Lewisa Carrolla. We wstępie autorka nie stroni od rozważań na temat skłonności Dodgsona, rekonstruuje stanowiska jego biografów i biografek, ukazuje kontrowersje związane z tematem. Jej książka to jednak przede wszystkim laboratorium wizualnych przedstawień i kontekstów, zdjęć rozpatrywanych na tle epoki, prezentacji historycznych odniesień, ale i zróżnicowanego dziedzictwa. Waggo-

Celowo przyjął status
fotografa amatora,
mimo że różnica między
amatorem a profesjonalistą
nie była klarowna
na wczesnym etapie
historii fotografii.
Wolał uznawać się
za amatora, gdyż
**„tak łatwiej było mu
osiągnąć zamierzone
cele fotograficzne”.**

ner nie tylko opisuje zdjęcia drzemiących dziewczynek (między innymi siostr Liddell), ale i sposoby przedstawiania chłopców i młodych mężczyzn. Wiele miejsca poświęca również rozumieniu nagości dziecięcej na zdjęciach z epoki.

Najciekawszy rozdział pracy Waggoner dotyczy związku fotografii z teatrem zawodowym i amatorskim, który od lat 70. XIX wieku zyskiwał na popularności. Podobnie do swoich rówieśników: Williama Lake Price’a, Oscara Gustave’a Rejlandera, Julii Margaret Cameron (Virginia Woolf poświęciła jej piękny esej), Lady Clementyny Hawarden i Henry’ego Peach Robinsona, Dodgson zaadaptował do tworzenia fotografii praktyki sceniczne, które miały nadawać zdjęciom „prawdziwości”. Teatr postrzegał jako zbiór konwencji, przede wszystkim jednak jako metaforę fotografii.

Na pytanie, co zrobić z tym kłopotliwym dziedzictwem, Diane Waggoner odpowiada zatem nie wprost: należy uznać i ujawnić kontrowersje, a twórczości przyglądać się w szerokim kontekście. W tej kwestii autorka „Lewis Carroll’s Photography” różni się znacznie od Edwarda Wakelunga i jego naiwnej, jawnie manipulowanej biografii „Lewis Carroll: The Man and His Circle” przygotowanej z okazji 160. rocznicy wydania „Alicji w Krainie Czarów”. Wakeling skomponował swoją książkę z relacji przyjaciół oraz członków rodziny oksfordzkiego matematyka i fotografa, te miały oczyścić go z zarzutów. Nie można również stwier-

dzić, jak uczynił to Donald Thomas w wydanej w 1996 r. biografii „Lewis Carroll. Po obu stronach lustra” (wydanie polskie z 2007 r.), że autor „Alicji” nie był pedofilem, ponieważ do końca XIX wieku nie istniało takie pojęcie, a *pedophilia* oznaczała wyłącznie miłość do dzieci.

Pytania dotyczące tego, czy i jak dzisiaj czytać „Alicję w Krainie Czarów”, a także czy i jak oglądać zdjęcia autorstwa Dodgsona, można sprowadzić do porównań z Michaeliem Jacksonem czy Woodym Allenem oraz rewizji ich twórczości. Różnice – poza kontekstem historycznym – są zasadnicze. Choć Dodgson miał skłonności pedofilskie, nie dopuszczał się krzywdzenia dzieci, nie wykorzystywał swojej pozycji, żeby unieważnić ich głos, nie wmawiał również światu, że „dziecko zmyśla”. Idąc dalej, należy zapytać o przykłady historycznej cenzury w rozmaitych tekstach kultury – co na przykład zrobić ze scenami pornografii dziecięcej w „Blażanym bębenku”, filmie z 1979 r. w reżyserii Volkera Schlöndorffa? Potępić i odrzucić tę twórczość? Zapomnieć o przygodach „Alicji w Krainie Czarów”?

Jak pokazuje trwająca do końca 2021 r. w Victoria and Albert Museum w Londynie wystawa „Alice: Curiouser and Curiouser”, nie jesteśmy w stanie zapomnieć o Alicji. Twórcy ekspozycji nie tyle koncentrują się na postaci autora, co zwracają uwagę na postać małej jasnowłosej dziewczynki. Prezentowana w londyńskim muzeum wystawa ukazuje wpływ, jaki wywierała opowieść o Alicji na artystów działających w różnorodnych dziedzinach sztuki przez ponad 150 lat. Od obrazu Salvadora Dalego i słownych gier Jamesa Joyce’a, przez psychodeliczny projekt plakatu autorstwa Josepha McHugh i projekty ubrań Vivienne Westwood, po przedstawienie wystawiane przez sławny The Royal Ballet oraz kalendarz Pirelli z wykonaną przez Tima Walkera fotografią czarnoskórej Alicji.

Ekspozycja w Victoria and Albert Museum jest dowodem na to, że opowieść Lewisa Carrolla to dziś samodzielny, funkcjonujący poza autorem, fenomen kulturowy, jej bohaterka zaś – wzorowana na asertywnej dziewczynce, która zdolna była zmusić „wielkiego matematyka” do spisania jej niezwykłych doświadczeń – stanowi sprawczą i inspirującą postać zbiorowej wyobraźni.

© URSZULA PIECZEK, MACIEJ TOPOLSKI

Kto zabił Monicę Lewinsky

JAKUB MAJMUREK

Ta historia była zapowiedzią nowej sfery publicznej, opartej na ciągłym przepływie informacji i dezinformacji w sieci, rozkwitających w niej mediów niezwiązanych regułami, etosem i standardami tradycyjnej prasy i telewizji.

CLINTON PODEJRZANY O NAKŁANIANIE asystentki do kłamstwa; Starr bada, czy prezydent powiedział kobiecie, by zaprzeczyła, że mieli romans”. 21 stycznia 1998 r. miliony Amerykanów zobaczyły podobne nagłówki. Kobieta była nikomu jeszcze nieznana Monica Lewinsky. Kontrowersje wokół jej relacji z prezydentem będą przez ponad rok dominować nad amerykańskim życiem politycznym.

W tym czasie prezydent zaprzeczy, by łączyły go intymne relacje z Lewinsky, po czym przyzna, że wprowadził opinię publiczną w błąd. Zespół specjalnego prokuratora Kennetha Starra opublikuje raport ujawniający najbardziej intymne szczegóły relacji prezydenta i Lewinsky. Izba Reprezentantów postawi Clintona w stan oskarżenia – tym właśnie jest impeachment – jako drugiego prezydenta w amerykańskiej historii po Andrew Johnsonie w 1868 r. Senat uniewinni go od wszelkich zarzutów.

Od złej inwestycji do skandalu

Te wydarzenia przypominają trzeci sezon serialu „American Crime Story”, emitowany właśnie na polskim Canal+. Splot wydarzeń, których finałem było postawienie Clintona w stan oskarżenia, był na tyle skomplikowany, że opowieść trzeba zacząć znacznie wcześniej niż w styczniu 1998 r. Ken Gormley rozpoczyna poświęconą tej sprawie książkę „The Death of American Virtue: Clinton vs. Starr” (2010) od wydarzeń z końca lat 70. Wtedy Clintonowie dokonują nieszczęśliwej inwestycji, która nie tylko przyniesie im finansowe straty, ale także będzie dla nich politycznym problemem aż do końca prezydentury.

Wszystko za sprawą Jima McDougala, dewelopera z politycznymi ambicjami. McDougal i jego żona wspólnie z Clintonami pożyczili 203 tysiące dolarów na zakup 93 hektarów ziemi nad rzeką White w Arkansas – majątek w posiadanie objęła spółka Whitewater, powołana przez oba małżeństwa. McDougal liczył, że zdoła sprzedać ziemię jako działki na domki letniskowe rosnącej wyższej klasie średniej ze stolicy stanu, Little Rock. Projekt nie miał szans się powieść – ziemia była po złej stronie rzeki: by dojechać do działek z Little Rock albo dostać się z nich do najbliższego sklepu, trzeba było sporo się najeździć. Ostatecznie pomysł biznesowy na Whitewater został wykończony przez wzrost stóp procentowych w latach 80. McDougal inwestował w kolejne przedsięwzięcia. Nie tylko w nieruchomości, ale także w niewielkie, lokalne instytucje finansowe. Zarządzanie nimi też nie szło mu najlepiej – by pokrywać straty, angażował się w działania coraz bardziej ryzykowne, wątpliwe, a wreszcie bezprawne.

Clintonowie nie mieli nic wspólnego z innymi niż Whitewater przedsięwzięciami McDougala, na biznesowej współpracy z nim stracili pieniądze. Nie wycofali jednak swoich udziałów z Whitewater aż do lat 90. Gdy McDougalem i jego wspólnikami zainteresowały się organy ścigania, ci zaczęli wymieniać nazwisko Clintona. Przedsiębiorca Jim Dale twierdził na przykład, że Clinton jako gubernator Arkansas naciskał na niego, by udzielił pożyczki Susan McDougal. Sprawa wypłynęła w trakcie kampanii wyborczej w 1992 r., nie zaszkodziła jednak Clintonowi, wbrew sondażom pokonał George’a H. Busha. Wydawało się, że sprawa jest zamknięta.

Wszystko zmienia samobójstwo zastępcy prawnika Białego Domu, Vince’a Foster’a, w lecie 1993 r. W jego gabinecie miały znajdować się dokumenty związane z Whitewater, po śmierci Foster’a przekazane osobistym prawnikom Clintonów. Republikanie domagają się wyjaśnień. Kwitną teorie spiskowe, głoszące, że Foster nie popełnił samobójstwa, tylko został zamordowany, bo zbyt dużo wiedział o ciemnych interesach Clintonów w Arkansas.

Prawica naciska na niezależne śledztwo. W tym celu ustanowiony zostaje urząd specjalnego prokuratora, który obejmuje Kenneth Starr. Po prawie dwóch latach śledztwa i wydaniu kilkudziesięciu milionów dolarów, zespół śledczych Starra nie znalazł niczego, co obciążałoby samego prezydenta i jego małżonkę. Pewnego dnia do śledczych przychodzi jednak kobieta, twierdząca, że dysponuje taśmami dowodzącymi, iż prezydent nakłaniał byłą pracownicę Białego Domu, by w oświadczeniu pod przysięgą zaprzeczyła ich romansowi, obiecując w zamian pomoc w znalezieniu lepszej pracy.

Wszystko w związku z cywilnym pozwem, jaki Clintonowi wytoczyła Paula Jones – była pracownica stanu Arkansas, domagająca się od Clintona odszkodowania za to, że jako gubernator rzekomo obnażył się przed nią i złożył jej seksualną propozycję. Prawnicy Jones dowiedzieli się o relacjach z Lewinsky i chcieli użyć informacji o romansie, by przedstawić Clintona jako osobę ze skłonnością do seksualnego wykorzystywania podwładnych mu służbowo kobiet. Choć sprawa nie miała żadnego związku z Whitewater, uprawnienia, jakie Starr otrzymał, pozwalały mu włączyć ją do swojego śledztwa.

Przedpokoje władzy

Prawnikiem Jones i śledczych Starra o sprawie Lewinsky poinformowała Linda Tripp, asystentka Vince’a Foster’a w Białym Domu. Po jego śmierci została przeniesiona na posadę w Pentagonie. Tam poznała i zaprzyjaźniła się z Lewinsky, która w wyborczym 1996 r. z pracy w Białym Domu także przeniesiona została do Departamentu Obrony.

Narracja serialu skupia się na tych dwóch postaciach – na początku przede wszystkim na Tripp. „New Yorker” napisał, że Sarah Paulson jako Tripp wygląda jak „wcielenie desperacji”. To prawda, ale niecała. Jest pełna desperacji i zgorz-



MATERIAŁ PRASOWY CANAL+

Clive Owen jako Bill Clinton w trzecim sezonie serialu „American Crime Story”

nienia, ale także resentymentu, niespełnionych ambicji i pretensji do ważności. Jest przekonana, że została wielokrotnie skrzywdzona i niedoceniona przez administrację Clintona: choć gdy nowy prezydent obejmował urząd, mimo swoich konserwatywnych poglądów została na posterunku w Białym Domu, znosząc wszystkie dziwactwa nowej władzy i jej „pogardę dla drugiej połowy kraju”. Tripp roi sobie, że padła ofiarą piętrowej intrygi, że trafiła do Pentagonu, bo zbyt dużo wiedziała o Fosterze i Whitewater, że Clintonowie chcą ją uciszyć. Być może najbardziej wściekła jest na to, że tak naprawdę nikt w Białym Domu o niej nie pamięta i się nią nie interesuje. Przyjaźń z Lewinsky, informacje o jej relacjach z Clintonem pozwalają Tripp znów poczuć się ważną. Bez wiedzy przyjaciółki Tripp nagrywa rozmowy telefoniczne z nią, wszystko po to, by zdobyć na taśmie dowody przeciw Clintonowi.

Decyzja o skupieniu się na takiej bohaterce ma daleko idące konsekwencje dla serialu. Widz nie otrzymuje tego, czego się spodziewał: dramatu władzy na najwyższym szczeblu. A przynajmniej nie na początku – postaci z pierwszych stron gazet i ich konflikty w serialowej narracji zaczynają pojawiać się stopniowo. Na początku zamiast gabinetów, gdzie ważą się losy Ameryki i świata, obserwujemy głębokie przedpokoje władzy. Miejsca na co dzień niepokazywane w telewizyjnych relacjach, gdzie w świetle jarzeniówek co-

dzienne trwanie państwa zapewnia anonimowa praca nieodróżnialnych od siebie, zszarżanych od swojej pracy urzędników trzeciego i czwartego garnituru.

Korzenie toksycznych podziałów

Z każdym kolejnym odcinkiem serial stopniowo poszerza pole widzenia, przede wszystkim pokazując narastającą w Ameryce lat 90. toksyczną polaryzację na osi liberałowie–konserwatyści. Clintonowie zawsze tłumaczyli wydarzenia, które doprowadziły do impeachmentu, spiskiem radykalnej prawicy. W ich narracji ultra-konserwatywne grupy interesu, przyzwyczajone w trakcie dwunastu lat rządów Republikanów (1981–1993) do wpływu na Białą Dom, nie mogły pogodzić się z tym, że nagle go utraciły po zwycięstwie Demokracji. Prawica, głosi dalej narracja Clintonów, postanowiła za wszelką cenę zatopić demokratyczną administrację. Zwłaszcza po drugim zwycięstwie Clintona w 1996 r. Gdy nie udało się przy pomocy afery finansowej (Whitewater), sięgnięto po seksualną, byle tylko upokorzyć prezydenta, złamać go i zmusić do dymisji.

Serial nie pokazuje co prawda spisku, widać w nim jednak, jak sprawy Jones i Lewinsky błyskawicznie zostają upolitycznione przez wrogów prezydenta. Jones dostaje pomoc najlepszych konserwatywnych prawników, w wizerunkową opiekę bierze ją aktywistka religijnej prawicy, która zjadła zęby na telewizyjnych debatach w sprawie aborcji. Jeden z wą-

ków serialu przedstawia pracę grupy młodych, prawniczych prawników doradzających zespołowi Jones. Prominentną rolę odgrywa w nim kontrowersyjna, skrajnie prawicowa gwiazda mediów Ann Coulter. To ona jako pierwsza odkrywa w sprawie Jones „polityczne złoto”: trzeba zmusić Clintona do zeznań pod przysięgą, wtedy na pewno skłamię i prawica będzie go miała na widelcu. Tak się też stało: choć prawica polowała na Clintona z nagonką, on sam faktycznie w sprawie Lewinsky mijał się z prawdą, w tym w zeznaniach składanych pod przysięgą.

Historię, która kiedyś budziła wielkie emocje całego świata, oglądamy po tym, gdy Trump został postawiony w stan impeachmentu aż dwukrotnie. Pełne oburzenia deklaracje konserwatystów z końcówki lat 90., przekonujących, że romans Clintona dyskwalifikuje go jako przywódcę Ameryki, brzmią dziś dość komicznie, gdy pamięta się, że siły polityczne domagające się głowy Clintona w ciemno popierały Trumpa. Nie przeszkadzały im rewelacje o tym, że amerykański biznesmen miał mieć seksualne relacje z gwiazdą porno, a przed wyborami zapłacić jej za milczenie.

„ACS” pokazuje końcówkę lat 90. jako epokę, w której podziały, przybierające tak toksyczną postać w ostatnich latach, już rozkładają amerykańską demokrację. Raport Starra był pierwszym ważnym rządowym dokumentem w całości opublikowanym w internecie, to internetowy konserwatywny newsletter „Drudge Report” jako pierwszy ujawnił informacje o relacjach Clintona z Lewinsky. Jego autor, Matt Drudge, pojawia się zresztą na ekranie. Ubrany w kapelusz i prochowiec, widzi siebie jako spadkobiercę legendarnych reporterów z lat 30. rzucających wyzwanie władzy. Tak naprawdę jest jednak zwistunem przyszłości: nowej sfery publicznej, opartej na ciągłym przepływie informacji i dezinformacji w sieci, rozkwitających w niej mediów niezwiązanych regułami, etosem i standardami tradycyjnych prasy i telewizji.

Oddać głos „tej kobiecie”

„ACS: Impeachment” oglądamy nie tylko po Trumpie, ale i po #MeToo. W tym kontekście trudno na sprawę Clinton–Lewinsky patrzeć tak, jak liberałowie patrzyli w latach 90.: jako na inwazję purytańskiej, pełnej hipokryzji prawicy w prywatne relacje dwójki dorosłych ludzi. Serial →

→ bierze pod uwagę tę zmianę perspektywy. Wprowadza ją jednak nie przez publicystyczne deklaracje, ale skupiając się na samej postaci Lewinsky. Młoda, niedoświadczona, pozbawiona potężnych sojuszników kobieta trafia w sam środek wojny między konserwatywną a liberalną Ameryką. Dla tej drugiej jest źródłem kłopotów jej prezydenta. Sam Clinton, którego Lewinsky po wybuchu afery ciągle uważała za bliskiego sobie mężczyznę, nie jest w stanie nawet wymówić publicznie jej imienia, mówi tylko o „tej kobiecie”. Ameryka konserwatywna deklaruje współczucie dla Lewinsky, ale traktuje ją zupełnie instrumentalnie.

W szóstym odcinku widzimy, jak śledczy Starra przy współpracy FBI i Tripp podstępnie zwabiają Lewinsky do centrum handlowego, zamykają się z nią w pokoju hotelowym, grożą wieloma latami więzienia, utrudniają kontakt z prawnikiem i próbują wymusić współpracę mającą pogrozić Clintonowi. Następny odcinek zatytułowany jest „Zabójstwo Moniki Lewinsky” – pokazuje, jak staje się ona „najbardziej znaną kobietą w Ameryce”, obiektem ciągłej uwagi i naglonki w mediach. Jesteśmy ciągle przed erą mediów społecznościowych, Lewinsky nie może z osobami, które chciałyby jej wysłuchać, komunikować się bezpośrednio, np. za pomocą Twittera.

Lewinsky po całej sprawie próbowała bezskutecznie zniknąć i odzyskać anonimowość. Przez jakiś czas mieszkała w Wielkiej Brytanii. Wróciła do działalności publicznej w ostatniej dekadzie, gdy znalazła ważną dla siebie sprawę: walkę z cyberprzemocą i pomoc jej ofiarom. W 2014 r. opublikowała na łamach „Vanity Fair” esej, w którym próbowała odzyskać narrację na temat wydarzeń z 1998 r. „Może was to zdziwi, ale jestem osobą” – pisała w nim.

Wojna na wyniszczenie między Starrem i Clintonem, liberałami i konserwatystami poza przesunięciami na politycznej szachownicy rodziła realne ludzkie tragedie.

© JAKUB MAJMUREK



Kadr z filmu „Kurier Francuski z Liberty, Kansas Evening Sun”

Jajko z niespodzianką

ANITA PIOTROWSKA

Od pierwszych minut nowego filmu Wesa Andersona zalewa nas uroczne gawędziarstwo wyrażone słowem i obrazem.

KTO WIDZIAŁ, TEN WIE: UMIAR NIGDY nie był cnotą Wesa Andersona. Jego filmy, jak choćby „Grand Budapest Hotel” (2014) czy „Kochankowie z Księżyca. Moonrise Kingdom” (2012), przypominają wielopiętrowe, misternie zdobione torty lub precyzyjnie skatalogowane gabinety osobiowości.

Albo, już pod względem narracyjnym, są niczym szkatułkowe opowieści bądź sztuczne ogrody o rozwidlających się ścieżkach. Czy też rozbuchane fantazje i zarazem nostalgiczne wycieczki w sobie tylko wiadomych kierunkach. Podczas seansu widz ma wrażenie, jakby zamknięto go w bombonierce lub w wielopoziomowym domku dla lalek. Najnowszy film, „Kurier Francuski z Liberty, Kansas Evening Sun” swym tasiemcowym polskim tytułem dobrze oddaje tę nadmiarowość i bizarność. Z założenia miał być hołdem złożonym tradycyjnej w formie i liberalnej w treści żurnalistyce „New Yorkera”, w praktyce jest raczej humoreską o tym, jak Amerykanie postrzegają francuską kulturę, ostatecznie zaś kolejnym popisem niepożytej kreatywności tudzież kolekcjonerskiej pasji scenarzysty i reżysera.

Bo kolekcjonowanie, segregowanie i celebrowanie pomysłów czy nazwisk wychodzi mu w kinie najlepiej. Tych ostatnich w „Kurierze” natłok jeszcze większy niż zwykle: Tilda Swinton, Frances McDormand, Benicio del Toro, Adrien Brody, Timothée Chalamet, Léa Seydoux, Mathieu Amalric, Bill Murray, Owen Wilson – wymieniać można by długo. I na dodatek Anjelica Huston mówiąca do nas zza kadru.

Sama idea, by głównymi bohaterami uczynić dziennikarzy francuskiego wydania gazety z Kansas, tworzonych w fikcyjnym miasteczku Ennui-sur-Blasé, ociera się o brawurę. Czas akcji to równie wymyślony wiek XX, tu rozumiany jako złote czasy prasy drukowanej, dostarczającej czytelnikom rozmaitej, ale zawsze solidnie przyrządzonej strawy. Kiedy na atak serca umiera legendarny wydawca (Murray), zabierając ze sobą do grobu przyszłość popularnej gazety, w hołdzie zmarłemu redakcja postanawia wypuścić ostatni pożegnalny numer. Wypełnia go specjalne korespondencje przygotowane przez czołowych dziennikarzy pracujących dla działu kultury, polityki i zmysłów. Właśnie w nich znajdzie ujście mania-

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radio Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM
www.radiokrakow.pl

kalne, rozbite na odrębne rozdziały światowictwo Andersona i ono ostatecznie staje się głównym filmowym tworzywem.

Od pierwszych bowiem minut zalewa nas uroczę gawędziarstwo wyrażone słowem i obrazem. W końcu mieszkańcy dalekiego Liberty muszą otrzymywać informacje z mitycznej francuskiej prowincji podaną w sposób jak najbardziej atrakcyjny. I tak kompetentna J.K.L. Berensen (Swin-ton) zreferuje im historię awangardowego artysty, tworzącego w lokalnym więzieniu o zastrzonym rygorze, lecz robi to nie tylko w formie suchego wykładu o sztuce. Przedstawi również sensacyjną historię romansu psychopatycznego mordercy z więzienną strażniczką, a także jego zawiłych związków z marszandem, też odsiadującym wyrok. Gdzieś pod spodem znalazła się oczywiście satyra na rynek sztuki europejskiej i na jej snobistyczny, w tym przypadku zamorski odbiór.

Francuskość jako ekskluzywny produkt i świetny towar eksportowy? Okazuje się, że Anderson, kulturowy outsider złośliwym dzieckiem podszyty, czerpie garściami z owych wyobrażeń, a jego kokieteria wydaje się tylko trochę bardziej drażniąca niż w takiej na przykład arcyfrancuskiej „Amelii” (2001) Jeana-Pierre’a Jeuneta.

Jeśli mamy opowieść o ikonicznej Francji, to musi się w niej znaleźć także sławetna wiosna 1968 roku, czyli uliczna rewolucja relacjonowana na gorąco przez Lucindę Kremenz (McDormand), zaangażowaną reporterkę w średnim wieku. Obserwując starcia młodzieży z policją, które niczym w jakimś niebyłym skeczu Monty Pythona zamieniają się w pojedynek szachowy, jednocześnie romansuje z młodym rewolucjonistą i – jako specjalistka od polityki – przeredagowuje, prawie nie wychodząc z łóżka, napisany przez niego manifest. Nowelka ta, wzorowana na czarno-białym kinie Nowej Fali, próbuje znaleźć dla ówczesnego konfliktu pokoleń mniej oczywisty wyraz – z zabawnym, acz poło-wicznym efektem.

Jeszcze przekorniej próbuje spojrzeć Anderson na folgowanie przez Francuzów rozkoszom podniebienia. W „Kurierze” pisuje o nich niejaki Roebuck Wright (Jeffrey Wright), postać wzorowana częściowo i, rzecz jasna, z przymrużeniem oka, na afroamerykańskim pisarzu Jamesie Baldwinie. Trafwszy na komisariat w Ennui-sur-Blasé z powodu swego homoseksualizmu, dziennikarz bierze udział w wykwintej kolacji przygotowanej przez posterunkowego mi-

strza kuchni. Kiedy w trakcie uczty zostaje porwany syn inspektora policji, kucharz odegra rolę kluczową w całej intrydze, a my dostajemy telewizyjną relację z tego wydarzenia, okraszoną reklamą pasty do zębów.

Bo Anderson dba, byśmy ani przez sekundę się nie nudzili. Każda z zainscenizowanych opowieści zyskuje dodatkową oprawę w postaci prezentacji multimedialnej, zaangażowanego spektaklu teatralnego, talk show, aż po komiks i animację. Każdy z obrazów raz po raz reklamuje sam siebie, zastygając w stylowych gablotach. Film o ostatnich prawdziwych dziennikarzach na każdym kroku zachęca do tropienia smaczków: ukrytych w nazwiskach bohaterów czy w samej nazwie miasteczka, gdzie raczej nie usłyszysz sugerowanej nudy (*ennui*) i apatii (*blasé*). Estetyka obrazu wyraźnie nawiązuje do kreski i designu, z jakich „New Yorker” słynie już od prawie stu lat, a każdy kostium, rekwizyt, wnętrze zasługuje tutaj na osobnego Oscara. Lista filmowych inspiracji, zwłaszcza z kręgów francuskiej klasyki, doczekała się już osobnych artykułów.

Łatwo zatem narzekać, że ten pięknie przeładowany spektakl rozsypuje się raz po raz na poszczególne historyjki, detale albo czysto literackie kwestie. Jako opowieść o znaczeniu „czwartej władzy” przekonywa zresztą jeszcze mniej. Sentymentalizując epokę, w której klekotały maszyny do pisania, sprawdzało się fakty i starannie cytelowało frazy, równocześnie po swojemu ją trywializuje. Jak na dzieło dedykowane autentycznym, wymienionym z nazwiska tuzom amerykańskiego dziennikarstwa, w szczególności zaś Haroldowi Rossowi, który był współzałożycielem nowojorskiego tygodnika, i jak na film, którego napisom końcowym towarzyszy przegląd wzorowanych na „New Yorkerze” okładek „Kuriera”, co chwila odwraca naszą uwagę od istoty swego szlachetnego zamysłu.

W tym jajku (bo nazywanie go wdmuszką nie wyczerpuje sprawy) znalazło się po prostu zbyt wiele niespodzianek. Może więc lepiej od początku skupić się wyłącznie na nich, a nie na ważkich deklaracjach czy epitafijnych tonach, i całym tym zabawkowym dobrodziejstwem po prostu się cieszyć. ©

KURIER FRANCUSKI Z LIBERTY, KANSAS
EVENING SUN (*The French Dispatch*)

– reż. Wes Anderson. Prod. USA/Niemcy 2021. Dystryb. Disney.

WARTO ZOBACZYĆ

1. American Film Festival



Przegląd, 1-14 XII, *nowehoryzonty.vod*
Wirtualna edycja wrocławskiego festiwalu przynosi przede wszystkim nowości

(fabularne i dokumentalne) niezależnego kina USA. Wśród nich jest m.in. świetne „Odkupienie” Frana Kranza czy zwycięski film „Królowa pracująca” Angeli Washko. Dostępne będą także retrospektywy Jima Jarmuscha czy Idy Lupino.

2. Dobre rady Johna Wilsona II



Serial dokumentalny, reż. John Wilson, USA 2021, HBO GO
Ruszyła właśnie kolejna odsłona błyskotliwych obserwacji

uzbrojonego w kamerę nowojorczyka. Przed nami sześć nowych tutoriali, pomagających przetrwać w wielkim mieście, rojącym się od absurdów i zaskoczeń. Dowiemy się na przykład, jak inwestować w tamtejsze nieruchomości czy jak być znawcą win.

3. Lekcje języka



Komediodramat, reż. Natalie Morales, USA 2021, VoD
W czasach, kiedy komunikatory typu Zoom stały się jedno-

cześnie naszym dobrodziejstwem i przekleństwem, poznajmy historię, która ociepla to zimne medium. Okazuje się, że nawet internetowy kurs języka obcego może wywołać prawdziwe międzyludzkie iskrzenie. W rolach głównych reżyserka oraz współscenarzysta Mark Duplass.

4. Planeta singli. Osiem historii



Serial, reż. zbiorowa, Polska 2021, Premiera CANAL+
Odbijając się od komedii romantycznej pod tym samym tytułem

ośmiu twórców (w tym Aleksandra Terpińska, Julia Kolberger i Kuba Czekaj) opowiadają o miłości w czasach aplikacji randkowych. A wszystko to z udziałem doborowej obsady, w różnych środowiskach czy grupach wiekowych i z różnymi komplikacjami. Na razie dostępne są dwa odcinki, premiera kolejnych co piątek.

JAN

Klata:

Jedyne wyjście



HAŃBA! DZIADY! OBRONA GRANIC LEŻY! „Granice akceptowalnej kontrowersji”, oczywiście w teatrze. Trzeba jasno stwierdzić: to nie jest Mickiewicz, i owemu nie-Mickiewiczowi trzeba dać odpór... ale nie ma komu, prawi patrioci zgnuśniali

w zwodniczym komforcie. Małopolska kuratorka B. Nowak oraz wszechpolski Min. Gliniński zamiast sadzić dziadzie kocały w internecie, powinni dać w jerychońskie trąby, drzeć się wniebogłosy, wszak kultura gorze! Los następnych pokoleń na szali leży. Ćwierkanie nie wystarcza, fejsbunio za was tego nie załatwi. Trzeba działać na scenie dziejów.

Małopolska kuratorka B. Nowak, wszechpolski Min. Gliniński! Larum grają, wieszczka beczeszczą, a wy na koń nie sia-

dacie, za szablę nie chwyacie, Ojczyzny Wszechpolskiej, działwy jej wrażliwej przed artystycznymi miazmatami nie bronicie!? Jakże to? Narodowy Słowacki Teatr w Krakowie zagrożony tęczową zarzą, ledwie dycha, a gwizdków nie słyhać? Hańba! Niemożliwe, karygodne zaniedbanie. Jeśli nie chcecie gwizdać, to chociaż ceremonialną procesją spod Adasia w Rynku przejdźcie, aby na gazonie pod Słowakiem wyrecytować słowa beczeszczanego wieszczka, na głosy, tak jak zostały zapisane. Kluby Gazety Polskiej wiedzą, jak to robić, film instruktażowy znajdziecie w internecie, nie ma co wynajdywać koła, nie zmieniajcie zwycięskiej formuły: recytacja Mickiewiczowskich fraz przed obiektem zawsze działa, a gdy sobie wyobrażę, jak Sen Senatora interpretuje Min. Gliniński... to zasługuje na blockbuster Ewy Stankiewicz, z soundtrackiem Jana Pietrzaka.

Natychmiast po odczytaniu „Dziadów” przed Narodowym Słowackim Teatrem w Krakowie należy go zamknąć na cztery spusty i zrobić muzeum, żeby się zaraza nie rozniosła, dłużej klasztora niż przeora, zaorać na amen, żeby nie było czego zbierać. Ale nie ma tego złego, żeby na dobre nie wyszło, niechaj w Warszawskiej Operze Królewskiego Rodu Glinińskich powstaną nowe, porządne „Dziady”. Napisze je Tomczyk Wojciech, a spolszczy Antoni Libera. ©

Lektor:

Przekraczanie granicy



■ Małgorzata Łukasiewicz
MY, CZYTELNICY
Biblioteka „Więzi”,
Warszawa 2021,
ss. 242

WŚRÓD PRZYJEMNOŚCI z lektur miejsce wyjątkowe zajmuje ekstatyczna radość, jaką mi sprawia czytanie zarówno przekładów Małgorzaty Łukasiewicz, jak i jej esejów o literaturze. Przekłady są kongenialne, w dodatku nasze literackie miłości, z autorem „Czarodziejskiej góry” na czele, często bywają wspólne. Nie ma zaś nic bardziej ekscytującego niż to, kiedy ktoś zaprasza do wnętrza dzieła, które się zna i kocha, a nawet wielokrotnie czytało, po czym otwiera w nim tajemne

drzwi i rozszyfrowuje kolejne ukryte znaczenia, albo wskazuje tropy prowadzące w okolice zupełnie nieoczekiwane. Ogród o rozwidlających się ścieżkach? Tak, ale wędrówki tymi ścieżkami i komparatystyczne dygresje nie są pustym popisem erudycji ani grą przypadkowych skojarzeń. Zawsze służą lepszemu poznaniu i rozumieniu, podkreślają wagę szczegółu, który w literaturze naprawdę wybitnej nigdy nie jest nieistotny. Tłumacz jest

czytelnikiem bodaj najwnikliwszym, stąd partie poświęcone przekładanym przez autorkę Robertowi Walserowi i W.G. Sebaldowi bywają szczególnie odkrywcze. Pamiętamy jednak o tytule całości – „My, czytelnicy” – i o szkicu, z którego ten tytuł (pochodzący od Sebalda) wzięto. „Literatura nieraz występuje w barwach świadectwa – pisze Małgorzata Łukasiewicz – w tym często jedyne, więc beczennego świadectwa zdarzeń, które bez niej znikłyby z pola świadomości. Świadectwo ma wtedy często wymiar moralny (...). Rola świadka przypisywana jest jednak zazwyczaj autorowi, który bierze na siebie nie tylko zrelacjonowanie zdarzeń, ale i wiarygodność relacji. Otóż do tego toposu Sebald wprowadza coś nowego. Po pierwsze, świadkiem ma być czytelnik.

Po drugie, przedmiotem świadectwa ma być nie rzeczywistość, lecz fikcja”. Znika granica dzieląca dwa światy. „Czytelnik mianowany świadkiem zyskuje na godności, ale chyba jeszcze poważniej zmienia się status literatury” – bo świat w niej przedstawiony „zostaje pod względem siły rażenia zrównany ze światem istniejącym wokół nas na co dzień”. To jeszcze na koniec lista pisarzy, którzy są bohaterami esejów autorki. Najpierw Heinrich Heine, ważny krytyk niemieckich romantyków. Oczywiście Thomas Mann. Oczywiście Joseph Roth. Oczywiście wspomniani już Walser i Sebald, a także Kafka – jako czytelnik Walsera. Max Frisch i Elias Canetti. Oraz jedyny w tym gronie pisarz polski – Piotr Paziński. Piękna plejada! ©P

PAWEŁ

Bravo:

Zasada placaka



SZEŚĆ LAT ZOSTAŁO, ŻEBY POLSKA ZDAŹYŁA ocalić grób swego syna, który co prawda niemieckie nosił nazwisko i sporą część życia spędził w Niemczech, ale dla tak zwanej tożsamości narodowej jego pióro uczyniło co najmniej tyle, ile szczerbce,

lance i bagnety bohaterów uczczonych lanym brązem. Naród, który słuchając swojej mowy, nie rozumie, co słyszy, podobny jest pijakowi, widzącemu w lustrze rozmytą, mętną gębę. Jeśli umiemy złapać choćby część tropów w labiryncie języka, który nas jako Polaków określa, to sprawił to między innymi Aleksander Brückner, gigant sławistyki.

Cmentarz w berlińskiej dzielnicy Tempelhof za sześć lat ulegnie likwidacji (czyli stanie się parkiem). Czy któraś z instytucji powołanych, by dbać o cześć i chwałę Suwerena, czyni starania, by tamtejszy grób Brücknera zabezpieczyć albo przenieść? Jeśli tak, to w głębokim ukryciu – ostatni publicznie dostępny trop urywa się osiem lat temu, gdy pisowski poseł interpelował platformerską wówczas władzę względem tego niedbalstwa. Potem role rządzących i opozycji się odwróciły, zrobiło się całkiem cicho.

Śledczy instynkt obudził się we mnie – jakżeby inaczej – przy posiłku. Nie zważając na tłuste palce, wertowałem słownik Brücknera, ciekaw słowa „oładka”. Był bowiem chanukowy wieczór, usmażyłem gorę *latkes*, a nic mi tak dobrze nie pomaga na trawienie, jak świadomość słów, tradycji i zwyczajów, które zjadam. „Ciasto smażone, z małosruskiego” – pisze Brückner, potwierdzając to, co wiedziałem już wcześniej – że słowo to u aszkenazyjskich Żydów wzięło się od rusińskiej *oładzi*. A sam placek? Z czego był zrobiony, zanim biedota wschodniej Europy zaczęła jeść ziemniaki? I w ogóle dlaczego był? Jaki ma związek z upamiętnieniem ponownego poświęcenia Świątyni po zwycięskim powstaniu Judy Machabeusza – kiedy jednodniowy zapas oliwy palił się w lampie aż dni osiem?

Oba pytania się wiążą jak cebula i ziemniak w cieście na *latkes*. Historycy twierdzą, że wcześniej używano mąki gryczanej (skąd inąd nasz „racuch” pochodzi od „hreczuski”), a do smażenia służył *szmalc*, czyli gęsi smalec lub wołowy łój. A jeszcze wcześniej? Zapewne dawnym przodkiem „oładka” w kręgu śródziemnomorskim był krążek smażonej ricotty. Ser zaś i forma placaka przyplątały się do Chanuki przez kontaminację dwóch tradycji: miało to być wspomnienie potrawy, którą Judyta dała zjeść Holofernesowi, aby poczuł nagłe pragnienie (wina, wszak jej ciała pragnął już wcześniej) i upił się na tyle mocno, by dać sobie odciąć głowę. Tak stanowi choćby jeden z najstarszych i do dziś podstawowych

kodeksów prawa żydowskiego Szulchan Aruch. Jego kompilator nie zważa na to, że wyczyn Judyty od powstania Machabeuszów dzieli setki, setki lat. Mniejsza o lata, podobne są sytuacje – wybawienie ludu żydowskiego z militarnej opresji – a poza tym imiona Judyty i Judy mają tyle podobnych liter...

Gdy czytam rekonstrukcje wędrówek motywów, od oliwy w drugim stuleciu przed Chrystusem po tłuszcz topiony z gęsi w rosyjskim sztetlu, uśmiecham się, bo kuchenny amator we mnie rozumie coś, co znosi potrzebę tych wszystkich zawiłych wyjaśnień – prostą antropologiczną „zasadę placaka”. Głosi ona, że gdziekolwiek na mapie ludzkich dziejów człowiek musi prosto i szybko wykarmić rodzinę, nie mając piwnic pełnych jadal, zawsze lepi płaską formę z najbardziej ubogich surowców, jakie ma pod ręką. Byłe miały trochę węglowodanów i zachowywały (najczęściej związane wodą) pewną ścisłość – a potem obrobi je termicznie na czym bądź: rzuci na gorący kamień, rozżarzoną blachę albo, jeśli chce czcić święto, którego faktycznym bohaterem jest dzban oliwy – na patelni z tłuszczem.

Nad miską z placakami nie masz ni Żyda, ni Greka. Zresztą sami popatrzcie: w najważniejszym słowniku etymologicznym języka rosyjskiego stoi jak byk, że *oładzia* pochodzi od greckiego *eladion*, czyli słowa oznaczającego oliwę, z pewnością niebędącą podstawą diety wschodniosłowiańskiego chłopca.

Autor tego słownika, wielki sławista Max Vasmer, który przemawiał nad grobem Brücknera, wyszedł z niemieckiej rodziny, ale był wielkim rosyjskim uczonym, a gdy studiował w Krakowie, pojął za żonę polską pannę nazwiskiem Baudouin de Courtenay... Zachwyt nad tym, co nas łączy, jest ważniejszy od rozpoznania, którędy biegną ścieżki drugorzędnych różnic i podziałów. Radosnej i świetlistej Chanuki, kochani! ©

Trudno nie być w nastroju ekumenicznym, skoro każdy ze swojego polskiego dzieciństwa wynosi błogie wspomnienia placaków ziemniaczanych z cukrem. A to przecież to samo, co latkes, choć w tradycji żydowskiej jest sporo wa-

riantów, każdy rzecz jasna „najbardziej autentyczny”. W „New York Timesie”, będącym

w kwestii kuchni wiarygodnym głosem żydowskiego mainstreamu, przepisów jest kilkanaście, niektóre zaiste barokowe.

Dodaje się inne warzywa – zwłaszcza nieźle pasuje kalarepa – albo używa się mięszu upieczonych uprzednio ziemniaków oraz proszku do pieczenia. Ja jednak najbardziej lubię ten całkiem asce-

tyczny, autorstwa niezawodnego Marka Bittmana. Pół kilo ziemniaków trzemy na grubej tarce, wprost na sito. Odciskamy ręką

jak najwięcej cieczy. Dodajemy drobnutko posie-

kaną małą cebulę, jedno jajko i dwie łyżki bułki tartej, mieszamy, solimy. Odkładamy na kwadrans. Formujemy łyżką małe placuszki, smażymy na bardzo gorącym oleju,

po ok. 3-4 minuty na stronę, muszą się dobrze zrumienić.

Nie smażymy za dużo naraz, chodzi o to, by olej zawsze zachowywał wysoką temperaturę. I jeszcze ważne: placek nie wyjdzie lekki i chrupiący, jeśli wrzucimy ziemniaki do roboty kuchennego. Tylko ręczna tarka. Jak głosi talmudysta: dobry placek poznasz po smaku startego naskórka.





Dzieci z przedszkola leśnego w Brennej, wrzesień 2021 r.

DZIECI MAJĄ WYCHODNE

Norwegia ustawowo gwarantuje przedszkolakom cztery godziny dziennie na świeżym powietrzu. W Czechach powstało ostatnio ponad dwieście leśnych przedszkoli. W Polsce zakładają je pierwsi pasjonaci.

KRZYSZTOF STORY

BRENNA W BESKIDZIE ŚLĄSKIM. MIESZKA TU PONAD 11 TYŚCIEY OSÓB. Nieco na uboczu wsi stoi 150-letni dom, część dawnego gospodarstwa. W ogrodzie rosną drzewa owocowe, na dużej działce mieszczą się jeszcze dwie zadaszone wiaty i zagroda, w której żyją dwie kozy, Daisy i Ignas. Jest też królik o imieniu Pusiek (imię nadano mu w drodze głosowania), a wkrótce dołączą jeszcze kury i kaczki. 500 metrów dalej jest prywatny las ze strumieniem, nieopodal – łąka. Tak właśnie wygląda tutejsze przedszkole.

Tworzą je Wiktor Naturski i Julia Holeksa. Ona – nauczycielka; on – leśnik od lat zajmujący się edukacją w Lasach Państwowych.

Julia podczas praktyk studenckich pracowała w systemowym, czyli „zwykłym” przedszkolu i od razu wiedziała, że nigdy więcej. Nie było tam miejsca na indywidualne podejście i zawsze była jakaś wymówka, by nie wyjść na dwór. Jej rodzinny dom do tej pory funkcjonował jako agroturystyka, jakich wiele w okolicznych beskidzkich wsiach. Do zmiany w przedszkole konieczny był gruntowny remont – parter zmienił się w salę edukacyjną z kuchniami i łazienkami, tak by całość spełniała wymogi prawa. Julia i Wiktor czekają jeszcze na odebranie budynku przez straż pożarną i sanepid, konieczne do rejestracji punktu przedszkolnego – to kwestia miesiąca. Na razie dziewiątka uczniów przychodzi tu na warsztaty, podczas których muszą być obecni rodzice.

W kręgu

Zawiłości prawne nie mają wpływu na codzienne życie placówki. Zaczyna się od kręgu – wszyscy siadają i witają dzień. Dla dzieci to okazja, by powiedzieć, jak się dziś czują, dla nauczycieli – by przedstawić plan dnia.

– Obecność w kręgu to jeden z niewielu obowiązków w przedszkolu – Julia tłumaczy, że chodzi o to, by każdy czuł się wysłuchany. – Umiejętność opowiedzenia, jak się dzisiaj czuję, czy jestem niewyspana, smutna, a może mam świetny humor, to jedna z najważniejszych kompetencji, których powinno uczyć przedszkole.

Po kręgu i śniadaniu grupa rusza na wyprawę. Według Polskiego Instytutu Przedszkoli Leśnych, w takich ośrodkach dzieci spędzają około 80 proc. czasu na zewnątrz. Julia i Wiktor procentów nie liczą, bardziej zwracają uwagę na dobre samopoczucie dzieci niż na wyliczalną „leśność”. Bo i tak dzieci, jak można się spodziewać, najlepiej czują się właśnie w lesie.

– Czasem nawet mi się nie chce wychodzić na deszcz – śmieje się Julia. – A od dzieci słyszę, że ten deszcz jest piękny, potrzebny i że można skakać po kałużach.

Pod dachem zostaje się w wyjątkowych sytuacjach – burza, wichura. Przy dużych mrozach grupa po prostu dobrze się ubiera i co jakiś czas wraca się ogrzać. Podstawowym miejscem zabawy i nauki pozostają: las, łąka i teren dookoła budynku.

– Realne poznawanie świata, bez kolorowanki, bez plastiku, bez udawania: to najważniejsze, co możemy dać dzieciom – mówi Wiktor. – Mogą odbierać świat wszystkimi zmysłami. Spotykają żywą salamandrę zamiast rysunku na karcie pracy. Widzą, jak się porusza i że jest wilgotna, czują, że jest żywym stworzeniem, a nie zabawką. Potem znajdują rozjechaną salamandrę na drodze i to też ich czegoś uczy.

– Pamiętam pierwsze wyjście z naszą grupą – dodaje Julia. – Na dzieciach to zrobiło ogromne wrażenie. Nasz las nie wygląda jak z kolorowanki. Jest tam potok, jest jar o stromych zboczach, są miejsca, gdzie jest ciemno. Las jest dzieciom często ukazywany jak sfera sacrum – nie wolno się w nim bawić, trzeba być cicho. One dopiero teraz zaczynają się czuć swobodniej i rozumieć, że las to nie jest kolejne z długiej listy miejsc, w których im czegoś nie wolno.

Około 12.30 grupa wraca do bazy. Resztę dnia zazwyczaj spędzają w przedszkolnym ogrodzie na zabawie i zajęciach edukacyjnych.

Nie tylko drzewa i wolność

W Polsce działa dzisiaj ponad pięćdziesiąt leśnych przedszkoli. Pierwsze takie placówki powstały w 2015 r. w Warszawie (Leśna Droga) i Białymstoku (Puszczky). Często były pokazywane jako pozytywna, ale jednak fanaberia bogatych mieszkańców.

Wiktor Naturski: – Poznałem to środowisko z racji pracy w Lasach Państwowych. Na początku byłem bardzo na „nie”. Dopiero później, odwiedzając te miejsca i obserwując zachowanie dzieci, zobaczyłem, że to działa. Że to nie jest nadęta, akademicka teoria, dobra tylko na konferencje w drogich hotelach, tylko prawdziwa odpowiedź na duży problem. Gdybym nie znał ludzi, którzy przeprowadzili się do Białegostoku tylko po to, żeby dzieci mogły mieć taką edukację, też myślałbym, że to fanaberia.

Katarzyna Sowa prowadzi od czterech lat Bajkowy Las w Łubnianach, małej wsi dwadzieścia kilometrów od Opola: – Większość ludzi myśli, że nasze dzieci niczego się nie uczą, cały dzień siedzą na drzewach i robią, co chcą. Tak wygląda leśne przedszkole w stereotypach. Prawda jest inna – choćby ze względów bezpieczeństwa funkcjonujemy według jasno określonych zasad, część z nich współtworzymy z dziećmi, inne, jak np. zakaz oddalania się poza zasięg wzroku, są absolutną koniecznością.

W leśnych przedszkolach odbywają się normalne zajęcia edukacyjne, lekcje języków obcych, dzieci przygotowują się do nauki czytania i pisania. Robią to po prostu w innym niż większość rówieśników środowisku. Zamiast liczyć plastikowe liczmany, liczą szyszki, kasztany i kwiaty. Piszą nie tylko kredką, ale też patykami po piasku. Dąb widzą na żywo. Ważne są jednak kwestie bezpieczeństwa. Nauczyciel musi bardzo dobrze znać teren dookoła, wiedzieć, gdzie są potencjalne zagrożenia, i być pewnym, że w dane miejsce w razie czego dojedzie pomoc.

Gdy pytam o wymaganą przez ministerstwo podstawę programową, Julia Holeksa szeroko się uśmiecha: – Podstawa programowa na poziomie przedszkola wygląda tak, jakby została napisana przez dyrektorkę leśnego przedszkola. Nie mamy z nią żadnych problemów.

Przeglądałam cały dokument i nie znajduję punktu, który premiowałby zwykle, systemowe placówki. Za to przewaga edukacji leśnej jest widoczna dość dobrze. Zwłaszcza jeśli chodzi o rozwój fizyczny, pracę w grupie, poznawanie świata. Wśród zadań przedszkola ministerstwo wymienia przecież: „Tworzenie warunków pozwalających na bezpieczną, samodzielną eksplorację otaczającej dziecko przyrody, stymulujących rozwój wrażliwości”.



– Edukacja w Polsce funkcjonuje według modelu pruskiego sprzed 200 lat. Często nie umiemy sobie wyobrazić, że szkoła, przedszkole mogą wyglądać inaczej – dodaje Katarzyna Sowa. – Tymczasem leśne przedszkola to często przedszkola waldorfskie albo korzystające z metody Montessori, czerpiące z różnych koncepcji edukacyjnych, nowych badań, współpracujące ze sobą. Moim zdaniem to jest lepsza, bardziej nowoczesna edukacja.

Neurodydaktyka krzyczy

Wiktor Naturski: – Żyjemy coraz dalej od natury. Tymczasem najważniejsze dla rozwoju człowieka jest pierwsze sześć lat życia i ten rozwój przebiega zupełnie inaczej, jeśli bazujemy na prawdziwym świecie, narzędziach, prawdziwym kontakcie, a nie na ekranie czy rysunku na karcie pracy. O tym nie tylko mówi, o tym wręcz krzyczy cała neurodydaktyka.

Tak naprawdę leśne przedszkola nie są żadnym odkryciem, a jedynie powrotem do wychowania w naturalnym środowisku, które przynosi wiele korzyści. Przede wszystkim większą aktywność fizyczną, dużo skuteczniejszą, bo prowadzoną w prawdziwym świecie, a także naukę na żywych przykładach, nie mówiąc o kwestiach zdrowotnych. I nie chodzi tu jedynie o czystsze powietrze, ale np. o unoszące się w lasach olejki eteryczne, których pozytywny wpływ na dobrostan człowieka potwierdzają badania.

Kolejne państwa wyciągają z tego wnioski i zmieniają swoje systemy edukacji. W Norwegii nie mówi się już o leśnych przedszkolach, bo dzieci mają tam ustawowo zagwarantowane cztery godziny dziennie na świeżym powietrzu. Tego typu przedszkola rozwijają się też w Niemczech, państwach bałtyckich, Słowacji i Czechach. Polska zostaje za tymi zmianami w tyle. Sześć lat po otwarciu pierwszych leśnych przedszkoli w Polsce działa ich mniej niż sześćdziesiąt. Tymczasem w Czechach tylko w ciągu ostatnich dwóch lat powstało ponad dwieście takich placówek.

Największą przeszkodą jest prawo niedostosowane do leśnej edukacji. By dostać jakąkolwiek dotację od gminy, przedszkole musi mieć siedzibę spełniającą takie same wymogi jak przedszkola systemowe.

– W Niemczech bazą przedszkoli leśnych jest często jurta, tipi albo domek letniskowy – mówi Julia z Brennej. – W Polsce musimy spełniać wszystkie kryteria, np. na dziecko musi przypadać 2,5 metra kwadratowego powierzchni sali. To ma sens, jeśli dzieci spędzają w niej cały dzień, ale u nas korzystają z niej jedynie wyjątkowo.

Nawet ze świeżo wyremontowaną siedzibą Julia i Wiktor będą mogli w Brennej zarejestrować jedynie punkt przed-



Zamiast liczyć
plastikowe liczmany,
w leśnym przedszkolu
**dzieci liczą szyszki,
kaształy i kwiaty.**

Piszą nie tylko kredką,
ale też patykiem po piasku.
Dąb widzą na żywo.

szkolny, a nie przedszkole. W praktyce oznacza to, że zamiast 70 procent pełnej dotacji z gminy dostaną jedynie 40 procent. Powód? Sufit w sali jest na wysokości 2,7 metra. Do spełnienia normy brakuje 30 centymetrów.

– Oczywiście można działać bez dotacji, ale to kończy się astronomicznym czasem. Tak działa leśne przedszkole Montessori w Gdańsku, miesiąc nauki kosztuje tam nawet 1850 złotych – tłumaczy Katarzyna Sowa.

– My tak nie chcemy – oświadcza Wiktor z Brennej. – Chcemy tworzyć miejsce inkluzywne, a nie elitarne. Jesteśmy leśnym przedszkolem z węgalskim wyżywieniem na wsi, która stoi w środku lasu. Wszyscy się z nas śmieją, a mimo to lokalne dzieci odchodzą z systemowych przedszkoli i idą do nas. Tylko dwie osoby są dowożone z Bielska. Czesne u nas wynosi 600 złotych.

Nawet bez tych regulacji prowadzenie leśnego przedszkola to duże wyzwanie. Trzeba wydzierzać prywatny las albo podpisać umowę z Lasami Państwowymi (to gorsza opcja, bo nikt nie zagwarantuje, że za parę lat nadleśniczy nie zmieni zdania). Liczniejsza musi być też kadra. W Brennej dziewięciorgiem dzieci opiekują się nauczycielka i dwie opiekunki, Wiktor pomaga jako wolontariusz. W publicz-

nym przedszkolu jeden nauczyciel ma często pod opieką nawet dwadzieścioro dzieci.

– To jest działalność dla pasjonatów, idealistów i tak powinno być, bo edukacja to jednak misja – mówi Katarzyna Sowa. – Ale państwo i prawo powinny tych superbohaterów wspierać, a u nas pomimo dwóch petycji do ministerstwa niewiele się zmieniło. W czwartym roku działalności nadal jesteśmy jedynym leśnym przedszkolem na Opolszczyźnie.

Mimo to Katarzyna dostrzega pewne zmiany na lepsze. Wspomina o programie „Dzieci mają wychodne”, organizowanym przez Fundację Rozwoju Dzieci. Jego celem jest zapewnienie uczniom podstawówek i przedszkoli, niezależnie od pogody, trzech godzin pobytu w naturze tygodniowo.

Faza na chomiki

Drugim podstawowym problemem leśnych przedszkoli jest brak kadry. Wychodzenie w teren, czasem przy złej pogodzie, jest trudniejsze niż siedzenie w ciepłej sali z kubkiem kawy.

– Ciężko nam znaleźć nową osobę do zespołu. Wielu nauczycielom i nauczycielkom w głowie się nie mieści, że można tak pracować – mówi Julia Holeksa. – Ale często problemem nie jest wcale wyjście w teren, tylko brak kreatywności. Pedagog jest nauczony kurczowo trzymać się scenariusza lekcji. Wielu nie umie bez tego pracować, boją się pytać od dzieci, na które mogą nie znać odpowiedzi.

Aleksandra Sawicka, choć nadal pracuje w systemowym przedszkolu w Mikołowie, ukończyła pierwszy w Polsce kurs nauczyciela przedszkola leśnego. Wcześniej tej formie edukacji poświęciła pracę dyplomową. Pisała w niej: „Ankietowano 2000 rodziców dzieci w wieku 5-12 lat. 74 procent z nich przyznało, że ich dzieci spędzają na świeżym powietrzu mniej niż godzinę dziennie. Wyniki przerażają tym bardziej, że prawo Wielkiej Brytanii mówi, iż więźniowie powinni mieć zapewnione co najmniej 60 minut ćwiczeń na świeżym powietrzu dziennie”. I jeszcze: „54 procent dzieci nie umiało zidentyfikować dębu, podczas gdy 80 procent zidentyfikowało Justina Biebera”.

Według niej nie ma jednej, osobnej edukacji leśnej. Całą wiedzę, którą daje nowoczesna dydaktyka, można stosować i w sali, i pod sosną.

– W lesie dużo łatwiej dostrzec, czym dziecko się interesuje, dać mu przestrzeń – mówi Aleksandra. – Ale myśl, że musimy odejść od wizerunku wszechwiedzącego nauczyciela wykładającego z katedry, nie dotyczy tylko leśnych przedszkoli. Dziecko potrzebuje nie tyle nauczyciela, co towarzysza. Kogoś, kto wykreuje naukę z tego, czym dzieci same się interesują. Mam na przykład grupę, która obserwuje robactwo pod pniakiem, to na następny dzień robię lekcję o tym, co pod takim pniakiem może żyć i jak to wpływa na las.

– A co jeśli dziecko nie zainteresuje się pisaniem i czytaniem? – pytam.

– Mam tę wątpliwość z tyłu głowy, ale ja nigdy nie widziałam takiego dziecka. One interesują się wszystkim, do czego je zaprosisz. Zaprosić, nie nakazać, to ważne. Czasem trzeba złapać odpowiedni moment. Ale nawet w sali nie mówię przecież: „policz te kamyczki”. Tylko siadam i zaczynam sobie sama liczyć. Dzieci interesują się tym i zaczynają naśladować.

Podobnie uważa Julia Holeksa: – Moje dzieci mają teraz fazę na chomiki i ja to wykorzystuję. Pokazuję im, gdzie żyją różne gatunki, i w ten sposób uczę ich o mapie i kontynentach.

Julia dodaje też, że kluczowe jest zaufanie dorosłego do dziecka: – Trzeba trochę odpuścić siebie, swoje obawy i (w ramach ustalonych zasad) pozwolić dzieciom doświadczać świata. Nawet u nas mieliśmy na początku opór, żeby dzieciom pozwolić zdjąć buty i chodzić boso po lesie czy strumieniu. Wiele nauczycieli nie jest na to gotowych, a dla nas to największa radość.

Wiktor Naturski: – Wszystkie badania naukowe potwierdzają, że nauka połączona z zabawą daje lepsze efekty.

Aleksandra Sawicka: – Podstawą jest tu zupełnie inna relacja między nauczycielem a dzieckiem, las jest tylko sprzyjającym środowiskiem – daje swobodę i przestrzeń. W lesie nie ma wszechobecnego plastiku, hałasu, tysiąca kolorów. Dzieci odkrywają tam nowe, mniejsze bodźce – robaki, kwiaty, śpiew ptaków, dźwięk piły. Potem wracają z tysiącem pytań. Ja często odpowiadam: „a jak ty myślisz”? Chłopiec pyta mnie, czemu trawa jest zielona, a ja już wiem, że ma przygotowaną własną odpowiedź. I zaraz dowiaduję się, że koniki polne tak mocno przytulają się do łądy, że robią się płaskie i wyglądają jak żdźbła. Myślę wtedy, że ten chłopiec ma jeszcze całe życie, żeby przeczytać w książce, co to jest chlorofil. A być może tylko teraz ma szansę swobodnie odkrywać świat.

© KRZYSZTOF STORY



*Pod dachem zostaje się tylko w wyjątkowych sytuacjach – burza, wichura. Przy dużych mrozach grupa po prostu dobrze się ubiera i co jakiś czas wraca się ogrzać. Podstawowym miejscem zabawy i nauki pozostają: las, łąka i teren dookoła budynku.
Brenna, wrzesień 2021 r.*



STANISŁAW

Mancewicz: *Delirka*



OSTATNIO – POPATRZMY – WŁADZOM SZKOLNYM srodze nie podobają się „Dziady”, grane właśnie w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Boki można zrywać, gdy się patrzy, jak funkcjonariusze PiS-u, osadzeni na najwyższych szcze-

blach, z doskonałą, jakby pierwotną intuicją, ale i z jubilerską precyzją, rekonstruuja historię naszego kraju. Tekst Adama Mickiewicza – co jest bardzo zadziwiające – jest zawsze tu aktualny, choć sam się o to nachalnie nie prosi. Aktualizuje go zawsze władza, taka bądź owaka. Zostawmy jednak Mickiewicza, żyjąc nadzieją, że jego pomnik nie zostanie uszkodzony przez nieznanych sprawców.

Obecnym władzom szkolnym niewiele się ze świata współczesnego podoba. Ów brak upodobania ma – to jasne jak słońce – zamaskować co najmniej tuzin lęków. Jak świetnie wiemy, strach nami rządzi i jest w tym ogrom polskiego smutku i niepotrzebnego – naszym zdaniem – oderwania od teraźniejszości. Gdy pukamy się w głowę, poszukując powodów tych zjawisk, strachów, lęków i bzików, pierwsze, co nam przychodzi na myśl, to stereotyp wygenerowany intuicyjnie. Oto mniemamy, będąc na granicy pewności, że gros nieszczęść ostatnich wynika z kalendarza, pokolenie bowiem sprawujące dziś władzę w Polsce – naturalnie z wyjątkiem Gospodarza, który należy do pokolenia poprzedniego – nie miało wielu okazji do bycia trzeźwym. Mamy tu na myśli wszystko, co pod hasłem „trzeźwość” się mieści, zarówno dosłownie, jak i w przenośni.

Brak trzeźwości to przecież nie tylko nadmiar spożycia. Weźmy takie eliksiry lat 70. bądź 80. XX wieku jak: wódka Bałtyk, Vistula, Czysta (Pure Potato) czy Stołowa (Table Vodka), bądź także wina krajowe, owocowo-warzywne,

by wymienić dla przykładu: Czar Nałęczowa, Goplana Markowe, Złocień, Mazowieckie, bądź wino o doprawdy szokująco lapidarnej, ale i wielce dwuznacznej nazwie „W”. Ludzie dzisiejsi, młodzi, urodziwi w każdym sensie, wychowani w sterylnym laboratorium alkoholu importowo-eksportowego, nigdy nie zrozumieją zgorzkniałych i schorowanych pokoleń, biczowanych tamtymi cieciami, ich smakami i rozpuszczonymi w nich substancjami przeciwgrzybicznymi, ani nie pojmą trudności w zorganizowaniu na wieczór choćby jednej butelki z tych przysmaków. Dziś – to wtręt – prezentyzmalizowane do granic masy dziewcząt i chłopców, wśród których mamy też nieliczną grupę czołowych publicystów, płaczą z teoretycznej tęsknoty za tamtymi rozkosznymi czasami. Fajnie.

Otóż – wracając do tematu – trzeźwość to nie tylko niepicie truzcin, luksus nieznany pokoleniu, o którym tu mowa, ale też, parabolicznie rzecz ujmując, niewchłanianie oparów, które w tamtych latach unosiły się nad Polską w stężeniu totalnym. A były to egzaltacje każdego rodzaju, od religijnych po patriotyczne. Generalnie nie mamy nic przeciwko życiu religijnemu ani pielęgnowaniu uczuć patriotycznych, ale, jak powiada żelazna zasada, wszystko w nadmiarze jest śmiertelnie trujące. Dlatego śmiemy twierdzić, że rządzące dziś pokolenie, które młodość swą przeżywało pomiędzy schyłkiem epoki Gierka a schyłkiem epoki Jaruzela, jest kompletnie, w sensie dosłownym, strute. Nerki i wątroby tych ludzi nie są różowe, nie tylko dlatego, że jest to kolor bardzo podejrzany, a mózgowia są przeszlifowane na glanc. Przykra barwa narządów wewnętrznych i szlif płatów czołowych to zdarzenia całkowicie nieodwracalne. Stąd niechęć, wstręt, a przede wszystkim prawdziwy strach przed przysłowiową białą myszką, stąd bardzo ograniczone środki wyrazu. Przykłady można mnożyć. Ludzie tych pokoleń, dziś u władzy, reagują w każdym sensie tak samo. Na filmy, na książki, na stroje, fryzury, na piosenki – i mają tylko jedną receptę: zakazać i ukarać. Zabrać źródło utrzymania. Reedukować. Wsadzić i wygnać. A prawdziwe problemy próbować rozwiązać wymawianiem zaklęć i czynieniem rytuałów magicznych. Nie widać na to wszystko żadnego leku, próżno szukać znachora choćby, nie mówiąc o kulturalnym lekarzu z wyższym wykształceniem.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



TYGODNIK
POWSZECHNY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



PATRONITE

Zostań Patronem Podkastu Powszechnego

Nagradzany reporter i dziennikarz **Krzysztof Story** w rozmowach z Anną Alboth, Bogdanem de Barbaro, Agnieszka Pajączkowską, Pawłem Pieniążkiem, Filipem Springerem. Słuchaj cyklu podkastów #DOM.

Wejdź na **Patronite.pl/TygodnikPowszechny** i wesprzyj niezależne dziennikarstwo

#DOM



Słuchaj na **TygodnikPowszechny.pl/podkast**



Chwilo, nie trwaj!



Zachęcamy do zakupu kalendarza na stronie: przekroj.pl/sklep